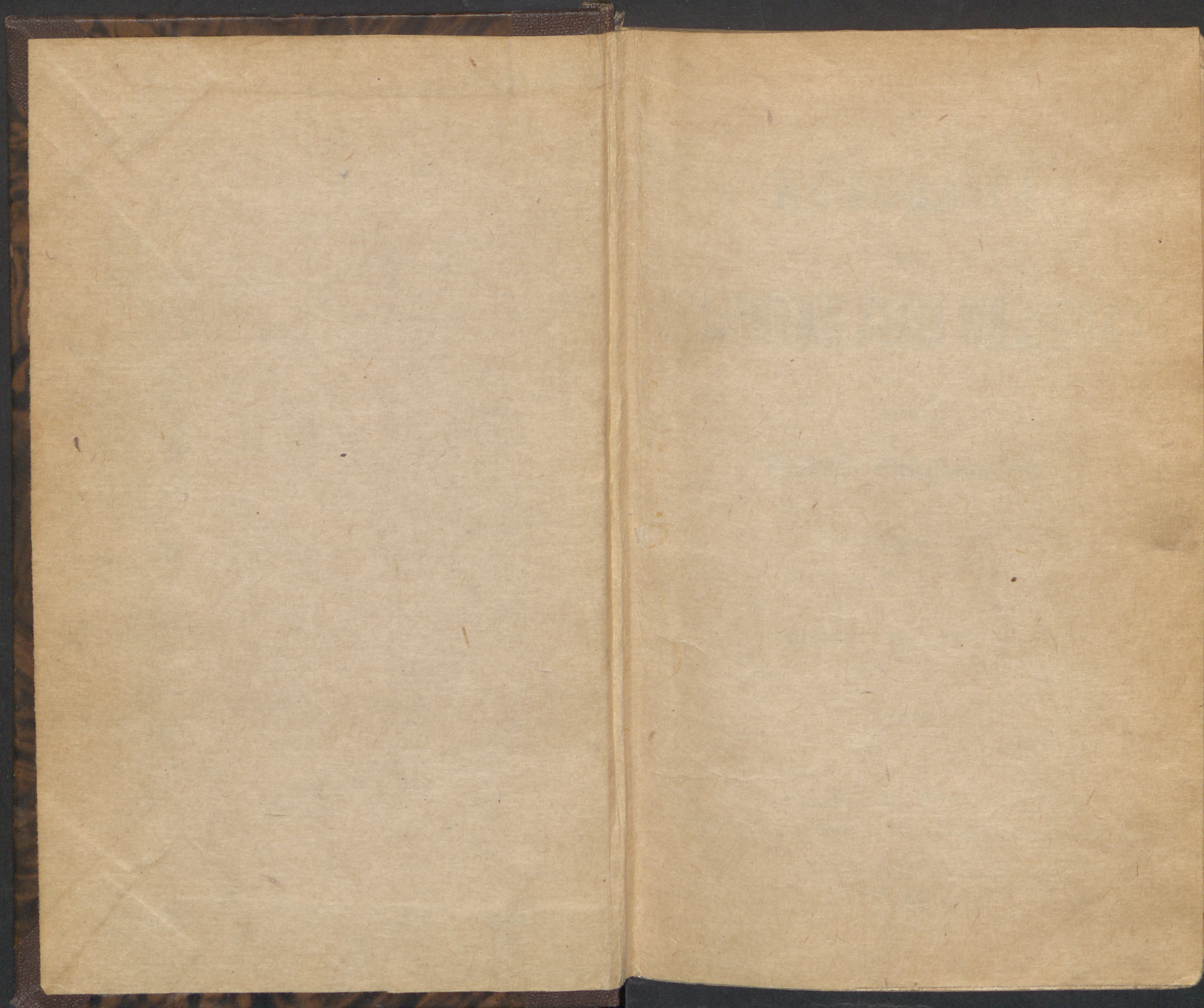


Biblioteka
U.M.K.
Toruń

335614

arkłowski
mornica



KÓMORNICA

czyli

TAJEMNICE ŻYCIA WIEJSKIEGO

przez

Walerego Wielogłowskiego.



Cena egz. 1 Złr, czyli 4-Złp.



KRAKÓW.

nakładem Wydawnictwa dzieł katolickich, naukowych itd.

Czcionkami Karola Budweisera.

1862.



335614

K. 1860/62

WSTĘP.

O trzy mile od Krakowa, z prawej strony Wisły leży na pochyłości wzgórza wieś K...., wśród której wznosi się piękny murowany kościół, a za nim smętarz obsadzony świerkami i smutnemi jodły. — Niedaleko smętarza w miejscu pustém stoi uboga chatka, dawniej własnością gróbarza będąca. — Dzisiaj zamieszkuje ją biedna włościanka z córką swoją Zosią. — Matka Zosi nie jest jeszcze w podeszłym wieku, ale tak chorobami i troskami życia znękana, iż twarz jej blada i wyschła a kibić ku ziemi pochylona, zdradzałyby późną starość, gdyby promienie dwóch czarnych ocz, jakby dwie grobowe lampy, nie rozświecały tych ruin pięknego niegdyś ciała. — Ubiór biednej Reginy (bo takie było imie włościanki) świadczy o jej wiel-

kiej nędzy. — Łatana w wielu miejscach płóciennica jest jedyną jej szatą tak na dni powszednie jak i na święta. — Zosia, jej córka, jest chożą dziewczyną, a zwaćby ją nawet można bardzo piękną, gdyby zawczesna i może za ciężka na jej wiek praca, nie była złamała tego kwiatu w pierwszym niemal rozkwicie. — Oczy ma Zosia do matki podobne, duże, czarne i o długiej rzęsie, rysy twarzy prześliczne, ale płeć jej od skwarów słonecznych ogorzała, ręce aż do łokci szorstkie i twardą powleczone skórą; bo te ręce nie próżnują, ale codziennie na chleb dla biednej matki zarabiają. — Regina jest smutna, i poddaje się nawet czasami zwątpieniu, pomimo iż ją krzepi modlitwa, a pociesza w troskach codziennych pocziwa jej córka, która jest gotową do wszelkich dla matki poświęceń. — Często nawet nuci sobie biedna Zosia wesołą piosenkę, bo przez nią chciałaby rozweselić matkę a może zagłuszyć uczucie własnego smutku. — Te dwie istoty zapomniane przez wszystkich i jakby z wiejskiego i gromadzkiego życia wyłączone, wystarczyć sobie muszą i żyją tylko dla chwały Bożej i dla siebie. — Obie pobożne, pocziwe, zarabiają w tym ziemskim czyściu

na wieczne zbawienie, a pracą rąk na chleb powszedni.

Zdawałoby się czytelnikowi, iż te dwie ubogie włościanki, zamieszkujące nędzną lepiankę i oddzielone od reszty świata, nie nastreczą tła do powieści, a żywot ich nie przedstawi zajmujących obrazów. — Tymczasem stał on się dla mnie niewyczerpanym źródłem spostrzeżeń, które tém skrzętniej zbierałem, iż z tego ciekawego i tajemniczego wątku, wysnuwała się długa i zakłamaną nić wypadków, która mi się bliżej obeznać pozwoliła z obyczajem ludu wiejskiego i ze stosunkami gromadzkimi, odkrywając naprzemian, to jasną i piękną stronę charakteru naszych włościan, to znowu stronę ujemną, a co gorzej, twardość serca, której jeszcze wiara i obyczaj chrześcijański zmiękczyć nie potrafiły. — Pójdę w trop za wypadkami, nie opuszczając żadnego szczegółu, aby skreślić ile może być, dokładny obraz życia włościańskiego. Może niektóre rozwlekłejsze opisy nie trafią do smaku wszystkim czytelnikom, ale gdy ta powieść napisaną jest głównie dla wiejskiego ludu, przeto wolę być w niej rozwlekłym jak ciemnym. — Używam jeszcze w tej powieści języka ludowego

z całym jego prostactwem, pomimo zarzutów, jakie mi z tego powodu czyniła oświećsza warstwa społeczeństwa. — Za lat kilkanaście lub kilkadziesiąt użycie tych ludowych wyrazów byłoby niepotrzebne a może szkodliwe; dzisiaj atoli nie chodzi mi o zasługę literacką ani mam jeszcze na celu kształcić lud w poprawnym piśmiennictwie, lecz chcę w języku ludu przemawiać do jego serca, którego wykształcenie poprzedzać według mnie powinno uprawę umysłową i wyższą naukę.



Rozmowa matki z córką.

Nie frasujcie się matusiu! (rzekła Zośka do swéj matki) choć was już nie stać zarobić, to ja pracy podolałam i każdy grosz wam odniosę a będziemy i tak żyć do woli Pana Jezusa. — We dworze mają stodoły murować, to im będzie potrzeba ludzi do pomocy. — Będę chodzić od niedzieli do niedzieli: a czy wapno nosić, czy cegłę podawać, to potrafię, bom już przy mularzach była. — Opuścili nas ludzie, ale nas Pan Bóg nie opuści. — Jegomość mówił kiedyś na kazaniu, iż Pan Bóg wie o każdym marnym robaczku, to téż i nad nami będzie mieć zlitowanie. — Jeno nie płaczcie, bo gdy widzę, że tak lamentujecie, to aż mi się na wnętrzu coś dzieje!

— Ja tam o sobie nie płaczę, (rzecze matka) ale o ciebie moja Zośko, że się przy mnie térasz, a już z ciebie nie zostało tylko szczépka! Gdy byłaś jeszcze mała za nieboszczyka ojca, to byłaś

jak klusieczka, a każdy się dziwował i mówił: „Cóż też to za piękna dziewczucha, taka tłusciutka jak pączek,“ a dzisiaj, mój Boże! gdzież téj tłustości szukać? Napracuje się biędne dziewczysko o głodzie, a nie przekąsi nawet chleba, tylko biędnej matce niesie. — Nieraz już proszę Pana Boga, aby mnie z tego świata zabrał, bo byś wtedy poszła albo w służbę do gospodarza, albo do chrzestnej matki, i cobyś wysłużyła, toby było twoje.

— Matusiu moja, matusiu! proszę was na rańy Boskie, nie gadajcież tak, bo ledwie się gdzie nie zapodzieję, jak gadacie o śmierci. Wolę ja dzień i noc pracować, i w jednej koszulinie zostać a przy was siedzieć. — Cóżby mi po życiu było bez was, i cóżbym ja sierota bez matki na tym świecie robiła? — Nie mam tylko jednego Boga na niebie i matkę na ziemi i to tyle wszystkiego, a i tak nikomu ani żadnej dziewczusze niczego nie pozazdrozczę, byle mi tyle Pan Bóg dał sił i zdrowia, abym was wyżywiła i abyście się mieli czém odziać i jaką ciepłą warzą posilić, bo się już na nogach ledwo utrzymacie z téj waszej biedy i frasunku, co się w dzień i w nocy trapiacie.

— Moja Zośko! Ty bo nie pamiętasz nieboszczyka ojca, ani tego dużego majątku, cośmy mieli za życia, któryby najmniej wartal z pięć

tysięcy złotych, mówiąc o samym młynie, a cóż dopiero o bydle i o koniach! Cała ta majątność była dla ciebie ofiarowana, a ja miałam po mężu dożywocie. — Ale cóż, obrali Walka M. za opiekuna, i jak się też zaczął opiekować, tak nas ze szczętem zniszczył i sam marnie zszedł z tego świata, bo bez księdza nagle umarł.

— Jakże jednak matusiu, mógł opiekun stracić, kiedy to nie jego było, tylko nasze?

— Oj moja córko, jeszcze dziękować Bogu jesteś głupia na te oszukaństwa co ludzie umieją, i jesteś jak to cielątko przy matce co za nią biegnie gdy idzie w pole.... Ale są źli ludzie na świecie i poznasz ich jak zajdziesz w lata. — Są uwodziciele, którzy są jak owe szatany, co na złe kuszą radą lub fałszywą mową. — Są ludzie, którzy zazdroszczą majątku i na cudze się łakomią. — Są i tacy, którzy radzi dziewczuchy bałamucić, a to nie z kochania tylko dla grzechu, zwyczajnie takie despetniki i oszukańcy. — Są znowu kłamcy, którzy nigdy prawdy nie powiedzą. — Są też (Boże odpuść) bluźniercy, którzy Imię Boskie poniewierają, albo klną, albo przyzywają złego, i nawet Panu Bogu chwały ani w kościele ani w domu nie oddają. — Są pijaki, jak np. nieboszczyk Walek opiekun, i są próżniaki a marnotrawcy, którzy ani swojego ani cudzego nie szanują, ale chcieliby żyć i uży-

wać bez pracy, a dopóty broją na świecie, dopóki i swojego i cudzego nie zniszczą. — Są wreszcie kłótniki i ludzie swarliwi, którzy z każdym szukają waśni i poswarki, a buntują jednych na drugich i kłócą aż przyjdzie do bijatyki, z kądem wielka obraza Boska. — Bywają i tacy mężowie i żony, co się w stadle ciągle kłócą i hałasy robią, a wszyscy ci ludzie nazywają się źli, bo przykazania Pańskiego nie chowają, o duszę swoją nie trwają, a bliźniemu na różny sposób krzywdę czynią. Takich ludzi trzeba się wystrzegać moja Zośko, i nigdy z nimi nie kompanić, bo z jakim kto przestaje, takim się sam staje.

— O mój Boże! ani się kto spodzieje, (rzecze Zosia) że aż tyle jest złych ludzi na świecie. — Cóż im z tego przyjdzie źle żyć za żywota a na wieki duszę zatracić?

— Gdyby téżto człowiek miał śmierć na myśli a potem Sąd Boski, toby się więcej strzegł grzechu jak choroby, ale się trafi niejeden, który o strasznym Sądzie na grzeszników nie pamięta. i żyje gorzej jak ten zwierz, co duszy ludzkiej nie ma. — Jak i Walek . . . to dopóki żył nieboszczyk mąż, więc codzien bywał u nas w chałupie a przyświadczał i pochlebiał, bo czuł u niego majątek. — Radził, stręczył a czasem dopomógł groblę naprawić, wału albo kamienia dźwignąć, albo wierzchniak nasiękać. — Okazywał się naj-

większym przyjacielem, a nawet mojego na kómotra prosił, i jeżeli go mój gospodarz raz na wódkę zawiódł, to on jego dwa razy. — I taki było przez kilka lat. Dopiero w chorobie, kiedy już Ojciec śmiertelnie zapadł, tak on mu przyniósł z Krakowa jakieś léki (najprędzej Eliasza*) w papierku. Jak téż to wypił, tak darło z niego przez pięć dni i pięć nocy; . . . zawołaliśmy księdza, . . . wypowiedał się . . . Pana Jezusa przyjął i już mu się było poprawiło, . . . ale mu potem zapachniała wódka. . . Nie chciałam ja mu dać tego wódczyska, ale mu ugotowałam rosółu z szarego królika i poiłam go od chwili do chwili, aby ogień we wnętrzu ugasić. Ale nadszedł Walek z flaszką w kieszeni i jak mu się tylko dał napić gorzałki, tak zaraz gorzej i gorzej, aż przed północkiem z poniedziałku na wtorek Bogu ducha oddał. — Oj moja córko! ztąd nasze nie-szczęście i nasze sieroctwo.

— Nie płaczcież matusiu, bo kiedy Pan Bóg tatusia zabrał do swojej chwały, to on uprosi za nami, abyśmy jako do woli Boskiej pocziwie żyły na tym świecie. . . Ale wyście matusiu zostali w młynie?

— Zostałamci, została, ale da to sobie głupia baba radę w młynie? Zawsze jest co sporządzić,

*) Aloes.

to cewie, to palce w kole, to korcówki, a gdzież kobieta temu potrafi?... Chciałam przyjąć młynarczyka, ale mi Walek odradził, ... że koszt, i z obcego złodziejstwo. — „Ja będę (prawił) u was za młynarczyka... ja się na wszystkiem znam i wszystkiemu podołam, a w polu wam memi końmi zarobię i mlewa dopilnuję, .. tylko mnie podajcie na opiekuna po nieboszczyku kómotrze!“ Strasznie mi się to odrazu nie zdawało, i byłam na niego nie dobra, a najbardziej o tę wódkę, co ją dał mojemu jakby na dobitkę żywota; ale jak mi zaczęli ludzie doradzać, „iż lepiej wziąć znanego człowieka, który jest z młynem i wodą obeznany przy nieboszczyku i który jest wsiowy, a ma też ile tyle swego gruntu,“ takem na to przystała, i on się zapisał przy sołtysie na opiekuna, a do młyna zaraz skrzynkę swoją przyniósł i gospodarstwo objął. — Z razu był jedyny człowiek a od świtu do nocy pracował, materji do młyna nastrugał, ludzi z workami znęcił, upust wynaprawiał, a ciebie biedną sierotę z rąk nie spuścił tylko piastował. — Dopiero za jakiś czas zaczął do karczmy wybiegać, ale gdym go skarciła, ustatkował się. Lecz znowu potem mu się wróciło, i jak też wziął się do karczmy chodzić, to i naczynie wynosił i młyn zapuścił i ludzi odstręczył. — Wreszcie chciałam go z domu wygnąć, ale on jako opie-

kun sprawę inaczej przełożył i został. — Grunt zapustoszał, przyszło płacić podatki a tu nie było z czego, czeladzi też nie było czém zaspokoić, więc się po jednym wywlekało bydło na jarmark, aż potem i tego nie stało. — Dalejże się borgować i pożyczać. Wziął na młyn od kowala 1000 Złpol., dał mi z tego dwieście, a z reszty miał znowu wszystkie koła na nowo posprawiać. Nic nie zrobił i przepiło pijaczysko, aż się w końcu zapił, wpadł w chorobę i marnie zginął. — Po jego śmierci byłabym się jeszcze ratowała, ale młynarz z drugiej wsi wodę mi zaprzeczył... Prawowaliśmy się przez trzy lata a tymczasem stał młyn pustkami, ... kował się też o swoje pieniądze upominał, .. nie było z czego mu oddać... Chodziłam i prosiłam sąsiadów, aby mnie poratowali, ale przemówił wszystkich kował, aby na to pieniędzy nie kładli, bo on za te tysiąc złotych cały majątek kupi. — Dziedzic gdzieś pojechał w obce kraje, nie było się do kogo udać o ratunek — kwał więc kupił całe domostwo i młyn z gruntem za Złpol. 1500; swoje odebrał, a 500 wzięli za długi i za prawo a potem za podatki, i tylko z całego majątku zostało mi 40 złotych, za które kupiłam po nieboszczyku gróbarzu tę kucę*), w której teraz siedzimy. —

*) Mała chałupa.

Oj tak moja córko, bięda na świecie biędnemu, a szczególniej wdowie, którą każdy szarpie i łatwo oszuka i skrzywdzi. — Gdyby nie to nie-szczęście, inaczéjbyś wyglądała. Miałabyś korale i szaty na święto i prędzéjby ci się kto trafił, a tak obieśmy nędzne i każdy nas ominie; a nawet ci co się oświadczała dawniej memu i mnie z przyjaciółstwem, ani teraz dobrego słowa nie rzekną i jeszcze się naśmiewają, mówiąc: „Widzicie młynarkę, jak dzisiaj psy po wsi drażni, a dawniej to sobie furą jeździła do kościoła a na jarmarku po pięciu wieprzów sprzedawała.“ Mój Boże! czy-to ja straciła ten majątek albo czym go na kukielkach przejadła, albo na wódce przepiła? Ja sobie żałowała kapki mléka, tytkom w gospodarstwo kładła, ale cóż z tego, kiedy mnie każdy szarpał a ciągnął do ostatniego. Dzisiaj kowal dał córce młyn na jęć część, niby za wiano, i siedzi sobie w cudzej krzywdzie jak pani, a my właścicielki z ojca i dziada nie mamy kawałka chleba. — Bóg ich skarże, powiadam, za tę naszą krzywdę. —

— Nie pomstujcie ich tam matusiu! Owszem niechaj im Bóg wybaczy i nie pamięta, bo im gorzej jak nam. — Oni nas mają na sumieniu, a my niczyjéj krzywdy nie dźwigamy, więc my więcéj doznałyśmy szczęścia od Pana Boga. — Byle Bóg dał zdrowie, to z głodu nie pomrze-

my. — Prosie nam się pięknie chowa i gładziutki i bieluśkie jak ogórek, to sprzedamy go na zimę a będzie na przyodziewę, na chleb zaś dla nas obu sama zarobię. Od jutra pójdę do dworu a będę prosić, aby mnie do roboty przyjęli.

— Ej cóż ci tam moja córko przyjdzie i z tego dworu, między temi urwiszami parobkami, co tylko gzów patrz, bo im się próżniaków zachciéwa i lekkiego chleba zamiast pracy.

— Nie bójcie się o mnie matusiu, bo ja się nie dam na złe uwieśdź, . . . takbym ladakogo skrzyczała, żeby mu się brojenia odniechciało.

— Ale kiedy widzisz Zośko, że znów oni panicze to nikomu nie dadzą pokoju . . . wolałabym, aby ci się na wsi jaka robota trafiła.

— Na wsi to trzeba robić za jadło, a nie za pieniądze, więc cóżby mi z tego przyszło, żebym sama jadła a wybyście byli głodni. — Już pójdę do dworu za wołą Pana Boga. Tylko o jedno mi chodzi, że nie mam żadnych butów, a przy dworze to trzeba mieć ladajakie buty.

— O mój Boże! Zkądby tu wziąć?! . . . Może żeby szewc poborgował?

— Nie zborguje matusiu, nie, ale mi może która dziewucha pożyczycy choć na jeden dzień, a wreszcie pójdę i boso, przecież do kościoła, choć do Pana Boga, a muszę iść boso! —

— Pan Bóg, moja córko, prędzéj wybaczy jak

we dworze, bo się Pan Bóg miłosierny zawsze lituje nad ubóstwem, gdyż się sam narodził ubogi w stajence i za nas cierpiał, ale co państwo to biedy nie doznało, a jeszcze gorsi dworscy jak samo państwo.

— Ej, państwo, bo tam dobrzy i niema im przygany, nigdy marnego słowa nie powiedzą, tylko dozorczy to częściej naklną, chociaż nie mają czasem o co.

— Bo oni zawsze tak bywali za dawnych czasów jako i teraz: Kiedy w oczy, to panom schlebiają a na nas wydziwiają i wrzeszczą, a jak na wieś przyjdą, to znowu na panów wygadują i przeciw nim burzą. — Za nieboszczyka Ojca, to też nigdy do dworu nie oddali tyle co się zmełło, a mówili, że młynarz nadmiarek zabrał, i zawsze były o to hałasy, a mój, to takie miał sumienie, iżby nikogo na jedno ziarnko nie ukrzywdził... Ale słuchajno Zośka, gdyby też teraz prosie sprzedać a boby kupić?... Kto wie czy na niem wiele przyrośnie, a byłoby prawie pięniędzy na obówie.

Oj nie chcę matusiu! bo się też dla was przyda na przyodziewę, a zimybyście nie wytrwali w jednej podartej płóciennicy!.. Niechże się tam śmieją ze mnie żem boso; lepiej butów nie mieć jak się odziewać z cudzą krzywdą. We żniwa będą lepiej płacić, to sobie może zarobię.

— Co też to za dziewczucha uczciwa, dziękując Panu Bogu, ta moja Zośka. — Niechże ci Pan Bóg stokrotnie wynadgrodzi za onę matkę, co tak o nią dbasz, a po śmierci niechaj ci przychyli nieba.

— Nie macie mnie co chwalić matusiu, bo ja tego nie warta. Wyście godniejsi, coście mnie wychowali od maleńkiego, choć sami byliście biedni.



II.

Zły sąsiad.

Schodząc na lewo od cmentarza, poczyna się już wieś. — Stoją domy włościańskie rzędem, a pod rozłożystą gruszą Piotr L... dawny kmieć plebański, nowy dom zbudował i naokoło podwórko swoje porządnie ogrodził. Przed płotem posiada on jeszcze kawałek trawnika, który się aż ku środkowej drodze wsi wiejskiej rozciąga. Człowiek ten znany z łakomstwa i twardości serca, w wiecznej z sąsiadami jest walce. Już kilka kur sąsiedzkich zabił, które zajrzały na jego podwórko, a jeżeli gęsi zabłądziły na jego trawnik i przekroczyły granicę, (aktem kadastralnym oznaczoną) śmierć natychmiastną znalazły. — Z tego powodu u sołtysa często bywały sądy. Piotr musiał już nieraz szkodę wynagrodzić, ale zamiast poprawy, w tym większy wpadł gniew i zaciekłość, a zemstą się sąsiadom odgrażał. — Oskarżono go do powiatu, gdzie trzy dni aresztu przesiedział, ale i to nie pomogło, bo Piotr miał

serce z kamienia, i siebie tylko kochając, dla bliźniego nie miał miłosierdzia. Gdy więc biedna Regina z Zośką o jedynym swoim bogactwie, to jest o prosięciu rozmawiają, które pod jesień miało przysporzyć im grosza na zimową odzież, wpada pieniaący się od złości Piotr i rzecze:

— Idźcie sobie po waszego kwiczoła*). Leży tam pod płotem na trawniku, gdzie na *mojem* ryło. Sprawcie go na wieczerzę, bo z niego już nic nie będzie!

Regina i Zosia stanęły w miejscu jak wryte, a razem jęk boleści i rozpaczy wydarł się z ich piersi. — „O mój Bóże! (rzekły one) Jedyny nasz majątek!... Jedyna nasza zapomoga na zimę. Czyście mieli sumienie Piotrze, taką krzywdę robić biednej wdowie!.. Czy się też nie boicie kary Pana Boga! Bogdaj was spotkała, bogdaj!! za krzywdę wdowy i sieroty!

— Nie życcie mu kary Boskiej matusiu! (przezwie Zosia) bo lepsza dusza ludzka od naszego prosięcia! Niech mu tam Pan Bóg wybaczy i niech mu na strasznym sądzie nie pamięta. — On to zrobił z nagłości!...

— Zrobiłem sprawiedliwie i słusznie (odpowiédając się Piotr) bo mój jest trawnik, i z niego rządowi podatek opłacam, a więc wara każdemu

*) Prosię.

od niego. Ja tam na wasze podwórko nie zaglądam, i nie byłoby się poco i zapędzać, chyba po te spruchniałki w ścianach waszjej chaty.

— Nie natrzęsajcie się z naszej biędzy, (rzecze Regina) bo choć mamy budzinę lichą, to z niczyjjej krzywdy, tylko z naszej krwawej pracy. My wam nie zazdrościmy nowjej chałupy, co w niej jest połowa kradzionego drzewa.

— Dajcież pokój matusiu (przerwie Zosia) co nam do Piotra!.. Niech każdy za siebie odpowiada Panu Bogu.

— A widziałś, kiedym kradł, ty przejęta młynarko?! Obtargańcze! co koszuli nie masz na grzbiecie, boś młyn po mężu przejadła! Widziałś, kiedym kradł, alboś może ze mną kradła?

— Widzieli ludzie (odrzeknie Regina).

— Prawda!.. Widzieli!. niech świadczą i niech na to przysięgną, jako i wy przysięgać musicie.

— Matusiu, nie odzywajcie się więcj, proszę was, bo na złe słowo przyjść możecie z takim człowiekiem.

— Z jakim człowiekiem? Gadaj ty pędraku! Cóż to ja za człowiek? Albo mnie to cała wieś nie wyświadczy, żem gospodarz jak się należy, i nie taki nędzarz jak wyście są obie. Widzisz ją, będzie o człowieku gadać!

— No idźcież sobie Piotrze z Panem Bogiem (rzecze Zosia) i kiedyście nam taką krzywdę

wyrządźili, i postradali nas jedynego majątku, tego biednego prosięcia, to przynajmniej na nas nie wywołujcie.

— Weźcie sobie wasz majątek, leży tam pod płotem, a jakbyście kiedy mieli drugie prosię a chodziło na mój trawnik, to mu to samo zrobię, bo wy ze mną roli na wspólnie nie trzymacie, abyście na mojem pasali. A zapowiadam wam, abyście sobie kurę w chałupie trzymali, i abym jej około mojego domostwa nie ujrzał, bo ją zaraz kołkiem zabiję.

— O mój Boże! (rzecze Regina) jedna kurczyna co ją mamy, i toby z wiatrem uleciała, bo żyje samemi robaczkami a nawet jajka nie zniesie! Jeśli ją macie zabijać, to ją sobie zaraz żywą weźcie, na cóż się macie nad biędnem stworzeniem Boskiem pastwić.

— Bez waszej kury się obejdę, tylko wam zapowiadam, abyście ją wiązali w chałupie i aby światem nie goniła.

III.

Targ o prosię.

Gdy odszedł Piotr, Regina zalana łzami przywodziła z uczuciem pewnej zemsty złe postęпки niegodziwego sąsiada, a z drugiej strony ukoić się w żalu nie mogła po stracie prosięcia. — Obliczała spodziewane zyski, któreby ją ze sprzedaży tłustego już wieprzka czekały, a spojrzawszy na Zosię, wyrzucała jój obojętność na wyrządzoną krzywdę. — Zosia chociaż podwójnie żalowała téj straty; raz że jój żal było swego wychowanka, a powtóre iż zysk na nim przeznaczyla na odzież dla matki, ofiarowała tę krzywdę Panu Bogu, i zbierała się iść po prosię, aby go sprzedać miejscowemu rzeźnikowi. — Obie więc z matką zbiegły z górki, i jakoż znalazły na trawniku rozciągnięte biédne prosię ze złamaną zadnią nogą, które poznavszy swoje żywicielki podnieść się chciało, ale od razu znowu upadło i tylko mruzczało, jakby skargę na sprawcę swego kaléctwa. — Gdy Zosia zobaczyła

swego wychowanka litościwie na nią spoglądającego, rzewnie się rozplakała, i zajęła się staranném opatrywaniem złamanéj nogi, kiedy inni sąsiedzi schodząc się na miejsce pobojuwiska, wszelki ratunek dla prosięcia uważali za niemożliwy, albowiem kość była w samym udzie dwa razy przetrąconą. — Radzono więc właścicielkom, aby rzeźnika miejscowego zawołały i jemu czém prędzej prosię to pozbyły. — W liczbie oglądających i radzących była stara kómornica Agnieszka, równie uboga jak i Regina ale bezdzietna i więcej od niéj życia i odwagi mająca. — Zbliżyła się przeto do poszkodowanych, a podnosząc ich ducha, rzekła: „Nie płaczcież już na próżno, bo wam się szkoda nie wróci. — Wieprzka trzeba dobić lub sprzedać, ale was Pan Bóg pocieszy z kąd-innąd, *bo kogo Pan Bóg stworzył, to go nie umorzył.*“ — Rzekłszy to zaś, otarła łzę w oku fartuchem i poszła ku domowi, który po stronie drugiego wzgórza przylepionym był do skały, jak jaskółcze gniazdo do muru.

Regina usłuchawszy rady sąsiadów, poszła po wiejskiego rzeźnika przy moście mieszkającego, a Zosia usiadłszy przy biédnym prosięciu, głaskała go, i łzy obfite roniąc, żegnała się ze swoim wychowancem, który jój ryjak na kolanach położył, i w troskliwości a może w widoczném współczuciu Zosi, ulgi w boleści szukał.

Przyszedł niebawem rzeźnik, chłop ogromnego wzrostu i gęstej a czarnej na głowie czupryny, uzbrojony długim nożem, i stanął przed prosięciem. — Na widok rzeźnika, owego zwiastuna śmierci, zadrżała Zosia i pobladła, zsunęła z wolna głowę prosięcia na trawnik, a powstawszy, odwróciła oczy od sceny, która się wykonywać miała i nie mogąc nadmiaru żalu w sobie stłumić, głośno płakać poczęła.

— Ej, głupia! rzecze jeden z sąsiadów, za wieprzkiem jeszcze będziesz płakać? lepiej wymów sobie z niego u rzeźnika kawał spérki, to będziesz mieć do barszczu.

— Ja roku zeszłego, (rzecze drugi) musiałem krowę dobić a nie płakałem, tylko ją sam sprawilem.

Rzeźnik przybliżył się do prosięca, a podniosłszy go za uszy, zaczął go macać czy tłuste, kiedy biédne prosię kwik rozpaczliwy wydało i powstając na trzech nogach, chciało się uciekać pod obronę Zosi. — Wtenczas biédna dziewczyna, nie mogąc przenieść na sobie żalu, uciekła z płaczem do domu, zostawiając matkę do zawarcia ugody. — Z drugiej strony płotu, stał nielitościwy Piotr, i przypatrując się obojętnie téj całej sprawie, nadśluchiwał, ile rzeźnik za prosię będzie ofiarował.

— Cóż (rzecze rzeźnik) dać wam za tego

kwiczoła?... Ani z tego spérki ani sadła!... dopięroto pod pasek, nie na ziarnie tylko na pokrzywach. — Szynki z tego ladajakie i chyba na kielbasy trzeba mięso pokrajać. Całe pieniądze za niego dwa reńskie, a najwięcej półtrzecia.

— Co téżto mówicie! (przerwie Regina) przecież moja córka dała za niego trzy reńskie, a już go pół roku chowamy. — Dawali nam już za niego ośm reńskich, a nie chciałyśmy.

— Dawali wam, to było brać... ale teraz za koślawinę taką któż wam co da?... Wywiedziecież to na jarmark, albo zapędzicie do miasta, kiedy kulawe?...

— Cóż z tego, że kulawe, ale wam się i tak na pieniądze wyrąbie. — Nie dam wam go od pięciu reńskich.

— Wart brat bratu pięć reńskich, (rzecze jeden z sąsiadów).

— To go kupcie, kiedy wart, (odpowie rzeźnik z przycinkiem).

— A może i kupię, bo się w domu omasta przyda, (rzecze sąsiad).

— Nie kupujcie (zawoła Piotr z za płotu), bo wam nie wolno bić bez opłaty rządowi, i jabym was sam zdał przed inspektorem. — Targu nie psujcie takiemu, co jest jego rzemiosło. Kiedy rzeźnik targują, to niech i kupią.

— A co ci się w to wdawać ty zbójniku!

(odezwie się Bartłomiej, ów sąsiad). Nie dość, żeś babie krzywdę zrobił i pracę jej sterał, to jeszcze jej będziesz targ psuł. — Podobą mi się kupić, to kupię i zapłacę, a tobie do tego nic!

— Nie gębujcie (rzeknie rozzłoszczony Piotr) bobym wam tak zrobił jak i prosięciu, a mam tu dębowy kołek. — Wam nie wolno nogą stąpić na mój trawnik i zmykajcie dopókim dobry. — A wy kobieto zabierajcie sobie czémprędzej prosie, aby mi tu nie śmierdziało.

— Weźmiecie, ile daję? (zapyta rzeźnik).

— Ja wam płacę pięć reńskich (rzecze Bartłomiej) i prosie zabieram.

— Macie wy mnie podkupować (zawoła z gniewem rzeźnik) to mnie téż stać nadłożyć choćbym stracił, i dam sześć reńskich a zaraz wlokę prosie do domu.

— Ja dam siedm (rzecze Bartłomiej) a prosięcia wam brać nie dam; bo kiedyście go dwa reńskie taksowali, toście sumienia nie mieli z bićdnój baby tyle korzystać.

— Nie dawajcie ani grosza więcéj (zawoła Piotr z za płotu).

— Na złość Bartłomiejowi dam ośm (rzecze rzeźnik, wlokąc już prosię za nogę).

— Nie chwytajcie się prosięcia, bo ja płacę równe pieniądze dziesięć reńskich i kwita!... Niech będzie jak chce!... kiedy stracić, to stra-

cić! — Pomóźcie mi Regina zanieść prosie do domu. Zapłacę wam samemi jedynekami i jeszcze wam ukroję z niego kawałek spérki.

— Bóg wam zapłać, mój Bartłomiej, (rzecze Regina) wolę wam życzyć jak komu innemu.

Po tym targu, Bartłomiej z Regimą położyli prosię na sukmanie, a we dwoje nieśli go ku domowi Bartłomieja, kiedy Piotr klnąc, wracał do chałupy, a rzeźnik dogadywał, iż funt wieprzowiny z niego wypadnie na trzy złote, a kiełbasy na dukata łokieć.

IV.

Sąd w karczmie.

Wieczorem, gdy się już roboty w polu zakończyły, a parobcy na całą noc konie wywiedli na paszę, gospodarze i niektóre gospodynie zeszli się do karczmy na pogwarke przy kubku wódki albo przy szklance piwa. — Starszyzna zasiadła za stołem, a młodzi usiedli koło pieca na ławie; najwięksi zaś rozprawiacze i pijacy, nie siedzieli, ale drepcąc w środku szynkownej izby, wydziwiali cuda, i jakto mówią, szukali zaczepki czyli okazji. — Jeden z nich, imieniem Kuba, nałożył sobie fajkę, węgiel palcem z kolumna przygarnął i pykając*) tak do innych rzecze:

— Słyszeliście Mości Panku, jakto Piotr Kubarczyk wdowie po młynarzu prosie uśmiercić? Wlazło mu na trawnik, a on jak go lunie raz i drugi dębowym kołkiem, tak mu nogę we czworo w biodrze przetrącił.

*) Pociągając dym.

— A bo dobrze mu zrobił, (odezwie się drugi pijak Błażej) bo kiedy kto ma prosie, to niech go trzyma na swoim a nie na cudzym. — Ja bym też na nic nie trwał, tylkobym zaraz zabił, jakby na moje wlazło.

— A to nie gadajcie Błażku! (przerwie Wojciech) bo wasze cieleta nie sto ani nie dwieście razy spędzałem z mojego sadu, a przecież wam krzywdy nie uczyniłem. To nie sąsiedzka rzecz, aby we wsi jeden drugiemu stał na zdradzie. — Piotr był zawsze zbójem i takim zostanie do śmierci, a za tę krzywdę, co ubogiej kobiecie zrobił, to rychlój-później Pan Bóg go skarże.

— Macie też kogo bronić Wojciechu, (rzecze Kuba) takiej baby, co jest gorsza jak dziadówka*) i coby się jój rak w wodzie nie chwycił. — Dopóki siedziała w młynie, to było jeszcze babsko do ludzi, ale teraz tak się stęrało, że ani szeląga przy duszy nie ma. Ja powiadam, że takie to próżno zawadza na świecie.

— Oczywiście! (doda Błażej) Cóż z niej jest? Jak długi rok nie widziałem jój przy robocie ani w karczmie. Bo w czémże pójdzie? W tej jednej płóciennicy, co ją ma na grzbiecie?

— To nie jój wina (rzecze Wojciech) tylko złych ludzi, co ją stęrali. — Nieboszczyk Walek

*) Żebraczka.

nie mało zaniósł na Sąd Boski, a i kowal nasz także się z niej spanoszył, a dzisiaj to jój ćwierci zboża nie da na przednowku! Stoi w książce, co się nazywa *Lament SS. Apostolów*, że za krzywdę wdowy i sieroty okrutna będzie kara na tamtym świecie, i olój wrzący mają djabli lać do gardła.

— Ja się tam tego nie boję (odrzeknie Błażej) bom ja żadnej krzywdy nikomu nie zrobił.

— Robicie właśnie, (przerwie Wojciech) kiedy zamiast ująć się za krzywdą ubogiego, Piotra wymawiacie i chwalicie.

— Ja trzymam za sprawiedliwością, bo gdyby kómornice, albo tacy co nie są gospodarzami, ani gruntu nie mają, chcieli z nas korzystać, tobyśmy prędko na dziadów wyszli i nie mieli byśmy za co paczki tabaku kupić. — Toby było najlepiej, aby takich wygnać ze wsi, i niechby tam żebrało na ogranicy.

— Sprawiedliwie mówicie Błażeju (doda Kuba) bo to tylko we wsi zawadza. Chciałoby to żyć a nie ma z czego! Ja żebym był urzędem, tobym ich wszystkich spisał i wypędził het w świat, niechby się tam żywili po dworach.

— Oj, ludzie bez sumienia! (rzecze stary Łukasz siedzący w kącie) to wy zaś bliźniego za Boże stworzenie nie macie, iż jest uboższym od was. A dawnoż wy to te role posiadacie, co na

nich siedzicie?... Dopiero temu jest czternaście lat jak grunta zapisano wam na własność, a jużście się tak spanoszyli, iż ubogim gardzicie! Dziwić się tu szlachcie, że się hernie trzyma, kiedy takie hultajstwo na tych pięciu morgach, co na nich siedzi, rozpiéra się jakby jakie bogacze! — Nie długo czekać, wyjdziecie i wy na dziady, bo zamiast pracować na kawałek chleba, po całych dniach tylko w karczmie siedzicie, a fajki z gęby nie wyjmiecie.

— Dobrze mówią Łukasz (rzekną chórem starsi gospodarze).

— O! święte słowa powiedzieli Łukasz (powtórzą chórem kobiety).

— Chwalcie, go chwalcie, (rzeknie ze złością Kuba) bo gada jak dworski wyjadacz i nie darmo był przez dwadzieścia lat karbownikiem, to się przy dworze pyskować*) wyuczyl. Ale ja chłop z chłopą, gospodarz wsiowy, i syn gospodarski z dziada i pradziada, to ja trzymam za gromadą, a na to mościpanku nie pozwolę, aby ubóstwo miało na naszym wypasać. Kiedy ma prosie, niech go za nogę uwiąże na postronku i trzyma w izbie.

— Na *nawsiu**)* każde ma prawo paść (rzecze Łukasz bo nawsie należy do całej gromady.

— Nie prawda! (odpowie Kuba) bo nawsie

*) Klócić się. **) Wspólny grunt gromadzki.

jest gromadzkie, to jest tych, którzy są gospodarzami, ale żadna kómornica ani chałupnik nie śmie paść na gromadzkim, chyba nam opłaci spaśne.

— Toście wy na taki sposób (rzecze Wojciech) gorsi od szlachty, bo kiedy było pastwisko wspólne, to się dwór nie pytał czyje bydło, i dość że było wsiowe to się pasło, a wybyście chcieli przeczyć nawsia tym biedakom, którzy żadnego kawałka pola nie mają. Gdzież chcecie żeby paśli?

— Co mi tam! (odpowie Kuba) to niech sobie paszą u kogo najmą, bo my im gromadzkiego majątku powąchać nie damy.

— A czyto oni szarwarku nie odrabiają? (doda Łukasz) albo czy ich dzieci tak jak i naszych do wojska nie biorą? Albo podatku jaki na nich jest nie płacą?.. Przecież tak na nich wszystko cięży jak i na nas. — Choćby przez prawo miało iść, toby wygrali.

— Daj pokój Kuba! (rzecze Błażej) bo ich nie przeprosz, gdyż oni dlatego kómorników bronią, że z nich ciągną, a zagony im na odrobek sprzedają. A my się zaś bez tego obejdziemy, bo mamy naszą czeladź, co nam w polu zarobi.

— Juźci prawda (odpowie Łukasz) że my radzi dać biednej kómornicy u siebie zarobić, a wybyście z ubogiego skórę zdarli, tak jak zrobił wasz spółnik Piotr, co wartoby go na środku wsi położyć i wysypać mu pietnaście za taką krzywdę

biednych sierót. — I tak mu to nie przypadło, bo jak sołtys sprawiedliwości z tém nie zrobi, to go zdamy do powiatu i tam go ukarzą.

— Słusznie (rzekł Wojciech) cała gromada się na to podpisze.

— Wszyscy się podpiszemy (zawołało wielu).

— A my się zaś mościpanku, podpiszemy za Piotrem (rzecze Kuba).

— I ja za Piotrem (przyświadczył Błażej).

— I ksiądz się za nami podpisze, i pan z dworu (rzecze Łukasz).

— Zobaczymy czyja będzie wiara u urzędu czy pana ze dworu czy nasza? (odrzekł szyderczo Kuba).

— A jakby nie było sprawiedliwości (zawoła w zapale Wojciech) to my sami Piotra osądzimy, i tak go zbijemy, że nie wstanie.

— Tego nie wolno (przerwie Łukasz), bo niechaj ten sądzi i karze, kto ma do tego prawo. — Dość będzie, że nikt mu z nas dobrego słowa nie rzeknie, i nikt się z nim nie będzie zadawać. — Czy na to przystajecie? jak tu jesteśmy!

— Przystajemy! — Przystajemy! (odrzekną wszyscy, prócz Kuby i Błażeja). —

V.

Wdowa Agnieszka.

Regina powróciwszy do domu z dziesięciu reńskimi, znalazła Zosię we łzach i ciężkim frasunku. Siedziała ona na skrzynce i zanosila się od płaczu. Przeto matka idąc ku niej, rzecze:

— Czegóż płaczesz Zośko, kiedy nam na dobre wyszło! Znalazł się przecież pocziwy człowiek we wai, co podbił rzeźnika i dał nam za prosie aż dziesięć reńskich. Więcej też choćby było zdrowe nie wartalo. — Oto masz pieniądze i schowaj, a nie frasuj się więcej.

— Ej, cóż mi tam! (rzecze Zosia) ja nie o pieniądze płaczę, ani o krzywdę, tylko o prosie. — Nakrażałam w południe pokrzyw, i posypałam je otrębami, i stoją tu w cebrzyku, a niema ich już komu dać, ani o co zadbać. Dawniej jak przyszedł wieczór, to prosie kwiczało w sieni, dopominało się o swoje, a jakem mu się pokazała, to biegło ku mnie jakby do swojej matki, nie przymierzając, a teraz biédny wieprzek leży już

może na korycie, i już go ćwiertują, a my nie mamy ani wróblika kolo chałupy. Przecież dobrze jest jakie Boskie stworzenie opatrywać. — Tak mi się cnie*) matusiu, okrutnie mi się cnie!

— To kupisz na jarmarku inne prosie (rzecze matka) i znów go będziesz chować.

— Ej, nie kupię już matusiu (odpowie Zosia), bo pilniejsza mi dla was przyodziewa na zimę jak prosie; a potém boję się, aby znowu Piotrowi nie weszło na trawnik.

Kiedy tak rozmawiała matka z córką, a słaby tylko odblask dotlewającą się na kóminie szczepy oświecał izbę, przesunęła się około okna ich chaty, biała i wysoka postać, a razem dał się słyszeć kwik prosięcia. — Zosia drgnęła z przestachu, a matka myśląc, iż Bartłomiej cofa się z targu i prosię odnosi, rzekła z gniewem do córki: „Urzekłaś pieniądze, i wieprzka nam odniesz, trzeba będzie oddać papierki.“ — Niedługo słyszają silne stukanie i dobywanie się do drzwi, a gdy matka spieszy otwierać, Zosia wewnątrznie się może raduje, iż jój wychowaniec jeszcze nie zabity, będzie mógł być wylęczonym przy jój troskliwości i nie padnie pod nóż rzeźnika. Wkrótce potém wchodzi Regina z Agnieszką, która uwiązanego za nogę wlecze przy sobie prosiaka.

*) tęskno mi.

— Moja Zośko! (rzecze Agnieszka) wiem jaką ci wyrządzili krzywdę, że jedyny majątek w przychowku coś sobie też z ciężkiej pracy uzbierała, uśmiercili. — Strasznie mi ci się żal zrobiło moja dziewucho, i zaraz sobie umyśliłam, aby ci prosiaka podarować. Ja chociaż biedna, ale jestem sama, a ty utrzymujesz matkę przy sobie, jako dobra córka. — Więc przywiodłam ci tu mojego prosiaka a sobie zostawiłam świnkę, to każde z nas będzie mieć po jednym.

— Oj! moiściewy poczciwi (rzecze Zosia) nie gardzę waszą łaską, ale nie wezmę, bo nigdybym nie chciała, abyście się dla mnie mieli szkodować. — Ja młoda, to sobie zapracuję, a wy starzy, to tyle macie ileście sobie za młodu uzbierali. — Dziękuję wam bardzo ślicznie, ale nie wezmę.

— Nie bądźże głupia Zośko (rzecze Agnieszka) tylko weź, kiedy ci daję ze szczerego serca, bo ja dzieci nie mam, i nikt narzekać nie będzie, ani ci nikt nie odbierze. — Choć jestem uboga kómornica jak i wy, ale takie już mam serce od młodości, że strasznie nie rada jak się komu krzywda stanie. Dochował mnie Pan Bóg do tego wieku a i tak nigdy mi chleba nie brakło, choć się czasem komu co podarowało. Tobie zaś daję tak życzliwie, iż ci ręką pójdzie, i musi ci się darzyć.

Zośka widząc, iż próżne byłyby dalsze targi, upadła do nóg Agnieszki i za kolana ją uściśnawszy, ze łzami dziękowała, a Agnieszka kładąc w rękę Zosi postronek, na którym było prosię uwiązane, podniosła jej rękę do góry, mówiąc owo tajemnicze słowo; „*niech ci rośnie w górę na szczęście.*“ — Regina także skłoniła się do nóg Agnieszki a potem się ucałowały jak dwie stare sąsiady, i zasiadły przy okienku na ławie. Zośka nagotowaną dla tamtego wychowanka strawę podała zaraz nowemu gościowi, który wlaższy w cebrzyk z przednimi nogami, żarłocznie wieszczką spożywał i z apetytu swego pozwolił wróżyć, iż się łatwo utuczy i rosnąć w górę będzie. — Tymczasem między Reginą a Agnieszką toczyła się rozmowa o dzisiejszych obyczajach gospodarzy wiejskich.

— Byłoby się to kiedy za dawnych czasów przytrafiło? (rzecze Agnieszka) albo byłby się w całej wsi znalazł taki, jak ten Piotr, wasz sąsiad, co za to tylko, iż prosię na jego trawnik weszło, nogę mu kołkiem przetrącił?... Nigdy na świecie, takiby się był we wsi nie ostał! Taki byłby zaraz karany i musiałby szkodę wynagrodzić. Ale dzisiaj *wolnizna* powiadają, więc każdemu wolno źle robić. Dawniej poskarżył się człowiek we dworze, ... pan ściągnął obie strony na sąd, albo odesłał do mandataryjusza, i zaraz

była sprawiedliwość. — Dzisiaj zaś jak idziesz do dworu, to pan powie: „A cóż mi tam do gromady?! Wy sobie, ja sobie; dwór teraz nie ma władzy.“ Idziesz do wójta albo do radnego, to ci odpowiedzą, że trzeba o to pisać do powiatu na stęplu. Komuż się to chce pisać, albo kto tam potrafi prośbę lub skargę napisać i ściągać się na prawo do urzędu? — Więc człowiek woli swoją krzywdę darować, jak stawać do sądu raz, drugi a czasem i trzeci. Tymczasem te bogacze we wsi wielką krzywdę nam ubogim czynią i już tak zezuchwaleli, że nigdy pan ze dworu nie jest taki zuchwały jak oni. Ileżto razy moje prosiaki były w pańskiej koniczynie za sadem? Może z jakie dziesięć razy, a przecież mi ich nie zabili, tylko téż raz jeden, co je psami poszczuli, i pies śwince ucho rozerwał. To mi pan pogroził a mówi: „Pilnujcież Agnieszko waszych prosiaków, bo je wam każę zająć,“ a ja mu się do nóg skłoniła i rzekłam: „Przepraszam bardzo pięknie Wielmożnego Pana, ale mi się wywarły parchy i anim wiedziała.“ I na to nic nie rzekł, tylko sobie pomruczał i poszedł do dworu. Ja powiadam, że tam jeszcze z tą szlachtą to sobie człek poradzi, jak umie im podchlebić; — ale moiściewy, z temi naszymi bogaczami, to już ani rady! Wykrzyczą, zpomstują i za Boskie stworzenie ubogiego człowieka nie mają. Im się zdaje,

że cały świat ich, i że oni teraz wszystkiemu rządzą. Ta *wolnizna* *) to nic z niej dobrego nie będzie, bo to wszystko chłopstwo tak zhardzieje, że potem ani się rusz przez wieś bez kija! Ni to słucha kiędza, ni wójta, ni pana, a urząd daleko... Ani to nie ma miłosierdzia nad ubogim, ani się kary Boskiej boi!.. Oto powiadam, że jak w tém porządku nie zaprowadzą, to trzeba będzie nam biędnym ze wsi uciekać albo żebrać po świecie. Są jeszcze gospodarze uczciwi, jak stary Łukasz, Wojciech, Bartłomiej i Grzela zpod lasu, albo Ludwik co jest starszym w bractwie, ale to są już ci starzy gospodarze, co z rodu są dobrzy i dawne czasy zapamiętają. Ale jak ci pomrą, to trudno będzie wyżyć na tym świecie. Oj, tak moiściewy, tak! Doczekałyśmy się na starość takiego czasu!..

— Święte słowa wasze (odrzeknie Regina), bo i ja sobie nieraz myślę, iż się to wszystko nie na dobre obraca ale na złe, gdyż się to chłopstwo przy wolniznie rozhukało jak to bydło co się gzi. Mało który gospodarz dzisiaj pracuje, tylko w karczmie przesiaduje nad kwaterką a czeladnik za niego w polu robi. Gdzież się tam parobkowi chce tak doprawić pola jak temu co jego jest. Do dworu to ani który chłop pójdzie na zarobek,

*) Wolność.

tylko wysyła babę albo dziewczkę; podoła to pracy baba? albo powinna ona na chłopa zarabiać?.. Jakby tak było dalej, to i pańskie i gromadzkie pola zapustoszeją, a chleba na świecie nie będzie. — Dopóki się jeszcze ziemniaki darzyły, to hej! ale teraz, co dwa albo trzy pod krzakiem jak orzeszki, to z czegoż co będzie? Kopiesz pół dnia, a ledwo z nich uskrobiesz na wieszczkę. Myśmy miały dwa zagony na Łukaszowém, co nam dał na odrobek, tośmy ledwie dwa korce wykopały, więc i za robotę nie obstało! I teraz nie byłoby co jeść, żeby Zośka nie zarabiała; ale nie minie dnia, żeby nie zarobiła i nie przyniosła pięciu czeskich do domu.

— Ja myślałam (przerwie Agnieszka), że też o was jakie przyjaźnielstwo pamięta po nieboszczyku, i że was czasem poratuje?!

— Oj, moiściewy (odpowie Regina), co tam o przyjaźnielstwie wspominać! Dopóki mieliśmy majątek, to się wszyscy za krewnych mieli i ciągle u nas przesiadywali. Każdego się uczęstowało, a wielu mój i poratował w jakiej potrzebie; ale teraz mój Boże, to się żadne ani przyzna, choćby był stryjeczny, albo po ciotce, tylko każdy choć spotka, to słowa nie rzecze, ani Boga nie pochwali. — Prędzej obcy zagada, albo do roboty zmówi Zośkę, jak swój! Wyście dopiero pierwsi taką uczciwą kobieta, coście się nad biedną sie-

rotą zmiłowali, za co wam Bóg zapłać na tym i na tamym świecie.

— Niema za co (przerwie Agnieszka), przecież jeden drugiemu grzeczność wyświadczyć powinien, wedle przykazania Boskiego, bo nikt z sobą na tamten świat majątku nie zabierze. — Nago się rodzi i tak też do ziemi świętej pójdzie, a tyle zyska, ile przed sąd Boski ofiary dla bliźniego zaniesie.

— Mówiąc ludzie o śmierci (doda Regina) ale o niej nie myślą, i tak żyją, jakby ich śmierć ominęła. — Ja zaś, tobym i rada umarła, bo mi o to chodzi, żeby Zośce było lżej o sobie samej myśleć.

— To głupie słowo gadacie (przerwie Agnieszka), bo człek musi się zdać na wolę Pana Boga i nie przykrzyć sobie na tym świecie, ale umierać dopiero wtedy, jak Pan Bóg zawoła, i jak śmierć z dobrej woli do człowieka przyjdzie. — Możeby Zośka była nieszczęśliwszą, gdyby was Bóg zabrał, boby już została sierotą bez ojca i matki, a teraz to jój przecież swarnej być przy matce. Oj, dziewczucha, to dopóki nie wyjdzie za chłopa, powinna być przy matce, bo świat teraz oszukany, i lada kto mógłby ją zdradzić a do nieszczęścia przywieść.

— Oj, wiemci ja to, wiem, moiściewy (rzecze Regina) dla tego strasznie się boję tego dworu,

co się zbiera iść do niego na zarobek. Ci dworacy to są wszyscy napastniki, i tylko krążą około chałup, gdzie są dziewczuchy, jak wilcy koło owczarni. — Ja bo już tak strzegę, tak uważam, że ledwo się zmierzchnie, to chałupę zawieram, a na żadne muzyki ani wesela Zośce nie pozwalam, bo o nieszczęście a przypadek nie trudno.

— O Zośkę nie macie się co bać (mówi Agnieszka), bo dziewczucha jest roztropna, a nikt we wsi na nią marnego słowa nie powie. Wreszcie albo to tylko we dworze parobcy broją?... Ktoby tego szukał, toby znalazł i na wsi, a może jeszcze prędzej, bo ta czeladź teraz tak się zbiera, że lata po nocy jak te gacki *) nieprzymierzając. — A jakże ma być inaczej, kiedy z gospodarzy nie mają dobrego przykładu, ani strofować się nie dadzą, bo jakby którego zgromić to przed rokiem pójdzie ze służby i idzie w inną wsi zarabiać.

— Jaki to temu będzie koniec? to ani kto przejrzy! (rzeknie Regina).

— Ej! musi się to jakoś kiedyś naprawić, bo się sami ludzie zmiarkują, że tak być nie może. — Ale to już późno, trzeba iść do chałupy, bo noc ciemna jakby obdzierał, a na niebie chmury

*) nietoperze.

i ani miesiąca nie widać. — Bądźcie zdrowi sąsiado, a ja was tu znowu kiedy odwiedzę.

— Poczekajcież Agnieszko (rzecze Regina) to was Zośka przez ławę na strudze przeprowadzi, abyście w wodę nie wpadli.

— Bóg wam zapłać, ale niema jój po co trudzić, bo ja nie sto razy przez ławę szła w nocy a nigdy mi się dziękować Bogu nic nie przytrafiło.

Obie sąsiady pożegnały się serdecznie, Zośka do nóg upadła Agnieszce i jeszcze raz za dar jój podziękowała; a gdy Agnieszka wyszła, Zosia zbiegła ścięszką z górki i już piérwój była przy strumieniu, aby podać rękę Agnieszce i przepawę jój przez ławę ułatwić. — Agnieszka ją po twarzy pogłasnęła i kazała wracać do domu.

Zośka wracając około cmentarza, przyklękła przed krzyżem, przeżegnała się i zmówiła „wieczny odpoczynek“ w chwili gdy nad jój głowę krążył nocny puszczyk śpiwając żalobnie: „pójdź, pójdź.“ — Chociaż Zosia krzyk przeraźliwy tego ptaka bardzo dobrze znała i była z nim oswojoną, zrobił na niój tą razą tak przykre wrażenie, iż wróciwszy do domu cała drżąca i blada, opowiedziała powód swego strachu matce, i szczępy na kominie rozpałiła, aby ją mniej okropność nocy przerażała. W krótce wichur nagły powstał, groźna chmura się zbliżyła, grzmot coraz bliżej dał się słyszeć, aż wkrótce grom niebieski z łoskotem rozpruł powie-

trze,.... piorun w bliskości upadł, a matka z córką padłszy na kolana razem wymówiły: „A słowo stało się ciałem.“ Po dwugodzinnéj burzy niebo się wyjaśniło, dészcz ustał, grzmiało już tylko w oddali, a Regina z córką zmówiwszy wieczorne pacierze, udały się na spoczynek. — Gdy nazajutrz rano wstały a Zosia poszła do strumienia po wodę, dowiedziała się, iż piorun uderzył w Piotrową gruszę. Pytała się, czyli kogo nie poraził, ale z radością usłyszawszy, że nikt nie zabity, rzekła: „Chwała Bogu, że Piotr żyją, boby mówili, że nasza krzywdą ściągnęła na niego pomstę Bożą.“ To jednak nie przeszkodziło, iż gadano we wsi, iż Bóg Piotr o krzywdę Reginy upomniał, i że to jest Boska przestroga. — Sam Piotr mówił przed sąsiadem, „że pewno ta baba czarownica nakłąć mi musiała i piorun ściągnęła, który gdyby był jeszcze o sążeń dalej upadł, byłby w chałupę trafił. Ale ja się pomszczę na babie albo na jój córce lada kiedy, bo one mnie przed całą wsią obgadują i buntują na mnie gromadę.“

Od téj pogrózki jednak długo nic już o téj całej sprawie nie było słyhać, i już we wsi przestali mówić i o Piotrze i o Reginie, o prosięciu i o piorunie.

VI.

Zarobek we dworze.

Zaledwie pierwszy brzask słońca rozświetlił wzgórze wsi R... a skośny promień odbił się o świeżo pobitą blachę na wieży kościelnéj, i zaledwie ptaszki rozbudzone na drzewach wiejskiego cmentarza, nócić piosnkę zaczęły nad mogiłami zmarłych, już Zosia była na nogach i gotowała żur owsiany na śniadanie dla matki i dla siebie. Matka chciała wstać z łoża, aby jój dopomódz, ale Zośka prosiła, iżby starym swoim kościom wypoczęła, i że ona sama wszystkiemu podola, i śniadanie przygotowuje, czyli, używając zwykłego wyrażenia, *przystroi*. Jakoż zapaliła duży ogień ze świerkowych obrzynków, które strzelały, pękały, ale się żarkim płomieniem paliły. Wkrótce śniadanie było gotowe. — Ziemiaki z przeszłej wiozny zalane żurem pływały jak ryby w mulistéj wodzie, a matka razem z córką łakomo je w misie łowiły, i jak się to mówi *pojudy*, to jest, nasyciły się.

— No, pójdę matusiu do dworu, (rzecze Zosia) bo już polowy wołał z pagórka na pomoc mularzom. Zostańcież mi tu matusiu z Bogiem i dajcie jeść wieprzkowi, a jeśli wasza wola, to na gościńcu w rowie urwijcie trochę pokrzyw, co je skrażamy w południe. A jak wyjdziecie matusiu, z chałupy, to przywrzycieź się, aby się prosie nie wywarło.

— Idź z Bogiem córko (odpowié matka) a pamiętaj, żebyś mi się z żadnym próżniakiem nie zadawała, ani plotek nie słuchała, tylko patrzyła swojej roboty. A w południe jak będziesz wracać, to się trzymaj z dziewczuchami w kompanii i idź sobie prosto drogą, choćby dalej, jak przez wikle, gdziebyś sobie mogła o jaki cierń nogę zranić. A jeśli tam będzie stary Jan mularz, to go pozdrów i jemu się na opiekę oddaj, bo on u nas za nieboszczyka zawsze w młynie poprawiał i ucziwy człowiek.

Po tych matczynych przestrofach, wzięła Zosia łopatę na ramię i poszła ku dworowi, a Regina zabrała się do robienia porządków w izbie, gdzie chociaż było ubogo, ale chędogo. Zamiotła więc całą chałupkę i podwórzyk, umyła miski i garnki, przygasiła ogień, a potem zajęła się przygotowaniem śniadania dla prosięcia, które chociaż było gładsze od tamtego, nie pozyskało przecież dotąd serca Zosi, a tém samém przeszło

pod dozór i opiekę matki. — Ukończywszy główne prace, nie zapomniała Regina podlać krzaka Bożego drzewka, które sobie Zosia w ogródku (na dwa sążnie obszernym) zasadziła, i dwóch krzaków ruty i barwniku przy węgle domu rosnących; potem zaś usiadłszy na progu przed domem, zaczęła mówić koronkę do Najświętszej Panny, kiedy o parę kroków przed jej oczyma i w poprzek ścieżki, wąż się długi przesunął, a zaplózłszy się w trawnik, wznosił głowę i syczyć począł. — „Jezus, Maryja, Józef.“ zawołała przestraszona Regina, „zkaźde się tu taki gad wziął? i co on tu robi?.. Żeby zaś gdy Zośka będzie wracać, w nogę ją nie użarł, a biedna dziewczucha bez butów! Oha! oha!“ zaczyna wołać Regina na węża, „huź go, huź go,“ niby syczy, ale wąż pomału się plezie, i co chwila wznosi głowę i syczy. „Wszelki duch chwali Pana Boga!“ zawołała w końcu Regina, a wąż, jakby pchnięty jaką siłą, zmykać począł i zginał w rozpadlinach wąwozu, którym szła droga ku wsi sąsiedniej.

— Cóżby to zaś miało być takiego? — rozmyślała sobie Regina — czy ostrzeżenie o jakiej pokusie? bo wąż jest kusiciel, co Ewę skusił.. Czy zły jaki człowiek stoi nam na zdradzie?.. Choćby z tych dziesięciu reńskich, cośmy wzięli za prosiaka dać na mszę świętą?.. Nie inaczej, tylko tak trzeba zrobić! A więc weszła do domu,

i otworzywszy skrzynkę, rachuje papierki, których było dziesięć a nie znajduje ich tylko dziesięć. Domyśliła się, iż Zośka wzięła jeden reński, bo prócz niej nikogo nie było w domu, a wieczór jeszcze rachowały obie z matką i było dziesięć sztuk jednoreńskowych. Oczywiście, iż wzięła Zosia, ale po co?.. ona sama powie, gdy z roboty od mularzy wróci.

Regina wzięła reńskiego na miszę świętą, mówiąc sobie: „Kto tam wie, czy do zimy dożyję i czy odzieży potrzebować będę, a łaski Bożej zawsze potrzebuję dla siebie i dla córki, wolę więc ofiarować ten reński na chwałę Bożą, jak chować na zimową odzież. Kiedy sobie już Regina taką pobożną postanowiła ofiarę, Zośka z panem pisarzem następną toczyła rozmowę:

— Słuchajno Zośko, mam ci coś powiedzieć (rzecze pisarz).

— Nie mam czasu słuchać, bo mularze wołają o wapno i bębnią w cebrzyki (odpowie Zosia).

— Ale głupia, słuchaj, kiedy ci mówię!

— No cóż mi pan pisarz mają powiedzieć?

— Oto, chciałbym, abyś mi koszulę uprała, i odniosła do mojej stancyi, to ci dobrze zapłacę (rzeknie pisarz).

— Ma pan dziewczynek dosyć we dworze, coby pana opierały. Ja tam pańskiej bielizny prać nie umiem (odpowie Zośka).

— A cóżto masz za medalik, co ci wisi na piersiach? (zapyta pisarz, posuwając rękę).

— To jest medalik poświęcony, (rzecze Zosia) co broni od złego człowieka i od wszelkiej napaści.

— A jabym ci do niego sprawił sznurek koralii.

— Nie potrzebuję nic od pana pisarza, ani podarunku ani żadnej rzeczy, tylko żeby mi pan dał święty pokój, bobym już nigdy na pańskie nie przyszła, i wołałabym za pół pieniędzy u chłopca pracować.

— A jakbym ja się z tobą naprawdę miał żenić, chciałabyś mnie?

— Nie chciałabym, bo ja wolę chłopca ze wsi jako i ja sama, a pan pisarz niech sobie szuka panny w długich sukniach.

— To gardzisz mną?...

— Nie gardzę, ale bardzo pięknie proszę pana pisarza, aby szedł swoją drogą a mnie dał pokój.

— Jeśli tak, to mi się już nie waży więcej chodzić na zarobek, bo cię nie przyjmę, a na twoje miejsce sto się innych znajdzie.

— Ha, kiedy pan pisarz nie każe, to chodzić nie będę, przecież mi się i tak gdzie inna robota trafi.

Po tej rozmowie pisarz przybrał ton groźny i wyszedłszy na rusztowanie, na którym stali mularze, krzyknąć począł, aby czempredzój podawano wapno, i zwracając się ku mularzom, rzekł:

— Te pomocnice do niczego!.. Już kwadrans jak bębnicie w cebrzyki a żadna kanalijska wapna nie przyniesie. Od jutra je odmienię i dam wam takie dziewczuchy fertyczne jak fruczki, to mości dobrodzieja w lot robota pójdzie.

— Nie potrzeba lepszey robotnicy jak jest Zośka (rzecze stary Jan, mularz), to jedyna dziewczucha do pracy! — Mój Boże! zastałem jęj nieboszczyka ojca! był to bogacz na całą wieś. Miał młyn własny, grunt, ogród, a poczciwy był człowiek. — Ale mu się znało. — Została wdowa z tą sierotą, źli ludzie ją skrzywdzili, majątek za kiepską sumę sprzedali, i to wyszło na biędę. Dzisiaj pracuje to dziewczuszyko jak może, aby chorą matkę wyżywić. — Oj, w całej gromadzie drugiey takięj dziewczyny niema jak Zośka.

— Co wy też gadacie (odrzeknie pisarz), przecież widzicie, jaka niezgrabna i jaki leń, tylko się z nogi na nogę przestępuje jak ten wół w deptaku. Lepsza sto razy Kaśka, bo się uwija i znać ją przy robocie!

— Kaśka?.. (odpowie, wrzuszyszy ramię nani mularz) A jabym Zośki za sto takich Kaśiek nie dał. Kaśka tylko oczami strzela za chłopami, a do roboty ani jęj użgać. Już ja jęj tam nie chcę za pomocnicę i niech ją sobie pan pisarz weźmie do innej roboty.

— A ja znowu Zośki przyjmować na zarobek

nie mogę, (rzecze pisarz) bom się dowodnie przekonął, że nie jest zdatna do dworskiej roboty.

Zadzwoniono na południe, Jan zdjął fartuch skórzany, a potém czapkę, przeżegnał się i mówił na rusztowaniu Anioł Pański. Zośka uklękała, głowę oparłszy o brzozę, mówiła również Pozdrowienie Anielskie. Pan pisarz zaś poprawiwszy czapki na bakier, schodził z rusztowania, i dzwoniąc kluczaniami szedł ku spichrzowi wydawać południowe obroki; spojrzawszy zaś ukosem na Zośkę, pomruknął sobie: „Szelma dziewczucha! albo musi mi się rychlęj późnięj poddać, albo ją djabli wezmą“

Jan mularz zdązał na obiad główną drogą, a Zosia nakrywszy głowę fartuchem i zabrawszy z sobą łopatę, szła za Janem, który się ku nięj zwrócił i rzecze:

— Mogłaś zostawić przy dworze łopatę, czegoż ją masz do chałupy dźwigać?

— Zabrałam ją, (odpowie Zosia) bo już popołudniu nie przyjdę do roboty. Pan pisarz wypowiedział mi zarobek przy dworze.

— A za cóż tak, (zapyta Jan) cóżes ty zawiniła?

— Musiałam mu być w czém przeciwna, (odpowie Zosia) kiedy mi zaprzeczył zarobku.

— Rozumiem, (rzecze Jan) ale nie bój się, bo on sam nie rządzi, ale pan dziedzic. Ja przełożę wszystko panu dziedzicowi, i musi cię przyjąć do roboty. Moja w tém głowa.

— Dziękuję wam panie majster, (rzecze Żosia) ale nie chcę aby pan dziedzic za mnie na pana pisarza hałasił. — Wolę aby była moja krzywda jak czyja. Znają mnie tu we wsi, to ladakto mnie na zarobek przyjmie, a będę sobie spokojna.

— Kiedy pisarz nie muruje tylko ja muruję, to ja mam prawo dobrać sobie takich pomocników, jacy mi są na rękę. Przeto ja pana dziedzica będę prosił, aby ciebie kazał przyjmować, a ja się już tobą będę opiekował. Ile ja to moja córko, od twe go ojca pieniędzy wybrał i chleba najadł! Co my się nieraz nagadali i ucieszyli, to aż miło wspomnieć. Jedyńy to był człowiek! a wyście przez złych ludzi zeszli na biedę. Gdybym ja miał majątek, tobym was zaraz wziął do siebie. Ale i mnie ludzie pozarywali. Oj! dużom i ja majątku stracił przez to, żem był dobry i każdemu zawierzył. Cze ladzi musialem wypłacić a mnie nie zapłacili i zszedłem na biędę. U tego urwisza Piotra, co mu komin stawialem i piec chlebowy do nowój chałupy, mam jeszcze obeszło dwadzieścia reńskich, a płacić mi nie chce, tylko na moją śmierć czeka, aby przepardło. Ale teraz to go pozwę przez prawo, bo łajdakowi nie daruję, za tę samą krzywdę, co wam z prosięciem uczynił.

— Ej, co tam o prosie! (rzecze Zośka) i tak nam się opłaciło, bośmy za niego wzięli dziesięć reńskich a wdowa Agnieszka podarowała mi wieprzka!

— No widzisz?.. Jaka to Opatrzność Boska!.. Toś mnie ukontentowała, że wam się chociaż ta szkoda wynagrodziła! No idźże teraz dziewczę wiklem, bo masz bliżej, a ja pójdę drogą około stawu, a na odwieczerz przychodź do roboty.

— Wiklem nie pójdę panie majster (rzecze Zośka), bo mi matka zakazali, tylko pójdę prosto drogą około kościoła.

— No, to dobrze iż słuchasz matki (odpowie stary Jan), ale i mnie usłuchaj i przyjdź od południa, a nie bój się niczego.

Około wikla dwie drogi się rozchodzą, jedna prowadzi ku dólnej części wsi, a druga ku kościółowi. Pierwszą poszedł Jan, a drugą pobiegła Zośka, i kiedy się zwracała ku pagórkowi, na którym stoi ich chata, spotkała matkę wychodzącą z plebanii. Zdziwiła się, coby matka miała za sprawę u księdza proboszcza? i zbliżywszy się, zapyta:

— Pocóżście matusiu byli u Jegomości?

— Po to, po co i ty byłaś raniój ode mnie moja córko (odpowie Regina) ale ty więcej wskórałaś, bo Bóg od Ciebie ofiarę przyjął a ode mnie nie przyjął. Pomyśliłam sobie, aby z tych dziesięciu reńskich, cośmy wzięły za prosiaka, ofiarować Panu Bogu na mszę świętą z podziękowaniem za Opatrzność Boską. Przychodzę do Jegomości i opowiadam całą rzecz jak była, i kładę mu reńskiego na stole, prosząc, aby odprawił

tę intencją mszą świętą. A on tak do mnie rzeknie: „Już tu była wasza córka i ofiarowała na mszę. Ja chciałem za darmo odprawić, rzeknie, ale jak mnie zaczęła molestować, tak musiałem przyjąć. Więc od was moja matko, rzeknie, drugiego reńskiego nie przyjmę, tylko połączę obie intencyje, i jutro o ósmój rano mszę świętą odprawię.“ Dopiero ja mu opowiedziałam o strachu, jaki miałam z owego węża.

— Jakiego węża? (przerwie strwożona Zosia).

Matka opowiedziała córce całą rzecz jak się miała, a Zośka zadumawszy się przez chwilę, odpowie:

— I ja też matusiu o tym samym czasie taki strach miałam, bo i mnie kusiciel napastował, alem się Panu Bogu ofiarowała, i ten medalik, coście mi po nieboszczyku ojcu dali, wszystko złe ode mnie odpędził.

Zośka znowu wszystko matce opowiedziała, tak o rozmowie z pisarzem, jak i o rozmowie z Janem mularzem, radząc się coby począć?.. Czy iść jeszcze od południa do dworu, czy w domu zostać?! Matka była za tém, aby się na dalszą pokusę nie narażać i nie chodzić, ale z drugiej strony słowa Jana tak stanowczo wpłynęły na umysł Zośki, iż rzekła matce:

— Przecież mi się moja matusiu, przy łasce Pana Jezusa i opiece starego Jana nic złego

stać nie może. — Gdyby mnie pisarz zaczął, tobym go zgromiła, i Janowibym powiedziała, a w robocie mi też nikt nie przygani.

— Rób jak chcesz moja córko (rzecze Regina) masz przecież rozum na to, ale zawsze lepiej od diabła uciekać, jak się z nim mocować. Od grzechu trzeba jak od ognia zawsze stać z daleka, bo od jednej iskierki może się cała chałupa zapalić.

Poszły potem obie spożyć lichy obiad, składający się z kaszy ugotowanej na serwatce. — Przekąsiły kawałek chleba, a Zośka po chwili odpoczynku i namysłu wzięła znowu łopatę na ramię i rzekła:

— Ej, pójdę jeszcze matusiu i spróbuję, może się będzie chciał pisarz ustatkować, a kiedy byłam pół dnia, to pięknie już zostać cały dzień u roboty.

VII.

S e n.

Zośka dorobiła spokojnie swojego dnia przy mularzach, a pan pisarz w groźnym usposobieniu chodził tylko i gromił, kogo napotkał. — Po skończonej pracy wydał znaczki robotnikom chodzącym cały tydzień a Zośce rzucił pieniądze za dzień i nawet się na nią nie spojrział. — Zrozumiała Zośka tę niełaskę, i zapytała czyli już nie ma przychodzić na zarobek? Pan pisarz odpowiedział jój sucho: „Nie!... znajdą się inne.“ Powracając więc Zosia do domu, a spotkawszy się ze starym Janem pożegnała go, mówiąc, że już do pomocy przychodzić nie będzie, bo pisarz dał jój odprawę. — Stary Jan, potrzęsawszy głową, rzekł jój: „Nie bój się, jeszcze poślą do ciebie polowego, prosić cię żebyś przyszła. — Moja w tém głowa!

Wróciwszy do domu, zastała Zosia matkę nieco słabą. — Skarżyła się na ból głowy, na ciągnawkę i darcie w nogach. — Zosia myślała

iż to będzie zimnica, i kazała się jój położyć a nakryła ją pierzyną, położywszy jeszcze na pierzynie wszystko co było w domu, to jest płachtę trawną i dwie płóciennice. Uzbierawszy zaś macierzanki uwarzyła i dała jój się ciepło napić, a sama ugotowała sobie na wieczera wodzianki, i zmówiwszy pacierz, położyła się na skrzyni a głowę nakryła fartuchem. — O północy, matka ją budzi wołając: „Zośko! słyszysz Zośko! któż tu jest?... Zośka ze snu obudzona, zrywa się, biegnie do matki i pyta, czegoby potrzebowała. — Pytam ci się (rzecze matka) kto tu łązi po izbie?

— Nikt matusiu (odpowie córka) nie widzę nic, ani nie słyszę.

— Ale był tu ktoś, albo jest jeszcze, bom widziała jakąś panią w długich sukniach, która mi papier podawała.

— Chyba wam się matusiu w gorączce przyśniło (rzecze Zośka) bo tu nijakiej pani niema, a może téż i miesiąc na ścianie się odbijał.

— Co mi tam gadasz Zośko! kiedym ją na jawie widziała i szła ku drzwiom od komórki, a suknia na niej chrzęściła i w ręce trzymała papier.

Zosie strach przejął i pobiegła do komina rozdmuchać przysypane popiołem węgle. — Zapaliła szczepę, rozłożyła mały ogień, i powró-

ciła do łóża matki, aby zobaczyć czyli zbytńia gorączka nie jest powodem tych marzeń: Ale widząc iż matka zasnęła, siadła sobie przy kominie i mówiła pacierz, kiedy po chwili, słyszy matkę jęczącą przez sen, i wymawiającą: „*O moja siostró kochana!*“ po chwili znowu płakać przez sen zaczęła, mówiąc wyraźnie: „*Umarłaś to już? umarłaś?*“ Coraz większy strach i przerażenie przejmowały Zosię, dech w piersiach zatrzymała, pilnie nadśluchując, kiedy po jakimś czasie znowu matka mówi przez sen: „*Pójdę ja za tobą, pójdę! i zanim się słonko zwróci ku zimie, to już będziemy razem!*“ Powiedziawszy zaś te słowa, obudziła się i zawołała znowu córki do siebie, mówiąc:

— Widziałas twoją ciotkę Zośko?

— Gdzie miałam ją widzieć (odpowie Zosia) kiedy jęj tu nie było i niéma.

— Widzicie!... powiada że jęj niéma, kiedy ona tu stoi w długich sukniach i ręką na mnie kiwa.

— Ale bójcież się Boga matusiu! co wam się téż śni, kiedy przecież w izbie od ogieniaszka widno, a nikogoteńko niéma. — Chyba was tak gorączką zmogła, i marzy wam się to o ciotce, to znów o pani w długiej sukni. — Aż mnie strach przejmuję na takie wasze gadanie!

— Oj nie marzy mi się moja Zośko, i jestem przy zdrowych zmysłach, a wiem dobrze, iż mi się siostra rodzona a twoja ciotka ukazała,

jako już jest na tamtym świecie, a ja za nią wkrótce pójdę.

— Co téżto mówicie matusiu! (rzecze z płaczem Zosia) śni wam się coś i tyła! A to z grzéchem jest w sny wierzyć, bo „*sen mara a Bóg wiara*“ i próżno mnie martwicie matusiu! Ułóźcie się do spania i spijcie, bo jutro rano mamy iść na mszą świętą i jak mszy wysłuchacie, to was wszystko odejdzie i choroba i gorączka i te strachy nocne.

Matka Zosi usłuchała i odwróciwszy się do ściany zasnęła, a Zosia długo jeszcze czuwała, i zziębła ze strachu, a dopiero gdy drugi raz kurzapał, zasnęła, i śniła także o strachach, bo przyznała się matce nazajutrz, że jak sobie głowę ciotką nabiła, tak ciągle się jęj o nięj śniło w długich sukniach i z papierem w ręku.

VIII.

Bóg ucieczką i pociechą.

Słońko zawitało do okienka chałupki, gdzie bezsennością znużone spoczywały jeszcze obie nasze niewiasty. — Zosia obudziwszy się pierwsza, ubrała się w białą koszulę, na ramionach czerwono wyszywaną, wzięła jedyny gorsecik, który tylko na wielkie święta występował, a na to przywdziała biały rajtuch czyli osłonę, którą się kładzie na połowę głowy. — Zpod téj białej osłony aż ku kolanom sięgał czarny warkocz, starannie we czworo spleciony i zakończony żółtą wstążką otrzymaną w darze od matki chrzestnej. Regina się też przybrała, ale na suchym grzbiecie miała tylko starą łataną płóciennicę, bo innej odzieży nie posiadała, na tém zaś zawiesiła kawalek obrusa, jaki z dobrych czasów jęj pozostał, i tak przystrojone czekały godziny przez księdza proboszcza naznaczonej. — Gdy po biegu słońca zmiarkowały, że już jest śniadanna godzina, (to jest siódma), poszły do kościoła, odma-

wiając po drodze koronkę do najświętszej Panny. — Wchodząc do przybytku Pańskiego, przyklękły na progu, ziemię po trzy kroć pocałowały, a dziad kościelny widząc, że już fundatorki nabożeństwa nadeszły, po pierwszy raz na mszę świętą przedzwonił. — Regina, zbliżywszy się do niego, i wyjmując z węzélka dwa grosze, dała je dziadkowi żądając, aby księdza proboszcza uprosił, iżby je przed mszą świętą spowiedzi wysłuchał. — Jakoż wkrótce nadszedł kapłan, pobożne niewiasty do Sakramentu Pokuty przywołał, a dziad ciągnąc żwawiej za sznur sygnaturki, ogłosił powtórnie rozpocząć się wkrótce mającą niekrwawą ofiarę.

Spowiedź była krótka ale rzewna, bo tak matka jak i córka zalane łzami, od trybunału pokuty odeszły i uklękłszy, kornie i żarliwie się modliły. — Ksiądz proboszcz wyszedł ze mszą świętą, Regina i Zosia zbliżyły się do stóp ołtarza i ku ziemi pochylone, składały u stóp krzyża nędzę, niedolę i frasunki życia, a czerpały w ofierze Zbawiciela religijne pociechy, pojąc ducha słodyczami, jakimi Bóg jeden może serca ubogich, nieszczęśliwych i prześladowanych z cierpienia uleczyć. — W tém nadeszła wielka i pożądana chwila połączenia się z Bogiem żywym w przenajświętszym Sakramencie ciała i krwi Pańskiej! Obie niewiasty na kolanach postępo-

wały na wyższe stopnie ołtarza. — Nie śmiały
wznieść oczów, bo czuły się niegodnemi oglą-
dać cielesnym wzrokiem, co widzą wiarą i mi-
łością. — Z zamkniętymi więc oczami wzniosły
głowę na słowo kapłana i przyjęły Boga do
przydomku oczyszczonej du-zy. — Znowu na
klęczkach zstąpiły na niższy schód ołtarza, po-
chyliły się głęboko, i w duchu upokorzyły, a
kapłan je tymczasem błogosławił. — Msza się
skończyła, a nasze niewiasty długo się jeszcze
modliły, po trzykroć na klęczkach obeszły ołtarz
Pański, a pocałowawszy podane im przez dziada
święte relikwije, dały po groszu na ofiarę, i uspo-
kojone, pocieszone, wzmocnione i uradowane,
wyszły z kościoła, i bliższą drogą około Piotro-
wego płotu do swego domku zdążyły. — Piotr
stał przy wrotach, i pogardliwie się na nie spo-
glądał, kiedy Regina powitała go słowy: „Niech
będzie pochwalony Jezus Chrystus!“

— Lepiejbyście szły na zarobek (odpowie Piotr)
jak do kościoła. — Jaka-taka niema czém gęby
obżywić, a zabawia się nabożeństwem.

— Bóg zapłać za dobrą radę (rzecze Regina)
ale Bóg więcej ma jak rozdał, i od Boga wszyst-
tko mamy.

— Od Bartłomieja macie dziesięć reńskich za
prosię a nie od Pana Boga, i tyle też całego wasze-
go majątku dziadówki! (rzecze z naciskiem Piotr).

— Życzymy wam Piotrze, (odpowie Regina)
aby was nigdy taka bięda nie spotkała, w jakiej
my nędzarki jesteśmy; — ale pamiętajcie, iż co
Bóg dał, to i odebrać może, gdy człek o Bogu
zapomina. Zostańcie z Panem Jezusem Piotrze!

— Głupie baby!... (odrzeknie Piotr).

Słowa Reginy, acz ze wzgardą odepchnięte,
wywarły wpływ na umyśle Piotra. — Zesmutniał
i wracając do domu, kopnął nogą psa, który mu
się łasił, — pniak leżący na ściuszce rzucił w gno-
jówkę, potracił żonę stojącą na progu, a wró-
ciwszy do izby, rzucił czapkę na stół, i siadł
na ławie, a głęboko się zamyslił. — Potem wstał
i rzekł żonie sucho: iż idzie na łękę widzieć,
czy szkody jakiej niema, i że cokolwiek spotka
w szkodzie, to zabije. — Wziął też siekię za
pas, i szedł pospiesznym krokiem.

Tymczasem Regina z córką z wypogodzo-
ném licem wracały do swój lepianki; lecz jakież
było ich zadziwienie, gdy zastały drzwi wywa-
żone i izdebkę otwartą. — Wchodzą strwożone
i widzą, że skrzynka odbita, i ostatnie dziewięć
reńskich ukradzione. — W innój chwili byłaby
ich ta nowa strata do rozpacz przywiodła, ale
dzisiaj, kiedy najwyższy skarb to jest Boga sa-
mego w piersiach swych nosiły, spojrzwały tylko
na siebie, a Regina powtórzyła słowa do Piotra
wyrzeczone: „Bóg więcej ma jak rozdał,“ a do-

dała później: „*Bóg dał i Bóg wziął, niech będzie pochwalone Imię Pańskie!*“

Prosiak darowany od Agnieszki zaczął się w tej chwili upominać o pożywienie i przypominał, iż w nim jest jeszcze fundusz na pierwsze życia potrzeby, Zosia więc pochwyciła wiszący na odrzwiach sierp i pobięła nazbierać pokrzyw w rowie, blisko dworskiej od stawu grobli. Gdy w fartuchu garść tych pokrzyw niosła, spotyka ją pisarz, i gromiącym głosem zaczepi:

— Kto ci złodziejko pozwolił zbierać pokrzywy na pańskiej grobli? Zdejm zaraz fartuch, bo ci go zfantuję, a musisz za szkodę dwa dni darmo odrabiać.

— Nie zbierałam na grobli (rzecze strwożona Zosia) tylko tu w rowie na gromadzkiej drodze, gdzie wolno... pokażę nawet panu pisarzowi gdzie zbierałam.

— Łżesz obłudnico (rzecze pisarz) bo ja widziałem na własne oczy! Wyrzuc pokrzywy i odwiąż zapaskę! Rozumiesz? bo ja tu z tobą zarzutować nie będę. Ja pańskiego dobra strzegę jak oka w głowie!

Biedna Zosia zalana łzami, upokorzona niegodziwem posądzeniem, odwiązała zapaskę i oddała ją pisarzowi, który odbierając ją i zwijając rzekł: „Gdybyś była zezwoliła na to com żądał, tobyś mogła i w ogrodzie pańskim zbierać,

a na niczémby wam nie zbywało, ale skoroś taka harda, to ci będę dokuczał, gdzie tylko będę mógł, i musisz przyjść do mnie po zapaskę!“

— Niech pan pisarz weźmie sobie na zawsze zapaskę, bo ja wolę wszystko stracić, a nawet życie postradać, jak duszę wiecznie zagubić. Przecież nas Bóg opatrzy i jeszcze się znajdzie litościwy człowiek, co nam pozwoli zbierać garszc pokrzyw dla naszej chudoby.

Pisarz widząc, iż nic nie utarguje, wziął pod pachę zwiniętą zapaskę, a biedna Zosia z płaczem wracała do domu, zbierając po drodze bukiet z pokrzyw tu i owdzie przy rowie wyrastających. — Już była blisko kościoła, kiedy ją spotyka Wojciech, ów dobry gospodarz i spyta:

— Czegóż ty becysz Zośka?

— Jakże nie mam płakać gospodarzu, kiedy pan pisarz obdarł mnie z zapaski, a to najniewinniej, bo mnie posądził, że zbierałam pokrzywy dla prosięcia na pańskiej grobli, kiedy ja uskubała je w rowie gromadzkim. Nazwał mnie złodziejką; a ja wolałabym śmierć, jak się na cudze łakomić. — Nie dość, że nas skradli dzisiaj, jakeśmy z matusią były w kościele, i coś nam wzięło dziewięć reńskich, któreśmy dostały za prosie od Bartłomieja, jeszcze teraz jedyną zapaskę zabrał pisarz i zaniósł do dworu, a kazał mi trzy dni odrobić, albo żebym przysła

do niego po zapaskę. — A ja nie pójdę moście wy do niego, choćbym oka zapomniała, i wolę zapaskę stracić.

— No, nie płacz dziewczę (rzecze Wojciech) i pójdź ze mną do Jegomości. Już trzeba z tym pisarzem koniec zrobić, aby nam we wsi dzie wuch nie bałamucik. Jegomość pójdzie do dworu i całą rzecz sprawi.

— Ej, już nie pójdę do Jegomości, bom była dopiero z matką cośmy się obie dzisiaj słuchały *); a potem nie chcę nikogo oskarżać, tylko się żałę.

— Więc ja pójdę i rzecz całą opowiem, a teraz pójdź ze mną do chałupy, to ci dam zapaskę po nieboszce mojej córce, a jak będziesz chciała urwać pokrzyw, to możesz urwać na mo- jém polu, albo w moim sadzie, to ci nikt złęgo słowa nie rzecze.

— Bóg wam zapłać (odpowie Zośka) za wa- sze miłosierdzie, bo też na raz nie mam gdzie uzbierać pokrzyw, a Agnieszka zpod skały daro- wała nam wieprzka za tę szkodę, co nam się z prosiakiem wydarzyła.

— Proszę?!... to uczciwa baba ta Agnieszka! Ona już nie jednego poratowała, choć sama uboga.

Tak rozmawiając szła Zośka ku domowi Woj- ciecha, gdzie gdy przyszli, poszedł Wojciech do

kłomory i wyniósł zapaskę w czerwone paski, a syn jego Józek, chłopiec dwudziestodwuletni, który rznął sieczkę w izbie, przyglądał się z upodobaniem Zośce, i dowiedziawszy się o co chodzi, rzekł ojcu:

— Przecież macie tatusiu lepszą zapaskę od tej. — Jeżeli macie co dać, to dajcie co dobrego.

Ojciec wyniósł drugą zapaskę i rzekł Zosi: „To masz dziewczę obiedwie, a westchnij do Pana Boga za duszę mojej córki.“

Wróciła Zośka do domu z dwiema zapaskami zamiast jednej i z pokrzywami, ale i ze łzami w oczach a opowiedziawszy wszystko matce, dodała:

— Gdyby nie to matusiu, żem była dzisiaj u spowiedzi świętej, tobym nigdy tego pisarzowi nie darowała, że mnie nazwał złodziejką.

— Oj prawda (rzecze matka), iż takiego łajdaka to tylko obmyć pięknie i powiesić... ale Boże odpuść za takie słowo po spowiedzi świętej!... Niech mu tam Pan Bóg wybaczy!...

— Bo się też to wszystko na nas teraz uwzięło! Tu prosie, tu pieniądzą,.. pisarz,.. zapaska!.. ale „niech się święci wola Boska!...“ Pan Jezus więcej za nas cierpiał.. Jedliście co matusiu?.. bo ja nie mam żadnego do jądła smaku.

— Nie jadłam (odpowie matka) bo jakieś wy- szła na pokrzywy, to chciałam zacierki ugoto- wać, ale i mąkę co była w garnku zabrało, więc w domu niema nic, a niema za co kupić.

*) Spowiadały.

— Przecież są jeszcze pieniądze w skorupie, co wczoraj zarobiłam, to dajcież, a kupię u młynarza jakich zmiotków.

— Ah prawda, dzięki Bogu, że jest jeszcze na dzisiaj czém się pożywić, więc idźże prędzej a kup mąki, to ugotujemy na południe.

Kiedy Zośka poszła do młyna po mąkę, matka rozpałała ogień i grzała wodę na zacierkę, walcząc zemstę przy wspomnieniach obrazy jakiej doznała córka, uczuciem pobożności, którą w niej tém goręcej Sakrament święty rozżarzył. — Ile razy pokusa gniewu lub zemsty napastnęła jęj serce, tyle razy uderzywszy się w piersi, powtarzała: „Panie, któryś za nas cierpiał rany, Jezu, Jezu, zmiłuj się nad nami.“ Zośka długo nie wracała, matka niespokojna wyglądała na córkę to przez szybę okienka, to na progu domu stawała, aż zamiast córki, widzi nadchodzącego polowego ze dworu, który się tak do niej odezwie:

— Woła was pan do dworu na jakąś sprawę. Macie się stawić zaraz z córką.

— Córki w domu niema (rzecze strwożona Regina) a o żadnej sprawie nie słycham, ani o niczém nie wiem.

— I ja nie wiem (odpowie polowy). Dość że mi kazano przyprowadzić was do dworu z córką i basta!

— A mój Boże (odezwie się Regina) cóż zno-

wu takiego, pewno o te pokrzywy co pisarz posadził Zośkę, iż zbierała na grobli, a ona sumiennie zbierała w rowie.

— Nie wiem o co, dość że macie się stawić obie. — Będzie tam coś złego, bo pan ogromnie wrzeszczał, a pisarz rozkładał rękami i tłumaczył się. — Potém mnie stróż zawołał z boiska i kazał mi po was iść, więc poszedłem.

Regina w pół żywa, a w pół umarła trzęsła się jak liść na osice, kiedy córka wbiega z węzełkiem kupionęj mąki i chce coś do matki przemówić, ale oczy się jęj spotykają z surowym wzrokiem polowego. — Staneła jak wryta, i pyta się: O cóżby znowu chodziło?

— Zbieraj się zaraz z matką do dworu na sprawę! (odrzeknie polowy) prędzej! bo nie mam czasu zabawiać się tu z wami.

Zosia pobladła, wzięła osłonę którą miała w kościele, matce podała obrus i nakryła ją nim, mówiąc: To idźmy matusi! nie poczuwamy się do niczego złego, to nie mamy się czego bać. A wreszcie kiedy już Bóg chce, abyśmy tyle cierpiał, to niech się dzieje wola Boska.

Zebrały się więc obiedwie i szły w milczeniu za polowym, który je poprzedzał, i sążnistymi krokami ku dworowi przez wikle spieszał. — Biedna Regina nędzą i chorobą osłabiona, nastarczyć nie mogła i tchu jęj bra-

kowało, a Zośka z żalem spoglądała na matkę, iż resztą sił dogania i pochylona i zmęczona pod górę się dźwiga. — Wkrótce stanęły przed dworem a polowy kazał im czekać na ganku, sam zaś poszedł zameldować panu, iż winowajczynie przyprowadził. — Z kuchni wybiegła dziewczka folwarczna, znajoma Reginy i szepnęła jój do ucha: „Oj! nasłuchacie się dopiéro, nasłuchacie, bo dziedzic taki zły, tak wrzeszczy, że się go wszyscy boją.

Regina i Zośka truchlały z obawy i przerażenia, gdy wybiegł prędko polowy, a nie spojrzawszy nawet na nie, szedł przyspieszonym krokiem za folwark. — Wkrótce potem wybiegła z pokoju panna służąca i cienkim głosikiem zapyta Zośki: „Czy ty jesteś Zośka, owa dziewczyna co ci zapaskę odebrał pan pisarz?

— A ja jestem proszę panny (odpowie Zośka) ale Bóg mnie wyświadczy, że jestem niewinna, bom na grobli nie zbierała pokrzyw, tylko w rowie.

— Oh! mogłabym przysiądz (rzecze Regina) za moją córką, iżby się nigdy na niczyje nie łakomiła. — Jesteśmy biędne, i dotąd jesteśmy o głodzie, ale nas nikt nie przekona, abyśmy kogo ukrzywdziły, albo szkodę chciały komu wyrządzić.

— Poczekajcież tu (rzecze panna służąca) to was później zawołają.

IX.

Sąd we dworze.

Po chwili wracał polowy przodem, a za nim pisarz i Jan mularz zdążali do dworu. Gdy pisarz przechodził gankiem około Zośki, szepnął jój półsłówkiem, aby go nie potępiła. Matka to dostrzegła i zapytała córki, coby jój pisarz powiedział? — Prosi mnie (rzecze Zośka) abym go przed państwem nie zdawała z niczego. — Mów prawdę! (odpowie matka) bo kiedy on cię niewinnie złodziejką przezwał, to ty powiedz co wiész na niego. — Moja matusiu, (odpowie Zośka) lepiej swoją krzywdę znieść, jak na drugiego podwodzić; a jakby zaś on mnie oskarżał niesłusznie, to się będę bronić. — Wkrótce wyszedł Jan mularz i zawołał kobiety, aby do pana na sprawę przyszły. Wchodząc tedy do pokoju, pokłoniły się do nóg panu dziedzicowi i księdzu proboszczowi, którego tam zastały, i cofnęły się ku drzwiom, słuchając, o co będą zapytane. Pan zbliżywszy się do nich, rzekł łagodnie:

— Podobno wam wyrządzono krzywdę i pan pisarz odmówił córce waszej przy mularzach zarobku? Jakiż był do tego powód?

— Ja nie wiem Wielmożny Panie, o co poszło, (rzecze Regina) musiała moja córka źle pracować, kiedy ją odegnali. Na wsi wychowana, to dworskiej roboty nie rozumie. W polu żąć albo siano grabić to potrafi, bo od małego do tego włożona.

— Ale podobno inny był powód? (rzecze pan, zwracając się do Zośki).

— Ja nie wiem Wielmożny Panie! (odpowiódł Zośka spuściwszy w dół oczy) powiedzieli mi przy wyplacie, abym nie przychodziła, i tyle wiem.

— A dla czegoż wziął ci dzisiaj pan pisarz zapaskę? (zapytał pan)

— Bo myślał, że zbierałam pokrzywy na pańskiej grobli, a ja zbierałam w rowie, gdyżbyłam się nigdy nie odważyła na cudze zapędzać!

— I innego nie miał powodu, i nie od ciebie nie wymagał? (zapytał pan)

— Ja nie wiem (odrzekła Zośka, rumieniąc się).

— Kiedy ty nie wiesz, poczciwa dziewczuchko, (rzecze pan) to ja wiem, i wiem z pewnych źródeł; chciałem tylko, aby obecność wasza skłoniła pana pisarza do wyznania winy i upokorzenia się, ale widzę iż tego celu nie dopiąłem; (zwracając się do pisarza) cóż Waćpan mówisz, czémże się usprawiedliwiasz?!

— Ja proszę Wielmożnego Pana (rzecze jakąś się pisarz) jestem od tego, abym dobra pańskiego pilnował, jak oka w głowie. — Bo ja taki jestem, iż nie dojem i nie dośpię, tylko ciekam i biegam, aby szkody jakiej nie było. — Więc przeto było tak najprzód: Zośka przyszła do mularzy we wtorek z łopata, a ja jój powiedziałem, że będzie wapno nosić. — Dobrze! Tak ona cóż robiąc, nasypała mi piasku do wapna może drugie tyle jak trzeba, a ja jój mówię: Zośka nie syp tyle piasku do wapna, a ona mi na to: „Kiedym niedogodna, to sobie pójdę od południa!“ — A ja jój mówię: Jak sobie chcesz, to znajdą się inne. — Dopiero znowu bębnią mularze w cebrzyki, bo brakło im wapna na rusztowaniu, a ja mówię Zośce: Nieśże prędzej wapno mularzom bo bębnią; a ona mi powiada: Niech bębnią!... Tak ja poszedł do mularzy i świadczę się nimi, jakom zaraz mówił: Ze cóż mi to za pomoc taka, co wapna nie donosi? i obiecałem zmienić dziewczuchy. — (Zwracając się do Jana) No, nieprawdaż?... nie takem mówił?... Dopiero Jan za Zośką obstawał, a ja gadał, że do niczego jest taka dziewczucha, która nie jest obrotna ani wprawna do rzeczy. — Więc zadzwonili na południe, a potem przyszła i dorobiła dnia, ale

coż mi tam z jój roboty? — Więc ją pięknie wypłaciłem co do grosza i poszła sobie swoją drogą a ja moja. — To raz. Znowu dzisiaj tak było: Ja wyszedłem obejrzyć staw, czyli broń Boże, woda około upustu się nie przekradała, albo kto na ryby z tych chłopaków wzięczerzy nie zastawił. — Oglądam i patrzę, jak się należy i jak mój święty obowiązek nakazuje, a tu słyszę, że coś sierpem brzęczy na grobli;... więc ja chyłkiem skradam się, jak ten strzelec na zwierzyńcu, a tu już Zośka na drodze niesie w zapasce pokrzywy. — Dopiero ja zbiegł i mówię: „a ty złodziejko! wyraziłem się, proszę Wielmożnego Pana! coż ty masz na pańskiej grobli trawę czy pokrzywy zbierać?... Niech ona powie sama czy nie tak było! Więc ona zbladła dopiero jak szmata, i mówi do mnie: „ja w rowie zbierała a nie na grobli.“ — A ja jój mówię: „łżesz, bo ja słyszał i widział!“ Oddaj zapaskę, a trzy dni za nią musisz odrabiać, bo ja, rzeknę, od tego jestem, abym pańskiego dobra przestrzegął, i wziąłem zapaskę, a ona poszła płacząca do domu. — I tyle było wszystkiego, na co jestem gotów przysięgnąć. — Czyliż więc mam być za to posponowany, że jestem wiernym sługą pańskim, i że z tymi chamami, chłopami, nie trzymam, którzy są pierwsi nieprzyjaciele dworu i gotowiby cały dwór w łyżce wody utopić?...

Niechaj teraz każdy tę sprawę osądzi i weźmie na mądrą rozagę, jakim ja sposobem mógłem zcierpieć, aby do wapna sypać tyle piasku, albo zrzucać pańskie pokrzywy, które dla pańskiej nierogacizny wielce są przydatne.

— Teraz niech mówią świadkowie! (rzecze pan dziedzic). Niech mówi stary Jan.

— Coż ja mam mówić, Wielmożny Panie (odpowie Jan) kiedy wszystko pan pisarz powykręcał, jakby ten szewc kopytem. Pan pisarz jest młody, chce mu się gzów z dziewczętami, i trafił na taką, co, broń Boże, na to się pisać nie chciała, więc się na niej mści. — Inne bo tam nie są tak strachliwe, więc mu bakę świecą a on im świadczy i basują sobie nawzajem. — Ta zaś Zośka to jedyna dziewczucha do roboty! to ciągnie jak bydle i nie trzeba na to wołać, bo samo robi. Ale co do uczciwości, to znowu poszukać, jakie są obiedwie matka z córką! To nie ruszy, ani niczyjego nie pragnie, jeszcze swoje opuści. — Biédneto, bo biédne i każdy się nad tem pastwi. — Piotr zabił im prosie,... nic nie rzekły... Coś skradło im dzisiaj dziewięć reńskich, i nic nie mówią a jeść nie mają co!... Pan pisarz zdarł z dziewczuchy najniewinniej zapaskę i niebyłyby się skarżyły, tylko Wielmożny Ksiądz Proboszcz się pożałił. — Ja powiadam, że niebo czeka te baby

za tę krzywdę co cierpliwie znoszą. — Tyle mam powiedzieć a więcej nie wiem.

— Co do mnie (rzecze ksiądz proboszcz) to sumiennie potwierdzam sprawiedliwe pochwały dane tym dwom niewiastom, jak z drugiej strony, muszę się pożalić na pana pisarza, iż robi zgorzsenie we wsi i najniemoralniej się prowadzi. — Mam na to dwody, których tu przez wstyd przytaczać nie mogę. — Staję tylko w obronie niewinności tych ubogich kómornie, zaręczając, iż zarzut złodziejstwa uczyniony Zośce jest potwarzą.

— Proszę Wielmożnego Pana i Księdza Proboszcza (rzecze pisarz) iż ja nie wiem jak teraz żyć na świecie, i że trzeba widzę trzymać z chłopami przeciw dworowi, aby wygrać. — Ja co jestem jak ten bursztyn czysty, i co się do buta mego ziarnko pańskie nie przylepi, to ja i mam być o jedną głupią dziewczuchę w supozycyi?... Dla czegoż ona nic nie mówi, chociaż ma kiedy in-dziej gębę odpowiadać? Pytał jój się Wielmożny Pan, a przecież nic nie rzekła.

— Bo nie chciała.... (rzeknie Regina).

— Dajcież pokój matusiu (przerwie Zośka) cóż wam z tego przyjdzie?....

— Mówcież kobięto, coście mieli powiedzieć (rzecze pan) „iż nie chciała....“

— Ej, matusia (odpowiē Zośka), matusia toby za mnie w ogień poszli, więc są bardzo niecier-

pliwi, ale ja tam o to nie dbam; i niech tam każdy za siebie odpowiada Panu Bogu.

— Ona powiada Wielmożny Panie (rzecze stary Jan) że nie lubi na nikogo podwodzić ani nikomu stać na zdradzie. — Bo ona taka jest, że poszukać takiej dziewczuchy na całą okolicę.

— Nie chcę więcej dochodzić (rzecze pan) ani przymuszać tych poczciwych kobiet do zeznań. Świadectwo księdza proboszcza i starego Jana mi wystarcza. — Zapaska Zośce ma być zaraz oddaną, a pan pisarz od dziś-dnia służbę utracił. — Zapłacę mu do świętego Jana, lecz ma się natychmiast z domu mego rugować, i ani dnia jednego we wsi się zatrzymać. — Obowiązkiem dworu jest świecić dobrym przykładem i przestrzegać moralności, bo za gromadę Bogu jest odpowiedzialnym. — Chociaż pan we wsi nie ma już władzy, to ma jednak poważne wśród ludu stanowisko, i powinien sobie przez wzory i przestępstwa zasługiwać na szacunek gromady. — A zatem usunąć wszelkie powody zgorzsenia świętą jest moją powinnością i tój w każdym razie dopełnię. — Dziękuję Księdzu Proboszczowi, iż mnie ostrzegł i nastęrczył sposobność wymierzenia sprawiedliwości. — Aby zaś Zośka mogła z wolnym sumieniem zbierać pokrzywy na grobli, więc dam rozkaz polowemu, aby jój nie bronił. Od jutra zaś może przychodzić na zarobek przy-

mularzach i oddaję ją pod opiekę starego Jana. Że zaś słyszę, iż ta biedna Regina taką stratę poniosła, przeto wspólnie z sołtysem upominać się będę o jej krzywdę, a tymczasem ofiaruję jej podarunkiem pół korca żyta na chleb, które jej karbowy wyda. — Moja żona dowiedziawszy się o tej całej sprawie, kazała dla Zośki uszyć nowy fartuch, który jej panna służąca odda. — Rzecz więc cała załatwiona, i idźcie już kobiecie do domu.

— Ej, proszę bardzo ślicznie Wielmożnego Pana (rzecze Regina skłaniając się do nóg dziedzica) żeby to Wielmożny Pan panu pisarzowi winę odpuścił i ze służby go nie wyganiał!... Już wolałabym żyta nie brać.

— I ja też proszę bardzo Wielmożnego Pana (rzecze Zosia) za panem pisarzem, aby z mojej przyczyny miejsca nie utracił.

— On się poprawi,... bo to jeszcze młode. (rzecze Regina).

— Pan pisarz wiecnieby mi pamiętał (dodała Zośka). Już wolę zapaski nie brać i moją darować.

— I ja też proszę za panem pisarzem (rzecze Jan, całując dziedzica w rękę).

— Nie! moje dzieci! — Moją krzywdę darowałbym chętnie, ale obrazy Boskiej i zgorszenia we wsi bezkarnie puścić nie mogę. — Przykład ten jest potrzebny, nie tylko dla tych pisarzów,

których później przyjmę, ale i dla dziewcząt, które zamiast wynieść z dworu naukę, oświatę i zarobek, wyniosłyby zgorszenie, a grzechem skalane, wracałyby do rodzicielskiego domu. — A wtenczas jabym ich grzech miał na sumieniu! — Pan pisarz niech składa manatki, a furka go do Krakowa odwiezie, lub gdzie sobie życzy.

Zośka na pokrzywach.

Po odbytych sądzie we dworze, wracały matka z córką, zbudowane sprawiedliwością pana dziedzica, a chociaż z dobrej strony o nim słyszały, to przecież widywały go tylko w kościele, ale nie znalazły się z nim nigdy w bliższym stosunku. Wreszcie pan dopiero od lat sześciu wieś tę nabył, a gromada była liczną, więc przy dzisiejszem rozerwaniu jednościi sielskiej, bliżsi tylko dworu gospodarze z dziedzicem się zapoznali, bo mieli wspólny interes granic lub wzajemnego zabezpieczenia własności. — Regina wszystkiem tém co się stało uradowaną była: najprzód iż poznawszy pana, spodziewała się stać bezpiecześnie pod jego opieką, powtóre iż pisarz odchodzi, a więc odsuwa się dla córki powód zgorzenia i pokusy, a że tém samem pod dozorem Jana codzienny w lecie znajdzie zarobek i mniej uciążliwą pracę. Dalej: iż ofiarowanem żytem z miesiąc się obiepożywią, a w końcu nie obojętnem dla niej było,

że na grobli, blisko domu, wolno będzie Zośce zbierać pokrzyw. — Było więc dla biédnej wdowy jeden z szczęśliwszych dni roku. Szła téż pewniejszym krokiem do domu i przebiegała w milczeniu myślą cały tok odbytej sprawy, gdy jak zawsze wypadło im przechodzić około Piotrowego domu... Piotr, który jak szatan uwziął się mieszać zawsze pokój tych biednych kobiet, zaczepił je z za wrotek nową obelgą:

— Cóż dziadówki, (rzecze on) dużoście tam we dworze uzebrały?... Musieliście Regina, wodzić panu córkę na pokaz, czy się do dworu nada, i czy dworskim darmozjadom będzie wysłużna?

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ (odrzeknie Regina, udając, iż obelgi nie słyszy).

— Do kościoła chodzą i Panu Bogu świeczkę palą (doda Piotr) a potem chodzą do dworu zalécać się szlachcicowi. — Ja zaś do kościoła nie chodzę, ale téż i z dworem nie trzymam!... Bestyje baby!... przychlebnice!...

Regina z Zośką przyspieszyły kroku i nie obejrzawszy się na Piotra, biegły do domu, kiedy on za nimi jeszcze wołał, a do każdej obelgi łączył albo bluźnierstwo, albo przekleństwo. — Zosia rzekła tylko: „Boże odpuść mu, a nie poczytuj mu tego na zatracenie przy skonaniu.“

Powróciwszy do swój chałupki, słyszą bié-

dnego wieprzka rozpaczliwie kwiczącego o jadło, bo w istocie na śniadanie dostało tylko prosię bukiet pokrzyw, a na takiego żarłoka to niedostatecznie. — Przebrała się więc prędko Zosia, wzięła sierp i miała biegnąć na groblę, kiedy po chwili namysłu rzekła do matki:

— Ej, nie pójdę matusiu na groblę, tylko do Wojciecha! najprzód dla tego, iż Wojciechowi prędkiej odwdziżyć możemy tę łaskę, i dopomóż mu wczasie żniw, albo do grabienia siana, a potem żeby Piotr rozgadywał we wsi, że nam pan tyle już świadczy, iż na swoim zbierać pozwala, a potem iż na grobli ladajakie próżniaki chodzą, coby mnie chcieli zabawiać, a ja tego nie potrzebuję.

— O, dobrze moja córko (odpowie Regina) mądraś, żeś sobie to tak umyśliła. Idź do Wojciecha — podziękuj mu za te zapaski co ci dał, i za obronę co cię obronił, i opowiedz mu jak się co we dworze dzisiaj stało.

Zoska idąc za tém natchnieniem, zbiegła prędko z górki, niosąc płachtę trawną na ramieniu i sierp w ręce. — Chyłkiem się przesunęła około domu Piotrowego, i nucąc pieśń pobożną, stanęła wkrótce przed domem Wojciecha. Na podwórca Józek syn Wojciecha wóz ładował (czyli przyrzędział) a zobaczywszy Zośkę, mile się do niej uśmiechnął, mówiąc:

— Witajże Zośka!.... przyszłaś na pokrzywy?

Jest-ci ich tam dużo w sadzie i to młodych, mięciutkich, to sobie nazbierasz ile będziesz chciała, a jak wóz zładuję, to ci pomogę zbierać, albo kosą utnę.

Zośka zmieszana, pyta o Wojciecha, a gdy jój Józek powiedział, że go w domu niema, i że sam tylko jest w chałupie, cofnęła się i chciała powracać do domu, kiedy jój Józek rzeknie:

— Nie bójże się dziewucho, bo cię przecież nie zjem, ani ci krzywdy nijakiej nie zrobię, bom ja nie jest żaden filistyn jak są inni parobcy, aby stać komu na zdradzie. — Przeszkody żadnej mieć nie będziesz i jeszcze chałupy przypilnujesz, gdy do lasu pojedę, dopóki tatuś mój nie wróca.

Ośmielona tém Zośka weszła przez przełaz do sadu i obejrzała się na Józka, a źrenice się ich spotkały jak dwa płomienie, które się w górze łączą. Zośka w téj chwili uczuła w sobie jakies nieznanie jój nigdy wzruszenie, nogi pod nią zadrżały, bieg krwi i oddech jakby się chwilowo w piersiach zatrzymał, głowa się jój niemal zawróciła, i rozściełając płachtę na trawniku, obróciła się tyłem do podwórka, aby nawet przez płot Józka nie widzieć.

XI.

Zwierzenie.

Józek wyprowadził konie ze stajenki, zaprzągnął je do wozu, a zanim odjechał, krzyż biczem na ziemi przed końmi położył, sam się przeżegnał i siadł na literce. — Raz się jeszcze na Zosię obejrzał, z bicza trzasnął, i ruszył z podwórka. Zosia spojrzała za nim, a gdy się około węgła domu zwrócił na gościeniec, zbliżyła się do płotu, aby go raz jeszcze zobaczyć.

— Nie przyjdę ja tu już więcej (rzecze sama do siebie), bobym znowu może samego Józka zastała, a chciałby ze mną pokrzywy zbierać... I cóż mi tam po tém... Ja tego nie potrzebuję... Wolę sobie na grobli uzbierać i wracać do domu. — Albo mi to źle przy matusi?... Wolę na nią pracować, dopóki żyją. Ej, już pójdę... bo wystarczy na dwa dni pokrzyw, com narwała,... a takie parzące te pokrzywy, aż mnie ręce pieką. — Pójdę... bo ja tam nie chcę o niczém słuchać, i to głupstwo mieć nawet takie pomyslenie!... Ale

jakże mam iść, kiedy mnie Józek prosił, abym na Wojciecha poczekała... a Bóg wie, kiedy gospodarz przyjdą?... Może się gdzie w karczynie zabawiają?... Może Józek prędkiej z pola przyjedzie, zanim Wojciech przyjdą. — A matusia będą się frasować, że mnie nie widać, i prosie kwiczy bez jadła... Ach, bodajże cię Józku, bodaj, żeś mi kazał chałupy pilnować!...

Tak sobie Zośka mówiła i rozmyślała, kiedy zobaczyła wracającego Wojciecha, który wolnym krokiem szedł ku swemu domowi.

— Wojciech wracają, (mówi Zosia do siebie) to się już trzeba zbierać... A Józek tam w polu musi mieć jakąś robotę i nie łapio *) przyjedzie. — Ha! i lepiej, bo cóż mi tam z niego przyjdzie? On gospodarski syn, a ja córka kómornicy!

— Witajże mi Zośko, witaj, (rzecze Wojciech wchodząc na podwórko). Uzbierałaś sobie pokrzyw?...

— Bóg wam zapłać (rzecze Zośka, chwytając pod nogi Wojciecha), uzbierałam sobie, i będę mieć na dwa dni, a teraz czekam abyście wrócili, bo Józek pojechał w pole i nikogo nie było przy chałupie, więc zostałam do dozoru.

— Toś zrobiła poczciwie gosposiu, boby lada kto mógł wejść do chałupy i spaskudować.**)

*) Prędko. **) Ukraść.

Tak jak i wam się wydarzyło, co was na dziewięć reńskich skrzywdzili. — Oj, bięda-to wdowcowi! Dwóch nas tylko z synem siedzi na roli, a trzeci pastérz przy bydle, więc jak jedno wyjdzie, to drugie musi zostać. Trzymaliśmy dziewczkę; ale zamiast dojrzeć naszej pracy, to wynosiła z chałupy. — Najlepiej aby się mój syn ożenił, tobym mu może i grunt spuścił, a sam bym się przy dzieciach żywił.

Na te słowa, mimowolny rumieniec pokrył lica Zosi, oczy spuściła, i wielkim palcem u nogi grzebała ziemię. — Wojciech to spostrzegł i mówi dalej:

— Trafiła mu się dziewczucha z ogranicy z wianem i na nią po stryju grunt spadał, ale mu się nie udawała i nie chciał... I ja też wolę, aby się we wsi ożenił; ale teraz dziewczuchy oszukane i więcej muzyki patrzą jak pracy.

Zosi coraz goręcej się robiło i fartuchem sobie twarz ocierała, aby zakryć przed Wojciechem wewnętrzne wzruszenie, wreszcie rzekła:

— Dziękuję wam gospodarzu za podarunek, coście mi dali, aż dwie zapaski i za to, żeście się za mnie u Jegomości upomnieli o moją niewinność. — Pan we dworze sąd zrobił i pisarza ze służby wygnął. — Prosiłiśmy z matusią, żeby Pan wybaczył, ale nie chciał gwoli obrazy Boskiej.

— Ja wiedziałem (rzecze Wojciech) iż pan sprawiedliwie osądzi, bo on jest uczciwy człowiek i niema mu przygany.

— Pójdę już mój gospodarzu, i dziękuję wam bardzo ślicznie za wszystko (rzecze Zosia); matusia się dziwują, gdzie się tak długo zabawiam.

— No, idź dziewczę z Bogiem (rzecze Wojciech) a przyjdź sobie kiedy chcesz na pokrzywy. — Możesz zbierać, choćby nie było nikogo w domu.

Zosia związała płachtę, Wojciech dźwignął na nią, i rześka dziewczucha szła pewnym krokiem obciążona ciężarem zbieranej trawy, ale w sercu większy jeszcze nosła ciężar, którym corychłój z matką podzielić się chciała. — Rozmowa z Wojciechem szczególnego była rodzaju! Ej! (pomyślała sobie) zapewneby mnie chcieli zmówić na dziewczkę do służby... alebym nigdy, przeni-gdy nie poszła, choćby mi niewiedzieć jak płacili.

Gdy Zosia wróciła do domu i złożyła płachtę z pokrzywami, usiadła na skrzyni i znojem oblane czoło ocierała.

— Potrzebne ci to było, (rzecze matka) tyle na raz dźwigać, coś się aż przemogła? — Wytechnijże sobie; a ja nakrążę pokrzyw do cebrzyka.

— Ej moja matusiu! (odpowie Zosia) ciężaru tam nie było, ale gorzej mi się stało!... Nie było Wojciecha w domu, tylko Józek...

— I cóż? (zapyta strwożona matka) czy ci co rzekł złego, albo czy mu się chciało despetować?

— Co zaś gadacie matusiu (odpowie Zosia), gdzieby on téż był taki!...

— A no, cóż ci rzekł? (zapyta matka).

— Nic mi nie rzekł matusiu, tylko na mnie spoglądał, i czy mnie urzekł, czy w złą godzinę na mnie spojrział, ale mi się coś takiego stało, żem aż zaniemiała. — A takem zadygotała matusiu, jakby zamróz ze mnie wychodził.

— I mówiliście co z sobą (zapyta ciekawie matka).

— Trochęśmy tam mówili, ale nie wiele, bo on konie zaprzągł, biczykiem trzasnął i pojechał, a ja została pilnować chałupy. — Już nie pójdę nigdy matusiu do Wojciecha na pokrzywy, bo-bym jeszcze w jaką niemoc zapadła. — Wolę zbierać na grobli! — Potém przyszli Wojciech, i gadali, że im biéda bez gospodyni,... że chcą Józka we wsi ożenić, z taką dziewuchą, co na muzykę nie chodzi,... i mówili żebym zawsze na pokrzywy przychodziła... ale ja się boję, aby mi się co nie stało, jakby Józek na mnie patrzył, bo on musi mieć już takie oczy!...

— Moja Zośko, (rzecze matka), lepiej żebyś do Wojciecha nie chodziła, bobyś sobie mogła głowę czém nabić, a napróżno! Józek jest swarny chłopak i udatny, a moglibyście się sobie upo-

dobać, a z tego nie byłoby nic, tylko twoje nie-szczęście. — Gdzieżby Wojciech mieli syna z tobą żenić, gdzie?... On bogacz, a ty nędzarka. — Jemu daliby sołtys córkę, żeby ją tylko chciał! Daremne byłoby z tego bałamuctwo i na nieby ci dobrego nie wyszło. Gdy tak na cię spojrz który parobek, to najlepiej najprzód splunąć od pokusy, a potém przeżegnać się krzyżem świętym, to zaraz od ciebie odpadnie i złe ucieknie. — Wojciech co zaś gadali, to tylko aby cię doświadczyć.

— A jakbym matusiu Józka na drodze albo w polu trafunkiem spotkała, cóż mam wtedy począć? (zapyta Zośka).

— To pochwal Pana Jezusa, i idź swoją drogą a nie wdaj się w pogwarki (rzecze matka).

— Przecież nie jest z grzéchem matusiu gadać, byle nie o złych rzeczach?...

— Nie jesteście z grzéchem (odpowie matka) ale prowadzi do bałamuctwa, a z tego potém żał w sercu ogarnia.

— Kiedy tak radzicie matusiu (rzecze Zosia), to się będę strzegła i wolę o nim nie słyszeć, jakby mi się znowu tak miało stać jak dzisiaj.

Matka krążała pokrzywy a Zośka podparłszy dłonią głowę, długo rozmyślała, a potém westchnąwszy, rzekła do matki.

— Dajcież matusiu siekacz, to ja będę krążać, wyście słabi, to temu nie podolacie. — Józek

tam już z pola musiał wrócić, bo już południe, i pewno się ojca o mnie pytał.

Rzeczywiście przeczuła Zośka uczucia Józka, który wróciwszy z pola, taką miał z ojcem rozmowę:

— Zastaliście tu Zośkę tatusiu? kazałem jęj tu pilnować chałupy, póki nie wrócić.

— Zastałem ją (rzecze ojciec) swarna dziewczucha i niema jęj żadnej przygany. — Na całą wieś ona jest najlepsza i najwięcej mi się udaje. Ale cóż, kiedy to biędne, i tyle jęj, co ma na grzbiecie.

— Ej, co tam tatusiu o majątek! Jak Bóg nadarzy, to z niczego może coś być, a jak wzięść bogatą a ladaco, to wszystko stera, i na biędę człowieka wyprowadzi. — Ona mi się strasznie udaje tatusiu!

— Cóż że ci się udaje, kiedy nie dla ciebie!... Przecież stać cię wzięść i kmiecą córkę z gruntem i wianem a nie kómornicę. — Dopiero by się ludzie we wsi dziwowali, jakbyś się do kómornicy zalécał?!... Śmialiby się z ciebie i ze mnie, żem na starość ogłupiał.

— Niechby się tam ludzie śmiali tatusiu (rzecze Józek), bylem ja miał babę jak się patrzy i któraby was szanowała, a domem umiała zarządzać i do pracy się nie leniła. — Nie mówię teraz nic ani tak ani sak, ale gdybyście mi nie bronili, tobym tam może...i...i...

— Bronić ci przez moc nie będę (rzecze ojciec), róób sobie jak chcesz, ale ci też mój synu nie doradzam, bo to wielka rzecz ślubować. — Żona, to nie na dziś ani na jutro, ale na cały żywot.

— O wiemci ja o tém tatusiu, (odpowie Józek) i dla tego mi się chce Zośki, bo jakby się zaś uwiązać z jakim djabłem, cobyśmy tylko obadwa naużywali się z nią kłopotu, to nie warto

— Mnie bo Zośka dla ciebie się udaje (rzecze ojciec) tylko o to ubóstwo najgorzej i jeszcze by ją trzeba z matką wzięść do chałupy, bo cóżby to stare babsko samo robiło, albo jakążby sobie radę dało, kiedy dzisiaj tyle tylko zję, co na nią córka zarobi.

— A juźci tatusiu! (odpowie Józek) trzebaby ją wzięść z matką, boby nawet była nielitość rozłączać je, kiedy matka z córki żyje.

— No będzie o tém czas gadać i obejrzyć ją lepiej, jak przyjdzie do sadu pokrzywy zbierać, a teraz synu poobiaduj i jedź do lasa po pniaki.

Tak się skończyły zwierzenia pierwszego kochania, a Józek miał nadzieję, że nazajutrz Zośkę zobaczy, dlatego ociągał się ile mógł z wyjazdem do włoczki, kręcił się około domu, pniaki łupał, narzędzia sprzątał, brony długo ładował i witki do nich kręcił, a co chwila spoglądał w tę stronę z kądem Zośka przychodzić miała. Tym czasem upływa dzień, i drugi i trzeci, a dzie-

wucha na pokrzywy nie przychodzi. — Zaczęła ona zarabiać przy dworze u mularzy, a matka na grobli zbierała pokrzywy. Bardzo też Józkowi było smutno, i narzekał przed ojcem, że mu się strasznie cnie bez Zośki. — I Zośka też wędę połknąć musiała, bo zamyślona ku tój stronie wzrok zwracała, gdzie była Wojciechowa chałupa. — A chociaż tylko dach z niéj było widać i wierzby około płotu sadzone, to przecież miło jéj było domyślać się, że pod tym dachem Józek mieszka lub pod cieniem wierzb spoczywa.

Tymczasem Stach, fernal dworski, piękny i żwawy chłopak, woził piasek do mularzy, który często we dwoje z Zoską z wozu zrzucali. Stach żywy i śmiały parobek, patrzył na Zoškę odważnie, a nie tak lękliwie jak Józek. — Gadał z nią... przystojnie żartował, a raz tak się do niéj odezwie:

— Słuchajno Zośko! chciałabyś mnie? powiedz! U pana dziedzica mam łaski, i mógłbym od gód być na ordynaryi, więcbyśmy matkę ściągnęli do siebie i mieszkalibyśmy razem. — Udajesz mi się od dawna, ale teraz od dwóch dni co robimy razem, tom cię strasznie polubił. — Jakbyś mnie chciała, tobym się panu opowiedział i w przyszłą niedzielę przyszedłbym z wódką.

— Ja tam nie wiem, (odpowie Zosia) ale cóżby ci ze mnie przyszło, kiedy ja biedna, a i ty tyle masz co ze służby? — Łatwiej tobie dziś

jednemu, jak potém z babą biédować. — Nareszcie ja nie chcę iść za żadnego dworskiego, tylko za wsiowego. — We dworze to każdy parobek zbałamucony, bo się tylko próżniakami bawi, a potém jak się ożeni, to babę bije, tak jak i Augustyn, co aż był sądzony, iż tak babę pobił.

— Co mi tam gadasz o pijaku (odpowie Stach). Ja zaś jakbym cię pojął, tobym cię szanował, i na zarobekbym cię nie posyłał, tykobyś w domu siedziała. — Płaci mi pan sto złotych, a drugie sto prawie, to człowiek ztąd i owąd przykręci. To z przymiarku w Krakowie, to przy porachunku, albo czasem z obroków.

— Oj! nie chcę ja (rzecze Zośka) takiego chleba jeść, coby był z krzywdy pańskiej i cobyś miał przykręcić, bo to grzech Stachu, a nigdy taki majątek na zdrowie człowiekowi nie wyjdzie.

— Ej, głupiaś Zośko! (odpowie Stach). Na panu tego nie znać, a ja dziękować Bogu jestem zdrów, chociaż się ile tyle na swoją rękę zawróci, kupię ci sznurek koralu,.... kupię ci jałówkę i będziemy się majątku dorabiać.

— Nie szkoduj się (rzecze Zośka), bo nie chcę. — Gdyż ja za chłopca nie pójdę, i przy matusi siedzieć będę.

— Chciéj mnie Zośko, póki cię proszę, (przerwie Stach), bo mi się Marynka Kołodziejówna sama uprasza, a ja ciebie wolę. — Ona co wie-

czór czeka mnie przy stodole, a tak mi rada jak przyjdę, żeby mi miejsce uzłociła.

— To się żeń z nią (odpowie zniecierpliwiona Zośka), bo ja cię wyczekiwać za stodołą nie będę, ani wódki nie przyjmę, bo ja się bez chłopa obejdem, i jeszcze mi czas na to!... Komu tam pilnieć, niech tego szuka, ale mnie się tam nie spieszy.

Już Anioł Pański po trzykroć przedzwonili, Zośka zręcznie skoczyła z wozu, modlitwę zmówiła i szła sprzątać cebrażyki po mularzach i inne naczynia, kiedy Stach, wytrzepując z piasku półkoszki, tak sam do siebie mówi: „Udaje mi się dziewczucha, choć to biędne, ale jakby się miała zanadto drożyć, to nie koniecznie, bo ziela babskiego wszędzie dostanie. — Maryśka téż mi się udaje, tylko o to, że ślępami za każdym strzela, a Kundę, tobym najbardziej wolał, ale mi jój ci bogacze nie dadzą, chyba żeby sobie człek na to jako poradził, aby mi ją koniecznie musieli dać!“ — Stach półkoszki na wóz włożył, lejcami konie poruszył, i zajechał przed stajnią, ale się za nim Zośka nie obejrzała, tylko prędko zbiegła z pagórka ku domowi.

XII.

Spotkanie pod figurą.

Była to sobota; deszcz ulewny całe rano padał, i odstraszył mularzy od roboty. — Zośka powróciła nie mając we dworze zarobku, a była téż i w domu praca, przeto nie żałowała straconej za ten dzień płacy. — Matka uprała bieliznę i wysuszyła ją na gałęziach bzu, który wzrastał przy chałupce. — Potrzeba było maglować, ale magielnicy w domu nie było. Gdzieby tu pożyczyc?... naradzają się z matką. — Wojciech zapewne ma, ale i Zośka nie chciała i matka nie radziła. — Do innych sąsiadów nie mieli poufałości, a więc do stariej Agniieszki iść najlepij, bo chętnie pożyczyc i ugada się i nie w jedném poradzi. — Odziała się więc Zośka zapaską od Wojciecha i szła do Agniieszki po maglownicę, kiedy przed figurą świętego Floryjana, spotkała Józka, który spostrzegłszy ją z daleka, stanął i czekał na nią.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
(rzecze Zosia, mijając Józka)

— „Na wieki“! (rzecze Józek). Ale czemuż odemnie tak stronisz Zośko? Czym ci kiedy marne słowo powiedział, albowiem ci co na przekorę uczynił?....

— Bo mi się spieszy iść po maglownicę do Agnieszki (odpowie pomieszana i widocznie wzruszona Zosia).

— My przecież w domu mamy aż dwie maglownice, to wam jedną pożyczymy, albo i podarujemy, a bliżej ci iść do nas jak do Agnieszki.

— Bóg zapłać (rzecze Zosia), ale matusia mi przykazali iść do Agnieszki, bo oni dla nas strasznie dobrzy i są dla nas jakby matką.

— Toby też i mój tatuś był dla ciebie ojcem (odpowie Józek), żebyś jeno chciała!

Na te słowa Zosia zarumieniła się i stanęła jak wryta, bo znaczenie tych wyrazów w połowie rozumiała, a w połowie o nich wątpiła.

— Pójdę już (rzecze Zosia), bo się długo zabawiać nie mogę. — Matusiaby się gniewali, że po drogach rozmawiam.

— To ja jęć upadnę do nóg (odpowie Józek) i przeproszę ją za ciebie, a nie odbiegaj, tylko rozmów się pięknie ze mną. — Czegóż na porczywy już do nas nie chodzisz?

— Bo matusia zbierają na grobli, a ja chodzę do dworu na zarobek.

— Gdybyś chciała, (rzecze Józek), tobyś na

gdybyś chciała (rzecze Józek), tobyś na zarobek nie potrzebowała chodzić, tylkobyś sobie była na siebie sama gospodynią. — Ale ty może na dworaka jakiego czekasz?

— Nie czekam na nikogo (odpowie Zosia) bo mi się o próżniakach żadnych myśleć nie chce, tylko o pracy, żeby matusię i siebie wyżywić.

— Ja cię też na próżną rzecz nie namawiam (rzecze Józek) ale ci mówię na prawdę, że gdybyś mnie chciała, tobym cię pojął.

Zosia spojrzawszy na figurę św. Floryjana, który wyrzeźbiony był ze skopcem ku ugaszeniu pożerzących płomieni, przypomniała sobie radę matki, aby się przeżegnać, ale drugiej rady nie usłuchała czyli zapomniała, aby *na urok splunąć*. Zarumieniła się, brodę dłonią podparła, i spojrzawszy się na Józka, tak jakoś ze źrenicami się jego spotkała, że oboje razem oczy w dół spuścili. — Józek pierwszy po chwili milczenia przemówił:

— Ja ci powiadam Zośko na sumienie, że mi się tak udajesz, i memu tatusiowi tak się też udajesz, że gdybyś mnie tylko chciała, tobym cię pojął.

— Gdziebyś mnie ty pojął, gdzie?... Ubogą dziewczuchę, kómornicę, której uboższej niema na całą wieś! Dla ciebie wójtowa córka to prawie, albo Piotrowa Kundusia, albo Marynka, a nie

ja prosta wyrobница. Próżno ani mnie ani siebie nie bałamuć, i udaj się do bogaczek, co ci i gruntu przyczynią i bydle do chałupy przywleką.

— Nie potrzebuję ja z żony gruntu ani bydłęcia (odpowie Józek) bo mam dziękować Bogu dość swego, ale potrzebuję gospodyni do gospodarstwa, aby o mego tatusia zadbała, bo oni się robią coraz starsi, a niema w całej chałupie ani jednej baby, coby nas ogarnęła, albo oprąła lub obszyła. — Domostwo duże a puste bez baby. — Cóż nam przyjdzie z tych najemnic, co nas tylko okradną i miesiąca na służbie nie wybędą. — Gdybym się z tobą Zośko ożenił, tobyśmy budę, gdzie mieszkacie sprzedali, a matkębyśmy z tobą wzięli i byłoby.

— Ej, nie wierzę ja temu Józek, co gadasz (rzecze Zośka) i napróżno sobie tém głowy nie zaprzataj, bo aniby twój tatuś na to nie pozwolili, aniby ci tego przyjacielstwo nie pochwalilo, i jeszczeby mną gardzili, a matusią moją potęrali. — Lepiej tego nie mieć w pomysłeniu i dać temu pokój.

— Ja się tam od tego nikomu odwieśdź nie dam (odpowie Józek) i ladakiedy przyjdę z tatusiem do was z wódką. — Ale mi téż i ty przyrzeknij że mnie będziesz chciała, i że téż przyjdiesz do sadu na pokrzywy, żeby się tatuś z tobą rozmówili.

— Przyrzekać ci nie mogę bez pozwolenstwa Matusi, (rzecze Zosia) ani téż na pokrzywy nie przyjdę, boby nas ludzie obgadali, że ci się nastręczam, albo że mnie bałamucisz. — Już muszę iść do Agnieszki!... Zostań z Bogiem Józek!

I gdy to powiedziała, spojrziała na Józka ale takim wżrokiem, iż on znowu jakby oczarowany, oniemiał,.. jakieś słowa bełkotał,.. posunął się o dwa kroki za nią,.. i stanął jak wryty na środku gościńca. Zosia zaś pobiegła raźnie przez łąwę nad strugą, przesunęła się przez Pawłową łączkę, i szła pod skałę do domu Agnieszki. Józek stał długo i gonił ją wżrokiem, a gdy ją już stracił z oczów, westchnął, głowę pochylił, ręce w kieszenie sukmany włożył, i szedł pomału do domu.

Zosia pozdrowiwszy Agnieszkę od matki i od siebie, prosiła o pożyczenie maglownicy, którą jęj téż Agnieszka ochotnie z kómory wyniosła. — Ale uważała, że Zosia jest pomięszana i że ma coś na sercu, coby powierzyć pragnęła. — Zapytała jęj więc, czy jeszcze czego nie potrzebuje, albo czyli jęj nie ma co powiedzieć. Zosia rada była, iż mogła w serce pocziwój i doświadczonój kobiety tajemnicę złożyć, zanim ją za powrotem matce powierzy. Powtórzyła więc całą rozmowę z Józkiem, opowiedziała i o fornalu, słowem z wszystkiego się Agnieszce wypowiedała, na co Agnieszka tak jęj rzecze:

— Moje dziewczę! Nikt nie odgadnie woli Boskiej, bo „śmierć i żona“ od Pana Boga przeznaczona! — Ale zbytnie nie zawierzaj, bo na półkopy mężczyzn, zaledwie jeden znajdzie się szczerzy, a reszta zdrajcy. — Będą przyrzekać i obiecywać a słowa w tém prawdy niema. — Żebym ja była ladakomu za młodu wierzyła, tobym się była nie raz, ale sto razy oszukała. — Ale ja dopóty nie wierzyła, dopóki nie dał mój chłop nieboszczyk na zapowiedzi. O Józku Wojtkowym dobrze słyhać, stateczny chłop i nie ujrysz go w karczmie, a na chórze z książki za organistą śpięwa. — Lecz ja mu i tak nie wierzę, aż da na zapowiedzi. — Więc się trzymaj z daleka od niego moje dziewczę i udawaj że go nie chcesz, bo jak ty będziesz przed nim uciekać, to on cię będzie gonił, a jakbyś ty za nim ścigała, toby cię wnet porzucił. — A co zaś do Stacha fornala, to ani mi się waź! To są próżniaki i wyjadacze! i coby ci zaś po takim chłopie było! Wolałabyś całe życie dziewczką zostać, jak sobie młyński kamień wieszać u szyi. Zznałam ja już takie dziewczki, co się ułakomiły na takich próżniaków, to wiecznie lamentowały. Jeszcze ci wiek Zośko nie przeszedł, to chłopą łapio znajdziesz.

— Ej, moiściewy!.... (rzecze Zosia) Jak za Józka nie pojedę, to już za nikogo nie chcę, bo mi się żaden parobek tak nie udaje jak Józek!....

— Widzicie!.... nieboraczka! (odpowie Agnieszka) Już jęj się upodobał, kiedy tak gada!.... Już poczuła ku niemu wolę Bożą!!!.... No cóż robić, moje dziewczę, kiedy ci się już tak stało, to się teraz poléc Panu Jezusowi i Matce najświętszój, iżbyś mu się nie dała na złą rzecz namówić, ale iżby się do skutku przywiodło. — Oj, bo kochanie, to jest bardzo rzecz zdradliwa moje dziewczę!.... Nie jedna dziewczucha to się na kochaniu zdradziła, i potém nieszczęśliwą na całe życie została.

Zośka wzięła magłownicę i wracała do domu. — Szła temi samemi ścieżkami i tą samą drogą, przez ławę i koło figury. — Święty Floryjan, który dawniej budził w jęj sercu pobożne uczucia, obudził ją razą miłe ale inne wspomnienia. Skłoniła się przed figurą, ale na próżno przy niej szukała Józka, który w téj chwili z ojcem rozmawia. — Co z sobą mówili, opowiem:

— Choćbyście mi Tatusiu niewiedzieć jak brnili, (rzecze Józek) to się wam sumituję, że nie będzie inaczej, tylko się z Zośką ożenię. — W niczém się wam nie sprzeciwiam, i słucham was co każecie, ale Zośki nie odstąpię nigdy przegnię tatusiu!

— Ja ci mój synu nie bronię (rzecze Wojciech) ale na mnie nie narzekaj jak wam dwojgu będzie bięda. — Dzisiaj jesteś syn jedyiny, bo

cię siostra odumarła, więc ci dziesięć morgów starecy, — ale jak was Bóg rozrodzi, to cóż dasz twoim sierotom?...

— Mój tatusiu! Pan Bóg daje (rzecze Józek) i na dzieci, jak komu przysporzy. — Trudno walczyć z Panem Bogiem, lepiej się na Niego spuścić a na chleb pracować.

— Kiedyś sobie tak ułożył, (rzecze ojciec) niech się stanie wola Boża, więc na to zezwalam, a w niedzielę po niesporach pójdziem z wódką do matki Zoścynęj.

Z swojej strony Zośka wróciwszy do matki, opowiedziała całą rzecz i przyznała się, iżby rada wydać się za Józka. — Matka słuchała ją z trwogą, ale i z pewnem uczuciem radości i dumy, (tyle u wszystkich matek usprawiedliwionéj, gdy się córka ich podoba) i rzekła:

— Boję się moja córko, aby cię Józek nie mamił, ale cóżby znowu dziwnego było, choćby cię i chciał na prawdę? — Dzięki Bogu nie jesteś koślawa i ślepa, ale owszem w sobie zabrana;... na gębie jesteś czerwona, — oczy masz jak dwie tarczki, a kosa *) aż po kolana. — W całej wsi drugiey takiej dziewczuchy nie znajdziemy ani się taka robotna nie prędko ukaże. — Tylko moja córko! ja chłopom nic nie dowierzam, bo

*) Warkocz.

co chłop, to oszukaniec. — On jest tak jak ów djabeł co siedzi na kępie wpośród topieli, i dopóty wabi, dopóki dziewczuchy w bagno nie wprowadzi, a potem to już cała jego, i on wyskoczy na kępę w kusym fraczku i modrych portkach, a z mosięzną laseczką, i śmieje się, że uwiódl dziewczuchę.

— Oj, mój Boże! (rzecze Zosia) że téż-to Pan Bóg dopuszcza!....

— Dopuszczać, dopuszcza, moja Zośko, aby nas doświadczył, i dla tego w pacierzu prosimy, aby nas nie wodził w pokuszenie, ale nas od złego zbawił.

— W tém tam (rzecze Zosia) bo nic niéma złego, iż mnie sobie Józek upodobał, tylko byle się chciał żenić.

— Toć téżto! o to! (odpowie matka) ale spodziewam się przecież, iż go Bóg natchnie Duchem swoim świętym i że będzie chciał ukończyć. — No, a teraz maglujże moje dziewcze, abyś się téż na jutro miała w co odziać do kościoła na tę świętą niedzielę.

XIII.

Obmowa.

W czasie gdy Józek z Zośką rozmawiał pod figurą, Piotr stał na swoim podwórku, a dostrzegłszy, iż syn kmiecia rozmawia z córką kórnicy, był równie zgorzonym jak i ciekawym. — Od dawna téż Józka do swojej córki ciągnął i obiecał dać za nią bogate wiano, ale Józek ani słyszeć o tém małżeństwie nie chciał. Podsunął się więc Piotr aż do węgła płotu, i podsluchiwał, ale odległość i szmer liści poruszanych wietrzykiem nic mu dosłyszeć nie pozwoliły. — Obadwa więc oczy przez szczeliny płotu w dwojga kochanków wlepił, gębę otworzył, i żółciowém tchnieniem ziajał. Gdy się już kochankowie rozeszli, powrócił do domu i mówi do swoich:

— Anibyście mi dali wiary, com ja teraz widział!... Oto za naszym płotem Józek się do Zośki Reginianki zalecał, i zmawiali się zejść, tyłkom nie dosłyszał gdzie? — On ją za szyję obujał, a ona go już tak pięknie głaskała i całowała, aż mlaskotało.

— Widzisz!... (rzecze Piotrowa) co to za nie-

poń dziewczka, żeby tak udawać świątka, a z chłopami się całować! — Ja od dawna miarkowałam, że ona taka i że tylko dla tego tak oczy spuszcza i brzuch chowa, aby lada głupiego uwieść. Gdzie tam z takiego ubóstwa ma być co pocciwego, kiedyby to rade gwałtem przyjść do majątku bez pracy. — Stara Agnieszka ma ją za coś dobrego i podarowała jej prosiaka, co nawet szkoda było takiego wieprzka dziewczce takięj darować... Bo cóż jęj z nięj przyjdzie? Albo jest ona w stanie co jęj kiedy wywdzięczyć?... Dopiero teraz jest przekonanie dokumentne o Zośce.

— Warto będzie (rzecze Piotr), jutro przy niedzieli opowiedzieć ludziom, aby wiedzieli jaka to wierna jest ta Zośka, za którą kiedyś tak w karczmie jak i we dworze obstawali, że aż biédnego pisarza niewinnie pan wygnał. — Oj, powiadam, że są ludzie na świecie, có nie warci żyć, ani żeby ich ta święta ziemia nosiła. — To że ja ze szkody wypędziłem wieprzka, a traciłem go kołkiem, to już było takiego gadania na całą wieś, że na mnie patrzą niektórzy gospodarze jak na wilka; a tu że taka dziadówka, takie dziewuszysko, obces syna gospodarskiego bałamuci, to ma jęj ujść darmo?...

— Nigdy na świecie (odpowie Piotrowa). Ja sama co tylko będę wiedzieć, rozpowiem i rozślawię po całej wsi, bo ona nie powinna się

spoglądać nawet na gospodarskiego syna, ale niech sobie bałamuci takiego chudaka, jak jest sama. — Przecież Józek powinien się prędnąć z naszą córką ożenić, i pewnoby ją pojął, gdyby go to dziewczysko nie bałamucilo. — Takam o to zła, powiadam wam, że gdybym ją ujrzała, tobym jój garnek o łeb roztrzała.

— Ja się muszę jeszcze o jój sprawkach wywiedzieć we dworze (mówi Piotr), bo ona tam pewno broi. — A dopiero jak się cobadź wywiem, to będę się śmiał z Józka, że mu się chce brać żonę z przychowkiem.

— Oj, to, to! dowiedźcież się téż gospodarzu (rzecze Piotrowa) a najprędzj się wywiécie od Stacha co zagląda do nas.

— I dopiero ją utopimy (dodał Piotr), że jój nikt dobrego słowa nie rzecze.

— Ani się będzie mogła pokazać na wsi (dodała jeszcze Piotrowa).

— A matka jój skapie ze żalu, bo ją będzie wstydz za córką (rzecze Piotr).

— I łaski we dworze i u księdza stracę (dodała Piotrowa).

Słońce już zachodziło, a bydełko wracało z pola do wsi, rozchodząc się każde do swojej stajenki, kiedy strwożony i zadyszany pastérz przybiega do domu Piotrowego, i lamentując woła:

— Bójcież się Boga gospodarzu, i biegnijcie

cotchu na pole, bo dwie wasze krowy rozdeło i jałówkę a pewno z nich nic nie będzie, bo im zdejmowali paskudnika, ale nic nie pomogło, i już tylko nogami grzebią.

— O, mój Boże!! To je pewno ta czarownica Zośka urzekła (mówi Piotr), bo gdy rozmawiała z Józkiem, pastérz pędził krowy przez drogę a Zośka na nie patrzyła. Musiała je zpomstować i tak się stało. Weźno prędko żono węgli żarzących i puść na wodę od uroku, jeżeli spłyną to urok, a ja pójdę obetrzyć je zapaską. — Dajże mi prędnąć do garszei Kundziną zapaskę, bo lepsza z dziewczuchy jak z baby.

Córka Piotrowa zapaskę odwiązała i podała ojcu. — Matka rzuciła węgli na wodę i oczywiście jako lżejsze spłynęły, a Piotr pobiegł w pole ratować bydłéta. — Za Piotrem szedł i pastérz, który niedługo powrócił, oznajmiając gospodyni, że już niéma ratunku, i przyznając się, iż posłuszny danemu przez gospodarza rozkazowi, pasł krowy i jałówkę na pańskiéj koniczynie. Piotrowa posłała go po rzeźnika, który stawił się z nożem na miejscu, gdzie wzdęte leżały krowy, i podnosząc je raz za ogon, a znowu rozwierając im powieki wyrzekł: że już po nich, i że je czempredzj dobić wypada.

— Cóżbyście mi za nie dali? (zapyta Piotr rozpaczliwie).

— Alboż ja wiem (odpowie rzeźnik) coby dać za tę kabaninę?... Bydło teraz tanie, a jeszcze w lecie to trudno przez tydzień mięsa przechować, i wreszcie, któż kupi mięsa z bydłęcia, które „*Pan Bóg miotłą zabił.*“ *) Jabym nie dał jak trzydzieści pięć reńskich za wszystko troje, i to kupiłbym ze skóry a nie z mięsa

— A bójcież się Boga! (rzecze Piotr) przecież za srokatą krowę dawali mi czterdzieści reńskich na jarmarku, a niechżeby to dwoje sześćdziesiąt, toby już było sto.

— Kiedy wam tyle dawali (odpowie rzeźnik) to je pędźcie na jarmark, ale ja wam więcéj nie dam.

— O ja nieszczęśliwy człowiek, co ja pocznę? (rzecze rozpaczliwie Piotr) to ta przekłeta Zośka urzekła je i zpomstowała, bom widział, jak na nie ślipiami brzydkimi spojrziała.

— A może być (odpowie rzeźnik) że wam się tak za prosie odwdzięczyła, bo są takie baby co urzekają. — No, dajesz mi za trzydzieści pięć reńskich to je dorznę? a jak nie, to się będą niemi psy dworskie pasły. — Jałówka już kopytami odkazuje na śmierć.

— Dajcie mi choćby piędziesiąt, przecież widzicie moją krzywdę! (rzecze Piotr).

— Nie dam więcéj, tylko tyle co obiecałem

*) Które zdechło.

(odpowie rzeźnik), a jak mi nie sprzedacie, to pójde do domu i bawić się tu nie będę.

— Cóż mam robić chudak, cóż sobie pocznę, albo jaką dam radę? (rzecze Piotr), dajcież już coście obiecali.

Rzeźnik wyjął z trzosa trzydzieści pięć reńskich i wypłacił, a Piotr trzymając pieniądze w rękę, odszedł do domu, zostawiając rzeźnika przy bydelku. — Rzeźnik widział, że jeszcze można krowy wyratować, przeto przekuł im bok za piątém żebrem, dudki z bzu zaprawił, parę z nich wypuścił, a jałówkę dobił. — W parę godzin potém pędził sobie krowy wyleczone do domu, około figury świętego Floryjana i pod płot Piotra. — Wkrótce Piotr się o tém dowiedział, chciał krowy odebrać, była kłótnia z rzeźnikiem, w skutek której pobili się tak, że Piotr z okiem podbitém i nosem zdrapanym do domu powrócił, ... krów sprzedanych i zaplacych nie odebrał — Potém zwodzono się o to do wójta, ale wójt nie pogodził. — Prawowali się w powiecie, ale powiat rzeźnikowi kupione krowy przysądził i Piotr nic nie wskórał — A we wsi cieszyli się wszyscy, że za krzywdę wdowy i sieroty, tak Pan Bóg zuchwalca ukarał.

Jednak Piotrowa, tém większą pałając zemstą przeciw Zośce, nazajutrz po tym wypadku chodziła od chałupy do chałupy, a na biędną dziew-

czynę miotała potwarze. — Przysięgała się, iż mąż widział na własne oczy, jak się Józek do Zośki zalecał,.... jak się zmaiwali i całowali, a przytém dowodziła, że urzekła krowy, że je przeklęła, i że takie czary umie pod węgiel chałupy zakładać, to na kołtuna, to na łożną chorobę. — Niektóre baby wierzyły, i dziwowały się potępiając biedną dziewczynę, inne wątpiły, ale bronić jęj nie odważały się, wobec przysięg i świadectwa Piotrowego. — Plotka prędko całą wieś obiegła i doszła aż do lepianki poczciwój wdowy Agnieszki pod skałą. — Ta zgorszona upowszechnioną po całej wsi wieścią, prędko się zebrała, i pobiegła o tém uwiadomić księdza proboszcza, który zaraz po Piotra i po Piotrową dziada kościelnego posłał, ale ci odpowiedzieli, że nie przyjdą, bo nie mają żadnego na plebanii interesu. — Oczywiście, domyślali się, o co chodzi, a na słuchanie sprawiedliwych wyrzutów narażać się nie chcieli.

Dla tego ksiądz proboszcz, mając kazanie, przytoczył, w jaki grzech popada oszczerca i kłamca, który fałszywie świadczy przeciw bliźniemu, i na niewinność miota potwarze. — Mówił o strasznym sądzie Boskim na tych, którzy przez złość i zemstę na dobrej sławie szkodzą bliźniemu, a tém bardziej, gdy ten bliźni jest słaby i ubogi, a przeciw napaści nie ma obrony. —

„Bóg (rzecze) wtenczas bierze na siebie obronę niewinności i karze potwarcę tak na tym jak i na tamtym świecie.“ — Potém mówił ksiądz proboszcz, w jak ciężki się grzech wpada, gdy się w gusła i czary wierzy! „To w słowo Boże i w naukę kościoła (mówił on) nie wierzycie,... pastérza duchownego nie słuchacie, w karę Boską i nagrodę nie wierzycie, a urokowi ostrzeżenie Pańskie przypisujecie!! — Bójcież się ręki Pańskiej, która was dotknąć może, i spieszcie naprawić złe, jakiegoście się przez jaszczurczy język w obmowie dopuścili, gdyż jeśli nie uczynicie zadość sprawiedliwości Boskiej, to i doczesna i wieczna nie minie was kara.“

Lud słuchał tych słów pastérza ze skruczą i wzruszeniem, a Zośka biedna klęcząc w kaplicy czyścowej, gdzie się odbywały mszy żałobne, skulona i upadająca pod ciężarem żalu, rzewnie płakała.

Po kazaniu ksiądz proboszcz sumy dokończył, a wszedłszy do zakrystyi i zmówiwszy po mszy świętej modlitwy, wyszedł przed kościół i przywoławszy Zośkę, rzekł do ludu wychodzącego z kościoła:

-- Oto jest biedne dziecko, uboga bez ojca sierota, pracująca w pocie czoła na kawałek chleba dla matki i siebie, która najniesłuszniej została przez kłamliwe języki spotwarzoną. Oświadczam

wam w imieniu religii i kościoła świętego, że ten jest w grzechu, kto fałszywe wieści rozsiewa lub takowych z upodobaniem słucha. — (zwracając się zaś do Zosi, rzekł:) Pokój z tobą biedne dziecko, miej ufność w Bogu, przebacz twoim winowajcom, i niechaj cię Bóg jak dotąd od grzechu strzeże.

Biędna Zosia i jój matka, tonąc we łzach upadły do nóg księdza proboszcza, który się téż za ledwie mógł wstrzymać od rozrzewnienia, a niektóre baby tkliwszego serca głośno szlochały, inne zaś z cicha do siebie mówiły, dziwiąc się coby miał w tém ksiądz proboszcz, iż zawsze te kómornice broni, które przecież ani mu nic na ofiarę przynieść nie mogą, ani nawet na pogrzeb nic po sobie nie zostawia.

Kiedy ksiądz proboszcz wracał na plebaniją, Józek pobiegł za nim, i skłoniwszy się mu czapką do nóg, coś do niego mówił, a ksiądz proboszcz kazał mu iść za sobą. — Wszyscy ludzie zwrócili na to uwagę, i stanęli przed kościołem, patrząc ciekawie, dopóki się drzwi plebanii za oboma nie zamknęły. — Jedni mówili, że się Józek chce wytłumaczyć, a drudzy, że zanosí skargę; inni zaś posądżali go, że gotów dać na zapowiedzi z Zośką.

Kto zgadł? tego się wkrótce dowiemy.

XIV.

Dobra rada.

Gdy ksiądz proboszcz powróciwszy do siebie, zasiadł przy swém biurku, Józek skłaniając mu się do nóg rzekł:

— Jakem Dobrodziejowi powiedział, tak uczynię, i tylko przyszedłem się opowiedzieć Jegomości, aby mi za grzech nie poczytał, jeśli Piotra na śmierć ubiję! Choćby mnie mieli proszę Jegomości powiesić na Wiśniczu *), to mu nie daruję. — Bo nie o moją krzywdę chodzi, ale o krzywdę dziewuchy. Nie raz już Piotr psotę nam zrobił, ale dla miłości Boskiej zawsześmy odpuścili, ale co teraz to już koniec z nim zrobić.

— Mój kochany, nietylko byłaby ciężkim grzechem sama zbrodnia pobicia, lub pokrzywdzenia bliźniego, lecz jest już wielkim grzechem lekkomyślnie wyrzeczona pogróżka i ta wewnętrzna zemsta, która serce twoje ogarnęła. —

*) Miejsce detencji zbrodniarzy.

Przypisuję twoje słowa wielkiemu rozżaleniu i uczuciu krzywdy niewinnej dziewczyny. — Ale czyliż dla tego, iż Piotr zmazał się grzechem potwarzy, ty masz się na wieki pokalać zbrodnią bratobójstwa i duszę swoją w piekło na pastwę płomieni oddawać? Chociażbyś nawet chciał się żenić z Zośką, tobym jej nie pozwolił iść za ciebie, gdybyś się zbrodnią pokaléczenia, a nie dopieroż zabicia człowieka zhańbił. — Szkoda byłoby wydawać czystej i dobrej dziewczuchy, za człowieka, który swoich namiętności poskromić, i zemsty swojej pohamować nie umie.

— Proszę Jegomości,.... kiedy cóż ja mam robić?.... Przecież mu tego darować nie mogę, boby się ludzie nawet śmiali, żem jest taki gapiowaty, a że się nawet ująć za moją i Zośki krzywdą nie umiem; Piotr wreszcie jeszczeby gorzej na dziewczuchę i na mnie wydziwiał.

— A więc się Józku ludzkiego śmiechu boisz, (rzecze ksiądz proboszcz) a gniewu Boskiego i wiecznych kar się nie lękasz?! — To dlatego chcesz być zbrodniarzem, aby ci ludzie przyznali, że nie jesteś gapiem?.... Taką to masz wiarę?... i takiś ty katolik?! — Spiéwasz na chórze Bogu na chwałę, a we wsi chcesz walkę staczać djabłu na pociechę?!... Wstydz się, i upokórz przed Panem Bogiem obłudniku! który masz tylko Boga w ustach, a złość sza-

tańską w duszy. — Mój Boże! Już lat przeszło dwadzieścia jestem między wami. — Każę, uczę, spowiadam, rozgrzeszam, i Boga za was codzien przy ofierze mszy świętej proszę, a tój nie czekałem się radości, abym między wami pokój, zgodę i miłość chrześcijańską zaprowadził. — Jesteście jak dzikie bestye, lub te chowane wilki, których natura zawsze ciągnie do lasu! Jeden drugiemu szkodę robi, na zdradzie stoi, i zawsze gotów do waśni i bitwy. — Zapominacie, żeście na obraz Boży stworzeni, i aniołom podobni, a tém samém jak aniołowie w pokoju żyć obowiązani. — Gdy bliźniego krzywdzicie, Boga samego krzywdzicie, którego bliźni jest obrazem; gdy bliźniemu uwłaczacie, Bogu samemu uwłaczacie; gdy bliźniego do wojny wyzywacie, Boga wyzywacie! tego Boga, który się sam nazwał Bogiem pokoju i dawcą pokoju! — Jeśli tak dalej będzie, to porzucę probostwo, odejdę was, i wolę sobie na innej małej parafii biędę klepać i ludziom dobrym pomagać do zbawienia, jak tu w waszej gromadzie ściągać na siebie odpowiedzialność za grzechy wasze.

— Ej, proszę Jegomości (mówi wzruszony Józek), aby nas nie porzucał, bobyśmy za zbrodziejem choćby w ogień poszli.

— Nie chcę, abyście za mną chodzili w ogień (rzecze ksiądz proboszcz) ale abyście się za mną

do nieba dostali — ale nie dostaniecie się, jeżeli się nie poprawicie, i jeżeli się w sercu nie prze-rodzicie! — Kogóż wy na świecie kochacie?... powiedzcie?... Nie kochacie pana we dworze, bo szlachcic. — Nie kochacie księdza, bo bierze od ślubów i pogrzebów;... nienawidzicie żyda, bo was obdzięra;... a sami się między sobą kłócicie i bijecie?.... kogóż wy kochacie?.... A przecież bez miłości bliźniego zbawić się nie możecie! powiedz Józek!

— Ja tam proszę Jegomości nic nie powiem (rzecze Józek), bo nie wiem!

— Jak to nie wiesz? (zapyta ksiądz proboszcz) Nie znaszto lub też zapomniałeś przykazania: „*iz masz kochać bliźniego twojego jak siebie samego*“?

— Przykazanie to znam proszę Jegomości (odpowie Józek).

— Jeżeli tedy znasz, to powinienś kochać Piotra który jest twoim bliźnim, jak siebie samego, a przynajmniej źle mu nie życzyć, a tém mniej stać mu na zdradzie, lub pomsty nad nim szukać.

— Co mi tam za bliźni taki, choć i Piotr, proszę Jegomości (rzecze Józek), który jest gorszy od tego, z przeproszeniem, Wawrzka, co psy po Krakowie zbija. — On nawet rzadko w kościele, a z karczmy toby nigdy nie rad wychodzić.

— Sąd o tém, mój kochany, nie do ciebie należy (rzecze ksiądz proboszcz) każdy za siebie

Bogu odpowiada, a jeśli tak dbasz o jego duszę, to zamiast go bić, kochaj go, a dopiero mu w miłości doradzaj, aby chodził do kościoła a karczmy unikał.

— Ej, co mi tam do niego proszę Jegomości (rzecze Józek), taki człowiek to nawet zmiłowania Boskiego nie wart, kiedy on o biednej sierocie, która mu nic nie winna, takie fałsze po wsi roztrząsał.

— No, mój Józek (rzecze ksiądz proboszcz), ja napróżno z tobą gęby psuć nie będę, ani ziarna Bożego na skałę ciskać. — Skoro jesteś upornym i słów kapłana i pastérza twojego nie słuchasz, to padniesz pod sąd i pod miecz sprawiedliwości ludzkiej. — Ja tylko ostrzegę Zośkę, aby za ciebie nie poszła, bo byłaby nieszczęśliwą, a szkoda dobrej i pobożnej dziewczuchy. — Spytaj się jój, czy żąda po tobie, abyś się za nią mścił i z Piotrem zaczępki szukał?....

— Ej, proszę bardzo pięknie Dobrodzieja (rzecze Józek kłaniając się), aby Zośce nie odradzał, boby mi téż była wielka krzywda.

— Będę jój odradzał (odpowie ksiądz proboszcz), dopóki mi nie przyrzeczesz, iż odpuścisz winę Piotrowi, a tém samem że usprawiedliwisz czynem modlitwę, którą codzień usty powtarzasz: „A odpuść nam nasze winy, jako i my odpuścimy naszym winowajcom.“

Józek milczał, namyślał się,.... palce sobie wykręcał, a potem baranka na czapce skubał i wdół oczy spuścił. Ciężka w nim odbywała się walka, i aż się spocił. — Potem zaś skłonił się do nóg księdza proboszcza i rzekł:

— Niech się najprzód wola Boska, a potem księdza dobrodzieja stanie, i kiedy już ma być moja krzywda, to niech tam i będzie, i Piotrowi nie rzeknę już ani słowa.

— To dobrze (mówi ksiądz proboszcz), cofnąłeś już pogroźkę i przyrzekasz nie dopuścić się zbrodni lub przestępstwa, ale czyli w sercu odpuszczasz winę bliźniemu twemu, — czy mu wybaczasz, i wyrzekasz się nienawiści?....

Józek jeszcze trudniejszą odbywać musiał walkę, patrzył raz na powagę błędnym okiem, to znowu na podłogę i ściany. — Szukał decyzji, natchnienia, i wykrztusić z siebie tego słowa nie mógł: „*odpuszczam*“ a na tém słowie zawisł pokój całego świata. Wreszcie ksiądz proboszcz pomagając mu w walce, zapytał:

— Gdyby n.p. chałupa Piotrowa gorzała, czylibyś ją biegł bronić?

— Jakby się takie nieszczęście stało (rzekł Józek), tobym może i bronił.

— A gdyby Piotr wpadł w ubóstwo i żądał od ciebie kawałka chleba, czylibyś mu go użyczył z serca?....

— Jużci jakby mu przyszło na biędę (odpowie Józek), to przecieżbym go od miski nie odgonił, tylkobym go tam może i opatrzył.

— A gdyby mu się w drodze koło u wozu złamało, czylibyś z nim wozu dźwignął, i swego koła pożyczyl?....

— Pożyczyłbym, proszę Jegomości, (odpowie Józek).

— A gdyby mu się dobrze powodziło, i miał urodzaj na polu, a bydełko piękne w stajni, i pieńiędzy w skrzyni, czyliby ci to nie było przykrém!

— Niech tam każdy ma, komu Pan Bóg daje (rzecze Józek), ja tam ani mój tatuś nikomu nie zazdrościmy majątku.

— Więc kiedy tak, moje dziecko (rzecze ksiądz proboszcz) to nie masz zawiści, i odpuszczasz Piotrowi winę?

— A jużci (rzecze Józek) na rozkaz Jegomości.

— Nie na mój rozkaz (rzecze ksiądz proboszcz) ale dla miłości Pana Boga, który przebaczył zabójcom swoim i za nas mękę i śmierć cierpiał, aby nas nauczyć miłosierdzia, wyrozumiałości, przebaczenia, i nauczyć nas żyć w pokoju i zgodzie. Widzisz oto, i spojrzij na ten krzyż twojego Zbawiciela. — Widzisz jak twój Bóg — niewinny baranek, kona na tém straszném narzędziu męki! — On kona za grzechy nasze, tak moje, twoje, jak i Piotrowe. — Pocałuj ten

krzyż z miłością, w dowód, iż przebaczasz Piotrowi dla miłości Pana Jezusa, i idź w pokój.

Józek ze łzami ucałował, nogi i ręce przebite Pana Jezusa w krucyfiksie; później upadł do nóg księdza proboszcza, i rzekł: iż z całej duszy odpuszcza Piotrowi, prosząc Pana Boga, aby mu téż złą myśl odpuścił i grzeczne słowa i odgrażania się wybaczył. A potem rozczulony i rozrzewniony szedł do domu opowiedzieć ojcu o wszystkiém, co się u księdza proboszcza stało i od jakiego grzechu święte rady Dobrodzieja go wyratowały. Po drodze spotkał Piotra i powitał go słowem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ ale Piotr nic nie odpowiedział, i czapkę spuściwszy na oczy, minął go.

XV.

Zła rada.

W chwili kiedy ksiądz proboszcz skłaniał Józka do przebaczenia Piotrowi ciężkiej obrazy jakiej się względem niewinnej Zośki, i przeciw niemu dopuścił, przyszedł Kuba i Błażej w odwiedziny do Piotra, aby go podburzać do zemsty na księdza proboszcza.

— Jak na to Mościpanku dozwolicie, (rzecze Kuba), aby was miał ksiądz z ambony osławiać, a jeszcze przed kościołem fałsz waszój mowie zadawać, kiedy jest prawda i wyście na wasze własne oczy widzieli? Gdyby na mnie przyszło, tobym tego nigdy Jegomości nie darował, tyłkoby się mścił do ostatka.

— Oczywiście! (rzecze Błażej) bo to jest wielka rzecz wywoływać kogo w kościele i oskarżać go przed całą gromadą. Ze mną toby Jegomości taka sprawa nie uszła.

— Kiedy on mnie (rzecze Piotr) nie wywołał po nazwisku ani po imieniu, tylko na wszystkich wrzeszczał.

— Cóż, że was nie wymienił po imieniu jak się nazywacie (odpowie Kuba), kiedy ludzie na was patrzyli a każdy się odrazu domyślił, a baby się potraçały mówiąc: „Do Piotra Jegomość piją.“ — To dla was Piotrze nie jest honor.

— No, i cóż mu zrobię, choć i księdzu? (rzecze Piotr) Żeby to nie był duchowna osoba tobym wiedział co z nim zrobić i jakbym go spotkał, to tyleby było jego życia; ale będę ja to bić księdza?....

— A, co bić, to się nie godzi, (odpowie Kuba) bo każdy ksiądz, choćby tylko był wikarym, to jest poświęcony a niedopiero proboszcz, ale jest inny na niego sposób, co nawet grzechu niema.

— Dawniej (rzecze Błażej) to ja wiedział o sposobie, ale teraz to już na nic, bo szlachta wymyśliła „*Floryankę*.“

— Jakaż to *Floryanka*? (zapyta Piotr).

— A nie wiecie to o niej? (rzecze Błażej) co blaszkę taką przybiją na domostwie i choć się spali, to zaraz zapłaca, i nijakiej szkody niema, tylko jest jeszcze zarobek, bo się ma nową chałupę za tę starą co się spaliła! — To widzicie szlachta zrobiła taką kasę, co w niej będzie kroć tysięcy, i jak się tylko kto zapisze do téj kasy, czy szlachcie, czy ksiądz, czyby żył nawet, albo chłop, to mu zaraz z niej dają tyle, co dom spalony albo stodoła warte. A jak się

zapisze na zboże w stodole, to mu i zboże i bydło i graty zapłaca.

— A wiem (rzecze Piotr) ale dawniej to były orzelki.

— Jużci były dawniej i orzelki, to także za nie płacili (rzecze Błażej) ale święty Floryan jeszcze lepiej płaci, bo jest naszym patronem od ognia. Więc mówił reformat na odpuszcie w Alwerni, że święty Floryjan sam się do naszego kraju wpraszał, a rzekł: „*Weźcie mnie za patrona, a żadna wam się szkoda nie stanie*“ i przecież widzicie, że wszędzie po wsiach ze skopcem stoi, i gdzie jest ogień, to albo zaleje, albo w Krakowie zapłaci, tu na Kleparzu na przeciw Sławkowskiej. — Nie widzieliście go to? Co stoi taki duży i leje wodę ze skopca!....

— Nie widziałem.... jako żywo! (odpowie zajęty słuchaniem Piotr).

— Przecież choćby ślepy toby go mościpanku ujrzał (rzeknie Kuba), że wisi namalowany na czerwono.

— To tak gadajcie! (rzecze Piotr) tego to widziałem, ale anim o tém słycał, aby płacił, tylko myślałem sobie, że jest tam namalowany Świętek i jest, tak jak i u nas, co jest znowu z drzewa wyciosany.

— Cóż tam nasz?! (rzecze Błażej) nasz to jest tylko figura, jak byle gdzie po wsiach stoi

albo i na polu, ale co przy tamtym to jest kasa co płaci za każdą szkodę. Mówią ludzie, iż tyle tam jest pieniędzy, iż nie mają ich już gdzie kłaść, i że aż z Wiédnia skrzynie sprowadzili, aby je pomieścić.

— A z kądże oni tyle pieniędzy biorą?... (zapyta Piotr).

— Ztąd widzicie, że każdy, co się zapisze, kładzie — (rzecze Błażej). Czy to szlachcic, czy kupiec, czy żyd, czy chłop, gdy się tylko zapisze, to musi kłaść, choć nie wiele. — A że narodu jest dużo na całym świecie, więc choćby każdy reńskiego położył na bezpieczeństwo, to się taka straszna kupa uzbiera jak nieprzymierzając pagórek. — A znowu mówią ludzie, iż taki się cud robi w téj kasie, iż jak wieczór położą pięć reńskich, to się do rana na dziesiątkę przemieni, bo jój przybywa z prowizyi. — Dziwy o tém ludzie po Krakowie gadają. — Dlatego już dzisiaj na nic się nie zda podpalić, bo zaraz zjeżdża od świętego Floryjana taki komisarz albo szlachcic, i jak tylko opisze, tak zapłacą.

— No, widzicie (rzecze Piotr) jak sobieto szlachta poradziła z tym świętym Floryjanem. — Kiedy tak, to już choćby chciał się człowiek krzywdy pomścić, to napróżno. Ale jakbym ja się spalił, czyby mi dali co?....

— Wamby nie dali, (rzecze Błażej), boście

nie zapisani, ale panu we dworze, i księdzu na plebanii i organiście, i wójtowi naszemu i Wojciechowi toby dali, bo oni zapisani i mają tabliczki na domostwie.

— To i tak niesłusznie, (odpowie Piotr) że święty Floryjan jednym daje a drugim nie. — Powinno być wszystko zarówno, bo wszyscy jesteśmy pod jednym rządem.

— Zapewne (rzecze Kuba) iż takby było lepiej mości panu, aby każdy brał, co chciał! ale jeszcze tego niema na świecie? Mówili ludzie, że tam będzie kiedyś wspólność, i że każdy będzie mógł pasać na pańskim polu i rąbać w pańskim lesie, ale jakoś dotąd prawo nie wyszło, i znowu ucichło o tém, a szlachta jak bronika tak i broni swego.

— Boby trzeba o to pisać (odpowie Błażej), toby się prędzój wskórało.

— Miałci pisać profesor (rzecze Kuba) ale poradzito z gromadą, kiedy jeden chce a drugi nie chce się podpisać, ani się na to wyszkodować, a profesor darmo pisać nie będzie, tylko mu trzeba zapłacić. — Znowu drudzy mówią, że jakbyśmy chcieli pasać na pańskich gruntach, toby i dwór miał prawo pasać na naszych, bo prawią tak: „że kiedy wspólność, to wspólność,“ i tak się tam zgodzić nie mogą. A ja powiadam zaś tak, że co pańskie to nasze, a co nasze to panu nic do tego.

— Słusznie! (rzecze Błażej).

— Dobrzeby tak było (doda Piotr), ale cóż kiedy tak nie przysądzą. Bo prędzej tak przysądzą, aby każdy na swoim siedział. — Jakby widziacie była wspólność, toby lada kómornik albo kómornica na mój grunt chciała włązić, a dałbym jój to!....

— A nie prawda! (rzecze Kuba) bo naszegobysmy sobie odbierać nie dali, tylko dworskie zabrali.

— Nie uszłoby tak Kuba! nie! (rzecze Piotr) Nie przysądziliby tak w powiecie! — Ale ja sobie teraz o tém myślę, coby tu z naszym księdzem zrobić, za taką moją krzywdę, co mnie osławił przed ludźmi.... Choćby mu téż w nocy płót rozwalić?....

— Ej, to na nic (odpowie Kuba), bo mu go postawią z bractwa świętej Anny. — Zejdą się chłopci i naprawią za godzinę. — Lepiejby go o co udać przed powiatem.

— Przed powiatem nie pomoże, (rzecze Błażej) tylko lepiej na Kanownej ulicy przed Konsystorzem; bo jak na księdza, najlepiej tam skargę zanieść.

— Co mu tam zrobią (przerwie Kuba) ksiądz księdzu nic nie robi; bo za sobą trzymają, tylko trzeba co wymyślić na niego w powiecie i przed urzędem go oskarżyć!... na to mówią że z dworem trzyma przeciwko gromadzie.

— To na nic (rzecze Błażej), bo ksiądz powinien z każdym trzymać, który jest w jego parafii, czy on szlachcic, czy chłop, lub majster jakiej profesyi; tylko z żydem trzymać mu nie wolno, bo nie jest chrzczony.

— To go oskarżyć że śpiewał pieśni (mówi Kuba).

— A jakże mu dowieść, kiedy nie śpiewał (rzecze Piotr). Będzie świadków przeciw nam sprowadzał i przegramy.

— Nie biédato! (mówi Kuba), żeby zaś na księdza nie znaleźć sposobu!! Oto albo mu groblę w sadzawce przeryć, albo w nocy ryby wziąć na więciérz!

— Byłoby dobrze (rzecze Błażej) byle nie wyszpiegowali, że to my, boby nas karali za złodziejstwo.

— Jabym tam może i znalazł sposób (rzecze Kuba) ale sobie myślę, iż najgorzejby potém było ze spowiedzią, bo jakby się człowiek chciał wysłuchać, toby się musiał przyznać.

— Ja sobie téż o tém myślał odrazu (odpowie Piotr) że z księdzem trudniej jak z ladakim. — Ale ja zrobię na złość gospodyni księżej, i jak gęsi jój wejdą na mój trawnik, to co do jednej kołkiem wytłukę.

— Toście dobrze pomyślili (rzecze Kuba), bo gospodyni nie poświęcona ani jój gęsi, a Jego-

mość choćby chciał mieć gaskę na Marcina, a gospodyni pierza do pierzyny, to mieć nie będą.

— Mądrze tak będzie, (doda Błażej) a indyki gospodyni często i na moje podwórko zagładają, to ja im zrobię to samo.

— Jeszcze dzisiaj to sprawię (rzecze Piotr) a gospodyni będzie lamentować, ... lecz cóż mi zrobi? albo mi to nie wolno swojego oganiać?

— A jużci (doda Błażej) każdy jest na swoim panem, bo z tego podatki opłaca. Tylko o to znowu że gospodyni cięta jak osa, i jak się uweźmie, to znajdzie i na nas okazyją. — Ksiądz bo powolny, ale co gospodyni to za niego i za siebie samą rządzi. — Czasem z babą swary zaczynać, to tak jakby z samym djabelem.

— Ktoby się tam baby bał (przerwie Kuba) Baba to tylko w gębie, ale nawet u urzędu nie ma wiary, bo jest każda niewiasta upośledzona, przez to że węża słuchała, i od tego czasu nikt na nią nie pyta.

— Ej, ja się żadnej baby nie boję, bo każdą zmożę (rzecze Piotr) i tak zrobię jak mi radzicie, a gęsi wytlukę i na wiérzbie powieszę na strach księdzu i całej wsi. — A teraz pójdźmy do karczmy, to was poczęstuję.

XVI.

Choroba.

Regina ubóstwo i nędzę z poddaniem się woli bożej znieść umiała; własne nawet upokorzenia, obmowy i krzywdy mniej ją bolały — ale zabrakło jej mężstwa do zniesienia oszczerstw, które szarpały dobrą sławę jej córki. Powróciwszy do domu, zanosila się od płaczu i co chwila spoglądając na Zośkę, mówiła ze łkaniem: „Mój Boże! taką dziewczynę czystą obgadują i chcieliby ją osławić źli ludzie!“

Zośka pocieszała matkę, mówiąc: „Nie turbujcie się matusiu, bo choćby mnie ludzie chcieli oczernić, to tego nie potrafią, jeżeli będę przed Panem Bogiem czystą i bieluchną.“

Pociecha ta acz skuteczna, bo przekonywająca, nie mogła jednak uspokoić matki. Skarżyła się już przed południem, że ją bardzo głowa boli. Zośka związała jej głowę mokrą szmatą, ale gdy ku wieczorowi zimne dreszcze zaczęły matkę przechodzić, ułożyła ją w łóżko, a sama pobiegła do karczmy kupić kwaterkę wina. W karczmie gdy jej żyd żądanego kordyjału odmierzył półkwaterek, raptem

się Zośka spostrzegła, iż nie miała czém zapłacić. Zmięszana i zmartwiona prosiła żyda, aby jój zborgował, zaręczając, iż z pierwszych zarobionych pieniędzy dług swój zapłaci. Żyd jednak ofuknąwszy ją mówił, że kómornicom nie borguje, tylko gospodarzom; bo gdyby miał wszystkim dziadom kredytować, toby musiał wszystek swój majątek utracić i zejść na takiego nędzarza, jak jest jój matka. Tę rozmowę i ten targ słyszeli gospodarze siedzący w karczmie za stołem. Jeden z nich rzekł: „Słusznie żyd mówi, bo przecież nie sposób lada komu borgować.“ Drugi dodał: „Juźby się żyd ze swemi pieniędzmi nigdy nie zobaczył, bo może babsko kłapnie i gdzieżby jój szukał, chyba na tamym świecie?“ Trzeci znowu śmiejąc się, rzecze: „Ani na tamym świecieby jój żyd nie dogonił, bo by tam święty Piotr żyda za nią nie puścił i tylko by za wrotami wrzeszczało żydosko o swój dług.“

Wszystkie te żarty nader były dla Zośki bolesne i upokarzające. Odwiązawszy z siebie zapaskę darowaną przez Wojciecha, ofiarowała ją w zastaw żydowi za ów półkwaterek wina. Żyd rozwinął zapaskę do światła patrząc, czy nie dziurawa i rzekł: „To starzyzna i co ja mam z tém zrobić?“

— Będziecie mieć czém odziać bachora (rzecze jeden z chłopów).

— Czegóż chcecie żydzie (doda drugi), przyda się wam na łaty do pierzyny, bo pasiasta.

— Weźcie arendarzu i nic się nie bójcie (rzekł trzeci) bo obstanie za półkwaterek wina, i sam ja od was kupię dla pastérki, co lata za gęsiami.

Żyd zwinął zapaskę, położył na szynkfasie a Zosia zaplakana biegła czémprędzej z flaszką do domu, aby nieść matce ratunek. — Chłopi, którzy pozostali w karczmie, mówili między sobą, iż pewno Regina kłapnie, bo na babsku niema mięsa, tylko sama skóra i kości. O dziewusze rozmawiali, iżby ona jeszcze uszła, ale że się téra przy matce, a bałamuci z Józkiem.

— Pytanie (rzecze jeden), co ma ksiądz w tém, że tych dziadówek tak broni?

— Bo mu plewią w ogrodzie (rzecze drugi) ze samój tylko strawy.

— Ej! nie to jest, (rzecze trzeci), tylko, że musiał mu kowal kupując młyn, dać jaką ofiarę, aby za niego Pana Boga przejednał i on teraz babom świadczy za kowala.

— Nie bajcie! (rzecze pierwszy) boby mu tam kowal nic nie dał, aleby jeszcze i wziął, jako ciągnie z księdza od rolnego naczynia i od kucia.

— Ale, dlaczegóż dwór (rzecze drugi) tak się temi kómornicami opiekuje?

— A bo musi (rzekł trzeci), bo któżby przyzedł do niego na robotę, jeśli nie taki chudak, co już nie ma co w gębę wrzucić.

Gdy tak rozmawiali chłopi w karczmie,

popijając, Zośka przy łożu chorój matki siedziała, głaszcząc ją po twarzy, całując po nogach, a od czasu do czasu polewając jój głowę kroplami przyniesionego wina.

— Nie ulżyło wam się téż co, matusiu? (rzecze Zośka) lubuje wam téż to wino?... Może wam się kołtun zwije, matusiu, to wszystkę chorobę z was wyciągnie.

— Dziękuję ci, moja córko (rzecze Regina) już mnie głowa tak nie łupie, tylko mnie do kolan mrozi i we wnętrzu mię taki żal ściska.

— Ofiarujcie się Panu Bogu i Matce najświętszej, matusiu (odpowie Zośka) i niech was ten żal nie trapi, bo Bóg jest najlepszy świadek a najpierwszy obrońca sprawiedliwości. Ja się tam nic nie frasuję, a owszem modlić się będę za złych ludzi, aby im Bóg naszą krzywdę przebaczył.

Matka słuchając córki, ciche łzy ronila, ręce złożyła do modlitwy, oczy wzniosła w górę i milczała. Zośka z pochyloną głową pokornie ułożoną zaselała zapewne do Boga tajemną modlitwę, nie odważając się przerywać dumania matki. Chwila to była, gdzie wzajemna tych dwóch nieszczęśliwych istot modlitwa wznosząc ku niebu, spotykała się u stóp Najwyższego. Ostatni promień dogorywającego słońca padał przez wązkie okienko na bladą twarz kómornicy. Coraz ciemniej przyswiślał on nieszczęśliwej Reginie, a później

gasił, i cienie nocy zapełniły tę izdebkę, która tyle cnót, i tyle nieszczęść mieściła.

— Czy śpicie, matusiu? (przerwie niespokojna Zosia) — nic się téż do mnie nie odzywacie, aż mnie okropny smutek ogarnia!

— Nie śpię, moja córko (rzecze Regina), tylko sobie myślę, kto cię téż biédna siéroto przyjmie, i kto cię do siebie przygarnie, jakby mnie Pan Bóg zabrał z tego świata? Przy zdrowiu tom się nie bała śmierci, bo mi się zdawało, że ci lepiej będzie samój, a teraz to mnie zdejmuję trwoga i tak się czegoś lękam, że cała w sobie dygoczę.

Zosia łkając rzuciła się prawie cała w objęcia matki i palącą twarz swoją na zimnych jój licach składając, chciałaby życie swoje w ciało matki przelać, zdrowie swoje matce swój odstąpić i ciepłem miłości ją zagrzać. Matka chudemi rękami objęła szyję swój córki i nie mogąc mówić bez wzruszenia, jakieś tylko sinemi wargami niosła jój błogosławieństwo; aż później głęboko odetchnawszy, rzekła córce: „Lepiej mi Zośko, ulżyło mi się — bądźże spokojną i nie lamentuj.“

Zośka pobiegła do komina, aby ogień rozpałić, sięga pod komin, lecz nowy kłopot, bo drzewa nie było. Z płotu sąsiadowego nie godzi się wzięść patyka, bo grzech, a tu w domu niéma co spalić, prócz jednéj staréj faski, w której się otręby dla prosięcia składały. Trudno! — trzeba

i tego użyć, aby matka ogrzać kamień w nogi i zmarzłe ciało ucieplić. Ten sprzęt, prawie ostatni, połamała na ogień, a wkrótce wybuchnął on płomieniem serdecznej ofiary. W nocy matka różne dziwy marzyła, a Zośka nad słuchiwała każdego słowa, czerpiąc z niego na przemian to pociechę, to rozpacz. Przed północą raptem przebudzona, rzekła Regina donośnym głosem: „Słyszę i idę zaraz.“ Zośka zapytała: „Gdzie matusiu idziecie? przecież wy w łóżku leżycie chora.“ Matka na to nie nie odpowiedziała; i czy w istocie zasnęła lub też udawała że śpi, tego trudno wiedzieć; dość, że Zośka temi słowami strwożona, usiadła na krawędzi łóżka i ucho prawie do ust matki nachyliła.

W jakiś czas później biedna Regina uśmiechać się przez sen zaczęła, i ruszając wargami, zdawała się rozmawiać z przyjazną sobie osobą. Zośkę i to trwożyło, bo tak dawno usta jej biędnej matki nie składały się do uśmiechu, a jej twarzy nie ożywiała wesołość, iż w tém upatrywała coś osobliwego i nadzwyczajnego. Zaczęła więc poruszać matkę, aby ją obudzić, gdy ta, jakby sen swój wyrazić chciała, rzekła: „Piękna Królowo ziemi i nieba! witam cię głębokim pokłonem.“

Zośka nie wiedziała czy to modlitwa na jawie, czy sen, i pyta matki: „Cóż wy matusiu o Królowej nieba i ziemi mówicie? czy się modlicie?“

Matka znowu na zapytanie nic nie odpowiedziała, ale rzekła tylko: „Nie budź mnie Zośko, bo mi się tak pięknie śni.“ I jakoś wkrótce zasnęła, i znowu ten sam uśmiech na ustach powrócił, a jasność palącego się na kominie drzewa, tém wydatniejszym ten wdzięk czyniła.

Już była prawie trzecia po północy, rozbudzona kura kwoczeć zaczęła i otrzepując się na grzędzie, głaskała dzióbem rozczochrane po nocnym spoczynku skrzydła. Prosię odzywało się w sieni, i wszystko co żyło, witało powrót dnia. Regina tylko spała snem twardym, a czuwająca przy niej Zosia, strudzona bezsennością, obawą, i smutkiem, dygotała od zimna i często do kamina, na którym się już ogień dotlewał, dochodziła. Pierwszy brzask powracającego słońca zwiastował pogodę, ale wkrótce potem chmury ścię ją zaczęły i zrobiło się posepno na świecie, tak, jak było posepne serce biędnej Zosi. Może w godzinę potem Regina się obudziła, a widząc Zosie siedzącą przy niej na krawędzi łóżka, rzekła do niej z żalnością: „Cóż ty biędna córko, całą noc przy mnie pokutujesz, i ani spocziesz na chwilę?!... Mnie już nic nie boli (rzekła dalej Regina) i głowa mi się ustatkowała, tyłkoby też bardzo pragnęła księdza. Święta spowiedź nikogo nie umorzy, ale każdego podźwignie a

radabym przyjąć Pana Jezusa (choć jestesmy tego niegodni) do naszej lichéj chaty.

Zośka aczkolwiek gorącą miała wiarę i pobożność, przeraziła się tém żądaniem i rzekła ze łzami: „Przecież nie jesteście tak chorzy matysiu, abyście księdza potrzebowali; gdy wyzdrowiejecie, to się wysłuchacie.“

— Nie moja córko! (rzecze Regina) opóźniać ani odkładać takich rzeczy nie można, bo człowiek w zdrowiu powinien być zawsze na śmierć gotowym, a gdy jest chorym, to bez opatrzenia świętymi Sakramentami zostawać nie może. Zbierz się więc moja córko i idź do księdza proboszcza a proś go, aby rychléj przychodził. Ja się tu tymczasem będę do spowiedzi gotowała, kiedy mi się na głowie ulżyło.

Zośka zalana łzami odziała się rajntuchem i koło cmentarza biegła ku kościołowi, kiedy wrona siedząca na topoli zasadzonej w cmentarzu, przeraźliwie krakać zaczęła. Zosię to przstraszyło i splunęła potrzykroć, ale jéj to krakanie przypomniało od razu cwego puszczyka, który hukął w nocy, gdy matka pierwszy raz chorowała. Przybywszy do księdza proboszcza, opowiedziała z płaczem o chorobie swéj matki, i o gorącym jéj żądaniu przyjęcia Pana Jezusa, a razem o twórze swojéj, pochodzącéj z nocnych marzeń matki.

Ksiądz proboszcz natychmiast posłał po ko-

ścielnego, dziadek w dzwon uderzył, na uczczenie najświętszego Sakramentu, błysnęły światła na ołtarzu, dziad wziął dzwonek i latarnią i poprzedał księdza proboszcza, niosącego na piersiach Boga Zbawcę, Boga jedynego w troistój osobie, Boga baranka Bożego, który gładzi grzéchy świata. Zosia zalana łzami, z pochyloną na dół głową postępowała za księdzem proboszczem. Dzwonek głosił pochód żywego Boga do przybytku ubogiej Reginy; kto dosłyszał, uklęknął, krzyżem się św. przeżegnał, a czyj słuch był zarówno twardy jak i serce, nie słyszał i nie uczcił św. gościa, lecz leniwo spoczywał jeszcze w łożu, lub się koło spraw ziemskich krzątał. Jednym z tych ostatnich był Piotr, który nic nie wiedział i nie słyszał; lecz gdy mu powiedziano, że ksiądz przeszedł z Panem Jezusem do Reginy, pobladł i bardzo się strwożył. Wyjął coś potajemnie ze skrzynki, włożył do kieszeni i wyszedł z domu. Gdzie wyszedł? nie wiadomo.

Nikt nie powiększał pobożnego orszaku idącego za przenaświętym Sakramentem. Bóg żywy w Hostyi świętej, ksiądz, Zosia i dziad kościelny byli jedynymi gośćmi, którzy się do łoża umierającéj Reginy zbliżyli. Zosia i dziadek wyszli z izby na podwórko, zostawiając samego księdza proboszcza z chorą. Spowiedź nie trwała długo, a przez ten czas Zosia klęcząc

przy węgle domu rzewnie płakała, kiedy dziadek pocieszał ją słowy: Iż Bóg jej nie opuści; że Bóg ma zawsze nad sierotami zlitowanie, i że jeżeli dwór lub ksiądz proboszcz do służby cię nie wezmą, to każdy cię gospodarz od nowego roku przyjmie. Mówił także, że jeszcze lepiej będzie jej bez matki, bo łatwiej jednemu jak dwojgu.

Ta nędzna pociecha, bodła w serce biedną Zosię, ale przez uszanowanie dla wieku dziadka nie mu nie odpowiadała, tylko tém rzewniej jeszcze płacząc, łączyła się w duchu z tą wielką sprawą, która się w téj chwili w izdebce odbywała, i od której Sąd, Miłosierdzie, Kara lub Zbawienie zależy.

Ksiądz proboszcz wyszedł przed chatę, kazał dziadowi zadzwonić dzwonkiem, dla zawiadomienia ludzi, o udzielić się mającym świętym Chlebie podróźnych, przywołał Zosię i wobec nich najświętszy Sakrament złożył w usta rozjaśnionej szczęściem i wielkiem pragnieniem Reginy. Zosia padła na twarz; długo w téj postawie leżała, gdy ksiądz proboszcz po udzieloném błogosławieństwie, modlitwy stósowne rozpoczął.

W tém się izdebka napelniać ludźmi poczęła, a między nimi przybiegła zadyszana Agnieszka, która téż obok Zosi na twarz upadłszy, rzewnie płakała. Później nieco przyszedł Wojciech i Józek

i ukłękli w progu drzwi. Józek zaś błady i łzami zalany trzymał paciorki w ręku i bełkotał w roz-targnieniu modlitwę, a później, powstawszy, skłonił się księdzu proboszczowi i rzekł, że chce jechać po doktora na swój koszt, i zapłaci, co będzie potrzeba, aby Reginę do zdrowia przyprowadzić. Ksiądz proboszcz odniósł tę ofiarę Józka do Reginy, która drżącym głosem rzekła: „Niech mu Bóg płaci, ale nie chcę już doktora, kiedy mam w sercu Pana Jezusa; jak Bóg zechce, żebym żyła, to niech się dzieje Jego wola, a gdy mi śmierć przeznaczy, to ją z ręki Boskiej wdzięcznie przyjmę.“

Zoska tym targiem jakby do życia powrócona, zerwała się nagle, i prosiła matki, iżby na doktora zezwoliła, obiecując zapłacić lékarza i aptekę wartością prosięcia od Agnieszki. Agnieszka téż powstała mówiąc, że ona bierze koszt na siebie a prosi, iżby doktor przyjechał. Józek nie czekając dłużej, biegł czémprędzej do domu, aby wóz słomą wysłać i spieszyć po lékarza.

Ksiądz proboszcz dopełniał potém w roz-rzewnieniu Sakramentu ostatniego namaszczenia, wzmacniając tę piękną duszę do potyczki ze śmiercią, i usposabiając ją do odbycia podróży z krainy łez i niedoli, do ojczyzny błogosławionych i miejsca wiekuistej chwały. Wszyscy obecni odmawiali potém spólnie z księdzem proboszczem

szczem modlitwy, a Zośka klęcząc przy nogach matki, ze łkaniem ostatnie słowa litanii powtarzała przerywając ją tylko częstym nóg matki pocałunkiem. Kapłańska posługa już się skończyła, ksiądz proboszcz pocieszył jeszcze i pobłogosławił chorą, również pocieszył córkę i wrócił do siebie. Lud pobożny znowu się różnemi ścieszkami po wsi rozsypał, a przy chorąg Reginie pozostała tylko córka, stara Agnieszka i Wojciech. Ten ostatni zbliżył się do łoża chorąg, mówiąc jej uroczyście:

— Miałem przyjść do was młynarko, w przyszłą niedzielę, i skłonić się wam do nóg o waszą Zośkę dla mojego Józka, ale kiedyście tak zakiepniali, że może z was i nic nie będzie, więc was teraz proszę, abyście mi Zośki nie odmawiali, bo ją sobie Józek naprawdę upodobał i inną dziewuchę pojąć nie chce, tylko ją samą. Ja im grunt spuszczyć i przy nich będę siedział, bo mi krzywdy dzieci nie zrobią, gdyż Józek jest uczciwy, a Zośka wasza także. Więc póki żyjecie młynarko, to im pobłogosławcie i będzie wam spokojnie umierać, jak będziecie wiedzieć, że wasza córka na biędę nie zejdzie.

Regina jakby z grobu do zmartwychwstania powołana, wzniosła się na łożu i zapadła w głowie oczy zwracając na Wojciecha, badała, czy to prawda lub udanie, i czy to słyszy we śnie lub na jawie? Odgarnęła na bok włosy,

które jej na skroń spadały, i szukała wzrokiem to Zośki, to Józka; to znowu wodząc błędne spojrzenie po Agnieszce i Wojciechu, słowa przemówić nie mogła. Po chwilce zaś odezwała się do Wojciecha:

— Jakżeby się to stać miało, mój gospodarzu, abyście Józka z moją Zośką żenili, kiedy Zośka nic nie ma majątku i jest uboga, jakiej drugiej w całej naszej wsi niema. Z czegożbyście ją brali i cóżby ona wam do domu przyniosła?

— Niech nam przyniesie (rzecze Wojciech) uczciwość i pracę, bo dzięki Bogu nic więcej nie potrzebujemy i chleba nam nie braknie.

— Kiedy taka wasza wola (rzeknie Regina), a najprzód kiedy takie zrządzenie Boskie, to niech się i tak stanie wedle myśli waszej, a Zośki wam nie odmawiam, jeśli sama będzie chciała.

Zośka klęcząc oparła głowę o łożo matki i oczów nie wzniosła i nic nie odpowiadała. Gdy ją zaś pocziwa Agnieszka zmuszała do odpowiedzi, rzekła:

— Gdzie mi się też chce teraz o chłopie myśleć, kiedy matka są chorzy i o śmierci gadają. Niech ja nigdy chłopca nie mam, byle mi matusia wyzdrowiała.

— Dobra córko! (przerwie Agnieszka).

— Pocziwa dziewucha (pomruknął Wojciech).

— Moja Zośko! (rzecze Regina) na mnie ty

nie uważaj, tylko sama na siebie, bo ja dzisiaj żyję a jutro mnie niema, a chciałabym przed śmiercią wiedzieć, że nie pójdiesz na potera-czkę, ale że się tobą dobry człowiek opiekować będzie. Jestto wielkie szczęście od Pana Boga, żeś się upodobała takiemu ojcu, który jest naj-pocziwszy między gospodarzami, jakim jest Wojciech, a także iż cię ukochał parobek, jakiego na całym świecie poszukać. Choćbym więc dzisiaj miała umierać, tobym wam w chwili skonu błogosławiła i konałabym spokojnie. Powiedz więc, czy chcesz Józka, czy go nie chcesz? aby Wojciech słyszeli!

— Juźcić — kiedy nakazujecie matusiu (rzecze Zośka), tobym go chętnie chciała i mam ku niemu serce, bylebyście wy mi wyzdrowieli i ucie-szyli się naszą zgodą.

Kiedy się to działo, słychać było turkot wozu koło cmentarza. Był to Józek wracający z powiatowym lekarzem; ale że wóz pod samą chałupkę Reginy dojechać nie mógł, do której tylko prowadziła ścieżka — przeto wysiadł pan doktor z Józkiem opodal i zaprowadził go Józek do chorój. Lekarz wypytawszy się o początek choroby, znalazł gwałtowne rozlanie żółci, które przy wycieńczonych zupełnie siłach, niechybnie zagrażało śmiercią. Nie powiedział tego chorój, ale mniemają, że Wojciech jest jój krawnym,

wyprowadził go do sieni i otwarciój już wróżbę bliskiego skonu zwiastował. Wojciech słuchając lekarza, lzy połykał, a powróciwszy do łoża chorój, rzekł jój:

— Przyjeliście dzisiaj Pana Jezusa do serca waszego i jesteście gotowi młynarko, na tę św. podróż — więc niema wam co tać, żeście bardzo kiepscy, i daj Boże, abyście się jeszcze z téj niemocy podźwignęli. Pan doktor nie chce was napróżno męczyć lekami, ale polećcie się Panu Bogu, a może was jeszcze pokrzepi.

Zośka słysząc to, głośno zapłakała. Józek stał przy drzwiach z biczem w ręku i zimny pot lał mu się z czoła, a stara Agnieszka, jedna przytomna, chociaż równie z drugimi bolejąca, tak się odezwała:

— We wszystkiém wola Boska, tak w życiu jako i w śmierci. Bóg może z grobu dźwignąć a może téż i najtęższego chłopca przewrócić, jakby mu nogi kosą podciął. Może wy, Regino, jeszcze będziecie czepić waszą córkę, i Bóg was z téj choroby wyratuje, a może téż i dzisiaj życia dokonacie. Dlatego dopókiście przy zdrowych zmysłach, to przy świadku Wielmożnym Doktorze i przy nas pobłogosławcie dzieciom i zręknijcie ich na przysze małżeństwo.

Józek, który nie był przy oświadczeniach ojca, stanął jak słup i nie wiedział, czy się ma

posunąć, czy dopiero prosić o Zośkę. Ale Wojciech wzięwszy go za rękaw od sukmany, poszarpnął naprzód mówiąc: „A uklękniźże Józek z Zośką, przy łóżku matki, aby wam pobłogosławiła.“ Matka wyciągnawszy obie chude ręce i złożywszy je na głowach dwojga młodych ludzi, wyrzekła owe Sakramentalne, rodzicielskie błogosławieństwo: „*Niechaj was Bóg błogosławi, jako ja was matka błogosławię.*“

Lekarz w zadumieniu założywszy ręce, patrzył z rozrzewnieniem na ten akt uroczysty, potem łyzy ciągle z oczów ocierał, i serdecznie pożegnawszy chorą, jakieś léki do trzeźwienia i ocierania zostawił i wyszedł. Wybiegła za nim Agnieszka chcąc go zapłacić, wybiegł i Wojciech, kładąc mu w rękę pieniądze, lecz doktor przyjąć nie chciał i rozrzewniony poszedł ku plebanii, gdzie go z księdzem proboszczem ścisła przyjaźń łączyła,

Twarz rozjaśniona Reginy zdawała się wróżyć polepszenie zdrowia. Okiem ożywioném i pełném macierzyńskiej miłości, to na Józka, to na Zośkę spoglądała, a dobywając sił ostatnieb, wzniosła się na łożu, aby pocałunkiem dotrzeć nóg Zbawiciela ukrzyżowanego, który w obrazku przyklepiony był na ścianie. Siły ją wszakże zdradziły, bo padła na łożo i z żalem spojrziała się na Agnieszkę chcąc wyrazić, że

już i téj na ziemi pociechy mieć nie może. Agnieszka pospieszyła odlepić obrazek i złożyła go na ustach Reginy, która ręce i nogi Chrystusa Pana ucałowawszy, na piersiach sobie go położyła.

W godzinę potém wyszedł Wojciech z Józkiem do domu, obiecując przyjść niebawem, a została tylko przy chorój poczciwa Agnieszka i Zośka. Gdy chora pragnęła i o wodę się dopraszała, Zośka wyszła do sieni przynieść świeżej wody z konewki, kiedy ktoś zpoza drzwi podrzucił do sieni papierek, w którym były one 8 reńskich skradzione za owego prosiaka. Zośka wybiegła przed dom — ale już nikogo nie było, tylko dostrzegła, jak się później koło Piotrowego płotu ktoś chyłkiem przesuwiał. Czy to był Piotr lub kto inny, z pewnością twierdzić nie można i lepiej się może nie domyślać.

Chora coraz częstszych dostawała mdłości, i zimny pot czoło jój obléwał. Zośka nacierała ją troskliwie lékami przez doktora zostawionemi; Agnieszka posługiwała, ile tego widziała potrzeby, ale choroba nagle robiła postępy.

Już kilka godzin po południu, ... słońce chyli się ku zachodowi; już pastérze spędzają bydelko z pola, wróbelki chronią się pod strzechę i ludek pracowity ściaga się na wieczrę po dzienném w polu utrudzeniu, kiedy Wojciech i Józek wchodzą do chaty Reginy. Wojciech znawca, który

niejednemu umierającemu ostatnie oddawał usługi, spojrzawszy z ukosa na twarz Reginy, i czoło zmarszczył. Pochylił się ku Agnieszce i zapytał, czy nie ma równianej słomy, aby na nią chorą do skonania złożyć. Agnieszka odpowiedziała mu z cicha, iż nie w domu niema prócz strzechy na chacie. Ależ i słomy nie było potrzeba. Regina przywołała Zośkę mówiąc, że ją w piersi uziębia. Zośka chcąc ją zagrzać, głowę swą na jej piersiach złożyła. Wojciech się zbliżył i martwą ręką krzyż jej na piersiach położył, a lekkie odetchnienie było jedynym przedziałem między życiem a śmiercią Reginy i jedynym znakiem skonu. Agnieszka pospieszyła zamknąć jej powieki, a Zośka domniemywając się po ogólnym ruchu, że się spełniła wola Boża i że się poczęło w tej chwili jej sieroctwo, jęk boleści wydała i martwe ciało matki całując i uściskując, chciałaby w nie przelać krew swoją, życie swoje i duszę, ale stało się. Zégar w niebie wybił godzinę śmierci, a anioł Boski wierną służbę przed tron Najwyższego zawiódł.

XVII.

Pogrzeb kómornicy.

Po śmierci Reginy Zośka nieutulona w płaczu, zawisała na szyi pocziwój Agnieszki i bolesne wydawała jęki, które się po wzgórzach i o mur cmentarza odbijały. Józek chciał ją cieszyć i ciągle do niej powtarzał: „Utulże się Zośko, utul!“ ale ona ani go słuchała, ani patrzyła na niego, tylko krzyczała ciągle: „Oh moja matko kochana, gdzieżeś mi się téż podziała?“ Wojciech znowu się przybliżał, perswadując, że się już nie wróci i że już matka nie odżyje. Ten rodzaj pociechy był tém boleśniejszy dla Zośki, iż nikt od niej lepiej nie wiedział, że się jej tak wielka strata nie powróci. Najskuteczniej pocieszała ją pocziwa Agnieszka, gdy mówiła do niej: „Ja ci będę matką, moja Zośko; ja albo się tu przy tobie zostanę, lub téż do siebie cię pojmem.“ Wreszcie wyrwała się jeszcze z objęcia Agnieszki Zosia, i pobięła całować zmarłą matkę, ale Józek

z Wojciechem odrywali ją od krzepnącego ciała i srogą boleść jej powiększali. Agnieszka prosiła Wojciecha, aby z Józkiem do domu poszli i ich same przy zmarłej zostawili, bo twierdziła, że będzie lżej Zośce, gdy się dobrze upłacze. Żądała tylko, aby przez pastérza przysłał jakiego światła albo łoju do kaganka, gdyż przy zmarłym, nijako jest siedzieć w nocy bez światła.

Zaledwie się wieść rozeszła po wsi o śmierci Reginy, zaraz przyszedł dziad kościelny dopytywać się o pogrzeb, a stolarz brać miarę na trumnę. Taki pospiech bolesnym był dla Zosi, ale Agnieszka oddaliwszy ją z izby, z obydwo-
ma się rozmówiła, przykazując stolarzowi, aby zrobił piękną trumnę z malowanym krzyżem i centkami, a dziadowi poleciła, iżby dzwonił w większy i mniejszy dzwon żałobny. Stolarz nie zapominał się zapytać, kto trumnę zapłaci, a dziadek o koszta podzwonnego również troskliwy, dowiadywał się, czy na taki pogrzeb kómornicy jest dosyć majątku? Agnieszka odpowiedziała, że koszta bierze na siebie i że ją stać na to. Wkrótce przyszła kramarka przy karczmie mieszczająca, pytając się, czyliby nie mogła sprzedać śmiertelnej koszuli, która najtaniej wyniesie 5 złotych. Po tych wszystkich obstalunkach zamknęła Agnieszka drzwi od chaty i nikogo już więcej nie dopuściła, ale obie z Zośką kle-

ząc przy łożu, modliły się w płaczu za duszę zmarłej Reginy.

Po chwili przysłał Wojciech przez Józka dwie świece jarzące, lampę z kościoła napełnioną łojem i szczep naręczko. Agnieszka to odebrała, ale Józka do izby nie wpuściła, mówiąc: „Nie bądź teraz Józku przeszkodą sierocie, kiedy za matką płacze — będziesz ją potem miał całe życie, to się z nią nacieszysz.“ Józek uchylił się, ale przez okienko zaglądając w głębsz izby, dojrzał Zośkę klęczącą przy śmiertelnym łożu, i rozplakawszy się nasunął czapkę na głowę i wracał strapiiony. Nieszczęściem droga prowadziła go około Piotrowego płotu, a ten złośnik stanąwszy na przełazie, z przedrzeźnianiem rzeknie: „Umarła ci to Józku, pani matka — umarła?“ na co Józek podniósłszy obie pięści, odrzekł: „Umarła zbójcu, z twojej łaski,“ i już miał płot przeskoczyć, aby Piotra zdusić, kiedy sobie przypomniał dane przyrzeczenie księdzu proboszczowi, ręce opuścił a zbiegł szybko z góry.

Agnieszka rozpałała na kominie ogień, rozświeciła lampę kościelną stawiając ją u głów zmarłej, przystawiła garnczek wody do ognia, mówiąc Zośce: „Obmyjmy ją sobie dzisiaj w nocy, aby nam kto nie przeszkadzał, a jutro ładniej będzie na nią spojrzeć.“ Woda się zagrzała, Zośka z Agnieszką zajęły się smutną posługą oczy-

szczenia ciała, struga łez z ocz córki płynąca spadała na wychudzone nędzą szczątki pocziwój Reginy, uczesano jój włosy, a już była północ, kiedy tę pracę skończyły.

Agniészka strudzona i wiekiem złamana, spoczynku potrzebowała. Położyła się więc na skrzyni; ale co Zośka, to płacząc i modląc się, czuwała a wzroku od obliczów matki na chwilę oderwać nie mogła. Wtém migotanie lampy uludnie sprawiło, iż się zdawać mogło, że się twarz matki porusza i oczami mruga. Wtenczas Zośka zerwawszy się nagle, biegnie, krzyczy, budzi i cuci! — ale ciało martwe i skostniałe nie daje znaku życia. Na ten krzyk budzi się Agniészka i przełożywszy Zośce, iż to jest złudzenie, nowy cios jój sercu zadaje. Już przeszło pięć godzin jak lampa gorzała; ostatnie się w niej dopala łuczywo, to raz buchnie płomieniem, to znowu przygasa: na twarz martwą Reginy coraz bledszy promień ciska, aż wreszcie knot na dno się zapada i ciemno się w izdebce robi jak w grobie.

Och! straszna to noc dla biédnej Zosi, noc, która jój odkryła cienie śmierci a rozwidniła tylko smutny stan sieroctwa. Tak było przez godzinę, aż znowu poranek rozjaśnił ściany izdebki, i już przy téj wielkiej lampie zawieszonój u sklepienia niebios, widziała Zosia martwe ciało matki. Wkrótce potém dzwony ko-

ścielne śmierć Reginy zwiastowały; ludzie scho-dzić się zaczęli w pobożnej pielgrzymce dla zwiędzenia ciała, a ksiądz proboszcz przyszedł z pociechą i radą. Agniészka skłoniwszy się do nóg księdza proboszcza, zamówiła pogrzeb z wy-prowadzeniem aż na cmentarz, obiecała zapła-cić — ale ksiądz proboszcz odpowiedział jój, że koszta światła i pogrzebu bierze sam na siebie i od nikogo żadnej zapłaty nie przyjmie. Do-dał wreszcie, iż Wojciech ofiarował mu złożyć potrzebną summę, ale takowój równie od niego nie przyjął.

Nie wszyscy wiedzieli o zrobionych dziewo-siębach Józka z Zośką przy śmiertelném łożu Reginy — ale ksiądz proboszcz wiedział od pana doktora; zapytał się więc Zośki, co teraz z sobą myśli zrobić? — Agniészka przerwała pospie-szając z zaręczeniem, że Zośkę bierze do siebie jako córkę swoją i że dopóty jój nie odda, dopóki się z nią Józek nie ożeni. Ksiądz proboszcz myśl tę pochwalił i zatwierdził, a dawszy nie-które rady i udzieliwszy pociech duchownych, odszedł zawiadamiając, iż się nazajutrz nabo-żeństwo i pogrzeb odprawi.

Stolarz przyniósł trumnę, Zośka mu ją z pod-rzuconych pieniędzy bez targu zapłaciła; ubogim babkom i dziadkowi reńskiego na podział dała i jeszcze jój zostawało 3 reńskie, które ją mier-

ziły; ale postanowiła użyć onych znowu później na nabożeństwo za duszę swojej matki.

Każdy wielki cios tak w pierwszej chwili myśl wszelką zagłusza i uczucie tłumi, iż najpobożniejsze dusze zdobyć się nie mogą na rzewną modlitwę, dla tego tylko, iż myśli zebrać nie umieją i serce im tak wysycha, jak liść nagłym mrozem zwarzony lub opalony prądem pioruna. Taki był stan Zośki na drugi dzień po doznaniem nieszczęściu. — Ogłupiała, oniemiała, modlić się nie mogła i patrzyła na przychodzących w odwiedzinę, jakby na twarze sobie nieznajome, i razem jakby nie wiedziała, po co oni przychodzą? Baby wiejskie niosły jej pociechy, a niektóre nawet płakały, modliły się, lecz Zośka na to nieczuła, ani ich witać ani żegnać nie umiała. Agnieszka więc to, co zwyczaj każe, spełniała w zastępstwie Zośki. Przychodził często Józek i mile się na nią patrzył i chciał ją pocieszać, ale Zośka odwracała się od niego i tak jakby mu nie była rada, bo przytomność jego uwłaczała jej smutkowi, i brzydkim się jej wydawał przy tej pogodnej twarzy matki, która jakby snem spokojnym zasypiając, śliczne miała oblicze. — Nie wiedzieć jak ten drugi dzień przeszedł i noc znowu zapadła; a Zośka z Agnieszką nie mogąc zwyciężyć gniotącego snu, wzajemnie się namawiały,

aby się udać na spoczynek. Agnieszka jak w przeszłej nocy położyła się na skrzyni, Zośka zaś przystawiwszy do łoża matki ławkę, usiadła, modliła się i potem składając głowę na nogach zmarłej, zasnęła tak twardym snem, że się dopiero wtenczas obudziła, gdy w kościele zadzwoniono na Anioł Pański. Już Agnieszkę zastała na nogach, robiącą porządek w izdebce; przeciera oczy i pierwsze jej spojrzenie było na zmarłe oblicze matki i pierwsze jej przebudzenie płacz, a pierwsza jej czynność modlitwa. Długo modliła się i płakała, a gdy jej Agnieszka rzekła, iż matkę w trumnę już składać potrzeba, jęk rozpaczliwej boleści wydarł się z jej piersi,.... powstała, ale nogi unieść jej nie mogły, i znowu padła na kolana. Niewiadomo, jakby się ta rzecz była skończyła, gdyby pobożne niewiasty nie były w tej chwili nadeszły ku dopełnieniu ciężkiej posługi. Każda godzina zbliżająca do chwili smutnego obrzędu była straszną dla serca biednej Zosi. Wreszcie chwila ta już nadchodziła; ciągnie lud pobożny wszystkimi ściółkami ku chałupce zmarłej Reginy. Dziadek kościelny poruszył dzwony do żałobnych jęków. Wojciech i Józek na czele zbranej gromadki stoją w milczeniu, oczekując hasła. Wtém hasło dane, gromadka się zbliża i pieśń żałobna płynie z wszystkich piersi, rzewna modlitwa tchnie z każdego serca i wkrótce orszak żałobny

stanął przed domkiem Reginy. Wpóśród orszaku był téż stolarz z młotkiem, chwyta za wieko i ciało pokrywa, Zośka mu broni, błaga i odpycha, ostatnich sił dobywa, aby spóźnić chwilę; jednak niewiasty biorą ją wśród siebie i odrywają od zimnych zwłok matki. Stolarz czyni rzemiosło, kołki wieka wbija, a każde uderzenie, to cios w sercu Zosi! Już jest pokryta, należy do ziemi (ciałem mówię) bo duszą należy do nieba! Już ją na ziemi Zośka nie zobaczy, ale wiarą doścignie wśród chóru aniołów i kiedyś się z nią połączy w chwale wiekuistój. Józek i Wojciech dobrawszy sąsiadów, martwe zwłoki Reginy biorą na ramiona i niosą do wrót świątyni, zanim ją spuszczą do grobu. Przy drzwiach wchodowych czekał ksiądz proboszcz z wodą święconą i krzyżem na przodzie a zaprowadził na środek kościoła wśród jarzącego światła dwóch rzędów lichtarzy, gdzie zwłoki złożono ubogiej ale poczciwej wieśniaczki. Zaraz za trumną uklękła Zośka, twarzą ku ziemi schylna i we łzach tonąca; koło niej klęczy Agniészka a z drugiej strony Wojciech, za nimi reszta gromadki. Wyszedł ze mszą ksiądz proboszcz w żałobnych przyborach, organy jęły pogrzebową nutę, robi się cisza i modlą się wszyscy, a ta modlitwa cicha, przerywaną jest tylko łkaniem sieroty. Po skończonej mszy świętej znowu dziad kościelny czarną na siebie przywdziałwszy opończą, sztanda-

rem krzyża orszak naprzód wiedzie, przy nim czyścowa powiewa chorągiew a pleban rozrzewniony zwolna postępuje przed ciałem które na barkach gospodarze niosą, w miejsce wiecznego spoczynku. Już gróbarz dół wykopał i czeka z łopatą składając wpoprzék grobu silne dwa postronki; orszak nadchodzi i oddaje ziemi łup, który do niej należy, jako z niej powstały. Córka po raz ostatni rzuca się na trumnę, ścisną, całuje, i ziemi zazdrości najdroższych skarbów swoich, które w grobie zatoną na wieki, aż do zmartwychwstania i sądu ostatecznego. Niewiasty silnie odrywają Zosię, unoszą na bok, cieszą, zaklinają; w tém trumna w dół się po sznurach zapada, o dno ziemi zatętniała i gróbarz spieszy łopatą zasypywać życia szczątki biędnej kómornicy. Ksiądz proboszcz pokropiwszy wodą święconą trumnę, odmawia modlitwy i w milczeniu odchodzi, a Zośkę gwałtem unoszą niewiasty poza cmentarz, i do domu Agniieszki prowadzą. Na cmentarzu kilku pozostało wieśniaków i wieśniaczek, którzy uklękłszy na grobach ojców swoich lub braci, pomodlili się chwilę, a potém poważnie wracali do domu.

XVIII.

Przeciwności.

Zosia chociaż nie pocieszona, smutna i tęskna po śmierci swjej matki, tyle doznawała miłości ze strony Agnieszki, iż zwykła była mawiać: „Jedna jest tylko matka na świecie, ale ja w was Agnieszko mam drugą, co mi ją Bóg dał w mojem sieroctwie.“ Józek też często przychodził a prosił, żeby nie opóźniać ślubu, choćby już bez wesela i muzyki, o której sobie Zośka mówić nie dała. Jakoż w trzy miesiące po śmierci matki po żniwach żytnich, i jak to mówią „z *nowego*“, miał się Józek żenić i szedł właśnie do księdza proboszcza dawać na zapowiedzi, gdy przed tą samą figurą świętego Floryjana, przy której Zośce swoją miłość oświadczał, spotyka go sołtys, który tak do niego przemawia:

— Słyszałem Józku, że się ty zabierasz żenić? ale ci powiadam, że z tego nic nie będzie, bo jesteś popisowym i stoisz w pierwszej klasie! W tych dniach ma być asenterunek, więc

się ładuj do Krakowa, a będzie z ciebie tęgim wojak, bo cię stać na to.

Józek pobladł i słowa jakiegoś belkotał, „że ojciec stary, że on jest jedynakiem, że ma więcej jak 9 morgów gruntu“ — słowem gadał, co mógł, ale sołtys z góry na niego powstawszy, rzecze mu:

— Co mi się tam masz tłómaczyć, ja cię ani słuchać nie będę, ani ci się też prosić nie myślę, tylko cię doprowadzę do urzędu i niech tam z tobą zrobią, co chcą. Stręczyli ci ludzie moją córkę i dobrze ci radzili, bobyś był *gweru* *) nie dźwigał, ale kiedy ci się Zośka upodobała, to ja cię ochraniać nie mam potrzeby. Wreszcie masz u księdza i we dworze łaski, niech ci poradzą, kiedy tacy możni! Ja ci tylko zapowiadam, że jesteś z gromady wyznaczony a ojciec sobie da radę bez ciebie, jak czeladzi przyjmie.

— Oj mój sołtysie kochany! (rzecze Józek), zmiłujcie się też nademną i nad moim tatusiem. Już wam wolę dać podarunek, jaki tylko chcecie, czy w pieniądzech, czy w bydłe, abyście mnie ochronili.

— Twego podarunku nie potrzebuję (odpowie sołtys), a na to jestem urzędnikiem, iżbym rozkazu powiatu dokonał. Wojna teraz jest we

*) Karabin.

Włochach, cesarz musi mieć żołnierzy, a ty za dwóch herlaków obстоisz. Za tydzień pomaszeryjesz do Wadowic, a potem pójdziesz transportem do Włoch. Dziś cię opowiadam, abyś wiedział i koniec.

Po tych słowach odszedł sołtys w swoją drogę poprawiając na głowie kapelusza i mahając laską, a Józek osłupiały, nie wiedział gdzie iść, czy do ojca, czy do Zośki, czy do dworu, czyli też na plebaniją?! Po chwili namysłu szedł do księdza proboszcza i znowu około Piotrowej chałupy, który jakby złowrogie widmo stojąc na trawniku, powitał go: „A witajże kapralu! jak wystrzelisz, to dziesięciu zabijesz.“ Na co Józek nie mogąc już znieść napaści, rzecze: „Najpierwszego-bym ciebie zabił zbójcu, gdybym się Boga nie bał.“ Piotr się ku niemu posunął szukając zaczepki, ale Józek przez rów przeskoczył i wbiegł do księdza proboszcza, pomieszany i blady.

— Cóż znowu? (zapytał ksiądz proboszcz), cóż ci jest, Józku, żeś tak pobladł, a oczy ci się iskrzą?

— Oj Jegomość (odpowie Józek), wielkie nieszczęście i nie jedno, tylko dwa, bo ze sołtysem i z Piotrem; ale mniejsza o Piotra, gorszy sołtys.

— Ale cóż takiego? (zapytał ksiądz proboszcz) wytłómacz się!

— Oto niósłem do Jegomości na zapowiedzi (rzecze Józek), a spotkał mnie sołtys i rzekł:

iż muszę iść koniecznie w tych dniach na wojaka, a przecież trudno mi tatusia odejść i Zośki porzucić, bo tatuś są starzy a ona siérotą. Ledwo się gdzie nie zapodzieję, mój Jegomość, z tego wielkiego frasunku, a jeszcze mi Piotr dogaduje mówiąc: „Witajcie kapralu.“ Gdybym się Boga nie bał i Jegomości, i nie był przyrzekał, tobym go był na miejscu uśmiercił i w piersi go skolankował.

— Dobrześ zrobił, żeś się od zbrodni powstrzymał, mój Józku, (rzecze ksiądz proboszcz) ale co gorsza, to wojsko, bo w istocie jesteś ale co gorsza, to wojsko, bo w istocie jesteś popisowym i nie cię nie ochrania. Grunt na ciebie nie jest jeszcze przepisany, ojciec twój nie z pełna ma lat 60, przeto wzięść cię mogą i żadnej obrony nie znajdziesz. Z méj strony mogę się tylko wstawić za tobą, i pan dziedzic to uczyni — ale uwolnić cię, prawie nie jest w naszej mocy.

— Sołtys-by temu potrafił (rzecze Józek), bo przecież jest chłopów udatnych dosyć we wsi, co ich po kilku siedzi w jednéj chałupie, a ja jestem jak palec, syn jedyny przy tatusiu, to się też stera całe gospodarstwo! Najgorzej mi chodzi o dziewuchę, bo ona się zatraci, jak mnie wezmą.

— Moje dziecko, cóż robić? (rzecze ksiądz proboszcz), żal mi cię serdecznie, ale prawu trudno się sprzeciwić i musimy słuchać, choćby najuciążliwszych rozkazów.

W odpowiedzi księdza proboszcza upatrywał Józek nieodwołalny prawie wyrok wojskowej dla siebie służby, pobladł i dwie strugi łez spłynęły mu po twarzy. Ale gdy człowiek w takich kłopotach pragnie się radzić każdego i szukać wszędzie pomocy, przeto namyślał się, gdzieby iść i do kogo się udać, aby grożącą mu niedolę odwrócić. Pokłoniwszy się księdzu proboszczowi, wyszedł przed ganek plebanii, głowę zwiesił, ręce załamywał i długo myślał, aż później przeważyło serce i szedł do Zośki w domu Agnieszki; Gdy tylko wszedł do izby, obie kobiety poznały, że go jakiś ciężki trapi frasunek. Zośka rzuciła motowidło, na którym przędę dla tkacza zwijała i pyta troskliwie co się mu wydarzyło, że taki jak trup bladej i zafrasowany? Agnieszka, która warzechą kaszę w garnku mięszała, stanęła z nią jak z berłem na środku izby i wlepiwszy oczy w Józka, pyta go ciekawie o powód ciężkiego smutku? Józek po chwili skłoniwszy się do nóg Agnieszki, rzeknie:

— Trzebać mi się będzie z wami pożegnać a może i na zawsze, bo się sołtys uwzięli na mnie i wydają mnie z gromady na wojaka. Byłem u Jegomości, ale nic nie pomogło. Sołtysowi ofiarowałem podarunek, ale nie chciał; kazali mi się więc wybierać za tydzień do stawki i już więcej może z Krakowa nie powrócę, bo nas mają odstawić do Włochów na wojnę.

Zośka słuchała tej mowy jakby skazany, któremu czytają wyrok śmierci. Coraz więcej bladła, mieniła się, siniała, aż gwałtownym płaczem uniesiona, potoczyła się na ławę i głowę o stół oparłszy, jęczała rozpaczliwą boleścią. Agnieszka pozostała w miejscu jak wryta, z podniesioną w górę warzechą, gębę otworzyła, oczy z dzikim wyrazem wytrzeszczyła i na żadne słowo odpowiedzi dać nie mogła. Józek się czołem oparł o ścianę i łkał i płakał jak dziecko, a dwa prosiaki (które się znowu z sobą złączyły po śmierci Reginy) kwiczały przeraźliwie w sieni, jakby je kto ze skóry żywcem obdzięrał. — Ta scena trwała dość długo, aż pierwsza Agnieszka zebrawszy zmysły, tak się odezwie:

— Moje kochane dzieci, wszystko jest w mocy Boskiej i we wszystkiem wola Boska! Dzisiaj się nam tak wydaje, a jutro powiemy, że co Bóg rozporządził, to najlepsze. — Jeżeli się kochacie, to się pobierzecie, choćby i później, bo co się odwlecze, to nie ucieczel! Może cię jeszcze uwolnią, a choćby i nie uwolnili, to wojna wieki trwać nie będzie, tylko musi się skończyć, a ty i tak dokonasz, coś sobie zamierzył. Zośka jeszcze młoda, tak jakoś i ty młody; więc wam czas będzie żyć na tym świecie i nacieszyć się z sobą do woli Boskiej. Ja sobie myślę, że kiedy sołtys jest mi bratem po ciotce, to ja

może co u niego wskóram, jak go za nogi chwycę i prosić go będę.

— Nie wskóracie nic Agnieszko (odpowie Józek), bo on na mnie zagniewany i uprosić się nie da. Wyraźnie mi powiadał, że, gdybym się był chciał z jego córką żenić, toby mnie był na wojaka nie wydał; ale kiedym sobie Zośkę upodobał, to iść muszę koniecznie, choćby stu innych było lepszych ode mnie.

Zośka słysząc to, nagle z ławki powstała, i jakby jasnym błyskiem światła uderzona, rzekła:

— Kiedy tak ci mówił sołtys (rzecze Zośka), to cię proszę Józku i przykazuję ci, abyś mnie zaniechał a do sołtysowej córki się zwrócił. Ja cię wolę nie mieć za męża, jak żebyś miał na wojnie ginąć. Wolę całe życie o chłopie nie słyszeć, jak ciebie na stracenie wydawać. Agnieszka są mi drugą matką, będę na nią pracować a ona przy chałupie wszystkiemu podola — więc sobie żyć będziemy do woli Pana Jezusa.

— Ani sobie tego nie miéj w myśli Zośko, abym ja pojął inną dziewczuchę a nie ciebie, i żebyś za to duszę zaprzedał, aby się na wojnie od śmierci uchronić. Żeby mi świat cały dawali, to cię nie odstąpię i sołtysa córki nie chcę, a łaską jego gardzę. Może mi Pan Bóg da, że mnie przecież nie zabiją, to byleś mię się do-czekała, z całej duszy się z tobą ożenię. — Ale

kogo mi téż żal jeszcze a żal mi strasznie, to mego tatusia! bo co on téż chudak stary będzie beze mnie robił i jaką sobie da radę bez syna? Kto mu zawrze oczy na przypadek śmierci?!

Tu znowu rozpoczęły się płacze i lamenta, którym i stara Agnieszka wtórowała. Józek rękawem zakrył oczy i rzewnie szlochał, a Zosia przerywanym głosem rzeknie:

— O tatusia się nie bój, bo kiedy mu wezmą syna, to ja mu będę córką i co-dzień pójdę do niego zaglądać, a przez całe żniwo będę żęła u niego. A jakby, broń Boże! chorował, to obie z Agnieszką będziemy go opatrywać. To cię zaś upewniam Józku, że czy wrócisz, czy nie wrócisz, za innego nie pójdę, choćby mi się panicz ze dworu zalęcał. Kiedy mnie matka przed śmiercią tobie oddała, to ja już nieczyja być nie mogę, i dopiero gdybyś mnie ty nie chciał, tobym na cały żywot dziewczką pozostała.

— Po cóżbyś miała być dziewczką (rzecze Józek); gdybym zginął na wojnie, mogłabyś pojąć innego, gdyby ci się trafił, a mnieby już nie było krzywdy.

— Choćbyś zginął Józku (odpowie Zośka), to ci przyrzekam, żebym już za innego nie szła.

Agnieszka pyszna ze swojej przybranéj córki, podparła boki i tak się odezwie:

— I ja uręczam za to, co Zośka mówi, bo wiem jako jest dziewucha, jakby czyste złoto, i takiej drugiej niema na świecie. Ona ci dotrzyma Józku, byleś jój ty nie sfalszował, bo wojaki światem gonią i dziewuchy bałamuca, a jeden od drugiego złą mowę słyzy i wnet się popsuje. Pamiętajże Józku na twoją obietnicę w śmiertelną godzinę matki Zośki, aby cię djabel gdzie nie uwikłał i serca ci nie zepsuł.

— O to się tam nie bójcie (rzecze Józek), bo mię wiara święta od złej myśli uchroni i ja się z takimi zadawać nie lubię, co na złe prowadzą. A teraz już was żegnam, bo się tatuś turbują, co się ze mną stało, że nie wracam a muszę się téż i ludzi z gromady poradzić, czyby się jeszcze nie dało jako, od téj wojaczki uwolnić.

Józek wyszedł, a Zośka wtenczas dopiero w potoku łez szukała ulgi w cierpieniu. Agnieszka pocieszała ją, iż się to złe da jeszcze odwrócić, chociaż wewnątrznie była przekonana, iż zaciętości sołtysa nic zwyciężyć nie zdoła. Wiedziała ona, iż sołtys pragnął od dawna wydać swoją córkę za Józka, a jego zemsta stanie się nieubłagana.

Józek szedł do domu a po drodze spotkał strapionego ojca, który się był o wszystkiém już dowiedział i w stanie gorączkowym poszedł szukać syna. Ojciec się do niego tak odezwie:

— Ah! gdzież się téż podziewasz Józku, że cię tyli czas szukam, a nigdzie cię nie znalazł! Przyszli do mnie sąsiedzi niby na pociechę, ale jakaż dla mnie już pociecha na świecie, chyba w tym grobie. do którego mię wrzucą, jak mi cię wezmą i na wojaka oddadzą. Oj biedny ja i nieszczęśliwy na tę moją starość, że mi jedynę zabiérają dziecko! Wolałbym, aby mi zaraz życie moje wzięli, jak, że mnie starego zostawiają na téj ziemi sierotą! Umarła mi żona, umarła mi córka, i jednego mi syna Pan Bóg pozostawił, a tu przyszło na to, że i tego biorą. Czyliż to niema we wsi parobków na tyle, jak i ów Piotrów chłopak i synowie Kuby i tylu innych urodnych parobków, nie zaś staremu ojcu zabrać jedynaka! Oj ludzie, ludzie! takaż sprawiedliwość ma być w naszej gromadzie, aby jeden drugiemu ciągle stał na zdradzie, przez zazdrość albo uwziętość. Niech tego Pan Bóg skarże i srogo nawiędzi, kto się do tego przyczynił!

— Nie pomstujcie tatusiu nikogo! (rzecze Józek) taka wola Boska i koniec. Wracajmy do chałupy a tam się ugadamy, coby teraz począć i jaką znaleźć radę na to nasze nieszczęście.

Ojciec z synem szli drogą i mało z sobą mówili, bo łzy przytłumione wiązały im język. Od czasu do czasu spojrział ojciec na syna i zalał się łzami, a syn spojrział na ojca i płaczem wy-

buchnął. Wreszcie przyszli do domu, pies się do nich łasił, skakał, skumlał i patrzył im w oczy, a później gdy oba usiedli, psisko się u nóg Wojciecha złożyło, spuściło łeb na nogi, dzieląc zapewne ich smutek. Nadbiegł pastérz z patykiem obwiązany płachtą i stanął w środku izby, bo miał coś powiedzieć, ale widząc gospodarzy pogrążonych w smutku, zwrócił się i usiadł na progu domu, marząc także smutnie, chociaż nie wiedział, o coby chodziło. Tylko jaskółka świegocząc pod strzechą i nie świadoma domowej boleści, zdawała się być szczęśliwą, bo w glinianém gniazdku widziała spokojnie spiące cztery swoje pisklęta, które hojnie nakarmiła. Ojciec przerwał milczenie i rzekł:

— No i cóż myślisz Józku?

— I cóżbym miał myśleć tatusiu — nieszczęście i tyle. Sołtys się wziął na mnie, że nie chcę jego córki i powiedział, że za to *gwet* muszę dźwigać.

— A gdybyś téż, mój Józku i na to przyzwolił? (rzecze Wojciech). Bo przecież dziewczucha jedna jak i druga, a sołtysowej córce *téż* niema przygany!.... Jużbym wolał dać Zośce krowę za ten zawód, i piéniędzy na wiano, gruntu na przysiówek, a przecieź ciebie ochronić i mieć z ciebie pociechę na stare me lata. *Cóż* ja tu pocznę bez ciebie, mój synu? Zmiłuj się

przecieź nad twym starym ojcem, niech ja nie umrę jak nędzarz samotny bo pewno nie dożyłbym twojego powrotu. Teraz wojna we Włochach, wojsko się zażarło, i strzelają do siebie z armat, z karabinów, jedni na drugich, w nocy napadają i pałaszami rąbiają, kłują i mordują. Mnie powiadali, jak tam jest na wojnie, iż rzeźnik nigdy tyle z bydłęcia posoki nie ciągnie, co się tam leje krwi chrześcijańskiej i co tam trupów zalega na ziemi! Aże strach słyszeć, gdy opowiadają, a cóż dopiero samemu być w wojnie, strzelać, zabijać albo być zabitym i marnie zginąć zdaleka od swoich.

— Mój ojcie! (rzecze Józek) człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi i nie każdy tam ginie, co na wojnę idzie; przecieź ich tylu do wsi powróciło, to może téż i innie Bóg ochroni. Co zaś radzicie, abym Zośki odstąpił i sołtysównę za żonę miał pojąć, to tego nie uczynię, choćby mi dzisiaj w oczy śmierć zajrzała, i choćbym całe życie miał zostać wojakiem. Wyście sami kazali, aby nam Regina na śmiertelném łożu pobłogosławiła; wyście mię sami za rękaw szarpali, abym ukląkł i matce czynił obietnicę. Dziś już przepadło — dotrzymam przysięgi; i gdybym Zośki nie pojął za żonę, tobym się nigdy z nikim nie ożenił i w kawalerstwie cały żywot spędził.

— A gdy ona cię zwolni (rzecze Wojciech), to przecież bez grzechu inną pojąć możesz?!

— Nigdy tatusiu (odpowie Józek), bo choćby Zośka, czego broń Boże! umarła, tobym się i tak z inną nie żenił.

— A cóż zaś za takie głupie kochanie! (rzecze ojciec z naciskiem), przecież i ja pojąłem żonę nieboszczkę, nie koniecznie z majątku, a takem się przecież nie upierał przy niej, jak była dziewczką, aby nie brać inszój, gdyby była wola Boska i ku temu jaka potrzeba. Nie jest was dwoje tylko na tym świecie, ale są tysiące dziewczynek i parobków, a każdy na swoje trafi, jeżeli nie na jedno, to na drugie. Jeżeli kochasz Zośkę, to téż powinienes kochać i ojca, który ci jest rodzicem, a jakże go ty kochasz, kiedy wolisz iść na wojaka, ojca i gospodarstwo opuścić, jak jedną ubogą dziewczę porzucić. Choćbyś się księdza pytał, toby ci to zganil.

— Nie zganilby mi tatusiu (odpowie Józek), bo złamać przysięgę, to gorzej jak majątek postradać; a wreszcie Zośka będzie tu dla was jak córka, i opiekować się wami przyrzekła.

— Obejdę się tam bez tego (rzecze kwaśno ojciec), i kiedy mnie dla niej odchodzisz, to jój na oczy widzieć nie chcę.

— Zmiłujcie się tatusiu! (rzecze Józek), i nawet nie gadajcie takich rzeczy, które są grze-

chem, hoby mnie i was mógł Bóg za to skarać, że się wypieramy siérotę, któraśmy przyrzekli do śmierci dochować. — Cóż ona biédna dziewczucha temu winna, że mnie biorą do wojska? Ona sama lamentuje i ledwo się gdzie nie zapodzieje, a prosi, żebym ją odstąpił i ożenił się z soltysówną, dla tego, iżby życia na wojnie nie postradać. A kiedym o was płakał tatusiu, że mi was żal odchodzić, to mi przysięgła, że o was zadba, czy w zdrowiu, czy w chorobie, a żać u was będzie przez całe żniwa. Wy zaś tatusiu za tę jój dobroć tak się wywdzięczacie, że jój na oczy widzieć nie chcecie.

— Ja ją tam i lubię (rzecze ojciec) i w niczém jój nie przyganiam, ale chodzi mi o to wojsko, że cię od niego koniecznie chcę uwolnić. — Gdybym był nieszczęśliwy wcześniej grunt na ciebie zapisał, toby cię nie byli wzięli, ale mi ludzie odradzali, aby się trzymać gruntu i na syna nie spuszczać, bo teraz dzieci nie zawsze lubią uszanować rodziców, i gdy się raz na gospodarstwo dostaną, to ojca z chałupy wyganają na dziady.

— Co się stało, tatusiu, to się już stało (rzecze Józek). O to was tylko proszę, abyście dla Zośki byli jak rodzony ojciec, bo jeżeli mi Pan Bóg da powrócić, to się z nią zaraz będę żenił.

— No jużci (odpowie ojciec), kiedyś ją już

sobie tak ukochał, to cóż mam robić, i muszę już iść za twoją wolą, ale się może da jeszcze jako wykręcić, żebyś na stawkę nie chodził; i gdybyś też przypadkiem do twego wujka poszedł na ten czas za Wisłę?

— To na nic tatusiu! i jeszcze gorzej (rzecze Józek) bo dojdą, żandarmy złapią, do urzędu dostawią, skórę obiją i trzeba służyć. Najlepiej iść za prawdą, a prędziej się Bóg zlituje.

— Przecież ja się na to nie opuszczam, co ci Jegomość mówił (rzecze ojciec), tylko pójdę do profesora i z nim się naradzę, a potem do organisty i do dworu, a może też i żyd w karczmie wie na to jaki sposób; ty zaś Józku idź na szlaban, bo tam przy rogatce jest stary wojak Tarka, co służył przez 15 lat u césarskich, to musi znać, jakie są na to wykręty!....

XIX.

Ludzkie rady.

Ojciec z synem mało co na obiad jedli, podłubali tylko w kaszy i odeszli, każdy w swoją stronę. Ojcu po drodze było wstąpić do organisty, a syn poszedł na rogatkę. — Organista, który przed chwilą jadł obiad, zapewnie z większym apetytem jak Wojciech, siedział przy oknie z rozpiętą koszulą i tłusty kadłub chłodził a dmuchał. Organiścina, poczciwa kobieta, krzątała się około gospodarstwa, i pierwsza Wojciecha powitała słowy:

— Cóż wam-to takiego, biedny Wojciechu, żeście zafrasowani, i co was tu sprowadza?

— Oj nieszczęście — syna mi do wojska biorą i przyszedłem się zaradzić pana organisty.

— Jakto, Józka wam biorą? (zapyta organista), a jakże się odważają brać wam jedynaka, kiedy prawo césarskie pisze, iż syn pojedynak ma być wolny od regimentowej służby, jako

stoi w dzienniku z roku któregoś tam, i co nie pomnę prawa tego.

Na to jedyny sposób: pisać *reklamacyją*. Ale wy może nie wiecie, coto jest reklamacyja? Otóż to jest pismo na stęplu, gdzie jest wyluszczone uciążenie każdego i *prograwacyja*, jaka się tyczy osoby lub rzeczy, w tym albo innym względzie. Lada kiep temu nie zrozumie i nie napisze, bo muszą być punkta na wszystko, a przytém dokumenta z pieczętką sołtysa i z podpisami, a ktoby pisać nie umiał, to kładzie znak krzyża św. Przytém także muszą być *sepultury* i *metryki* i różne inne wyciągane z rejestru rubryki, co kosztuje wiele czasu i fatygi a głowę sobie trzeba nasmażyć, aby wyluszczyć tę całą *manipulacyją*. Rozumiecie mnie teraz Wojciechu?

— Ej! głupia tam moja głowa na to (rzecze Wojciech), abym takie sprawy rozumiał; ale kiedy mi już o sołtysie mówicie, to na nic wszystko, bo sołtys pieczętki nie przyłożą.

— Mój mężu kochany (rzecze pani organiscina) jeżeli możesz, to też Wojciechowi poradź, bo szkoda jego i chłopaka.

— Ja mu też radzę, jak widzisz (odpowie organista), ale cóż poczniesz z narodem, który słów moich nie pojmie!

— A to napisz, mój mężu! (rzecze organiscina).

— Napisz!.... łatwo to kobiécie powiedzieć:

„napisz“, ale to nie palcem kiwać, żeby *reklamacyją* ułożyć. Nad tём trzeba fałdów przysiedzieć i głowy ususzyć, a darmo nic nie przyjdzie.

— Ja wam zapłacę, panie organisto, ile chcecie, ale mię też tylko poratujcie.

— Nie o to chodzi (rzecze organista), aby zapłacić, ale jak napisać; bo można napisać za reńskiego, za dwa, za pięć i za dziesięć, a równo będzie napisane, tylko nie to samo; więc ja nie wiem, jak chcą Wojciech, bo to od jego woli zależy.

— Jaby i dziesięciu reńskich nie żałował (rzecze Wojciech), bylem wiedział, że pomoże i że mi syna uwolnią.

— Uwolnić, — może i uwolnią (rzecze organista), ale za to ręczyć nie mogę, bo nikt nie przejrzy serca ludzkiego ani myśli, która jest w jednym albo drugim człowieku! Jeżeli go na to mówiąc, uwolnią, to go nie wezmą, a jeżeli by im się nadał, toby go wzięść mogli. Więc wam się tak tłómaczę jakby rodzonemu ojcu.

— I cóż mi z tego przyjdzie (rzecze Wojciech), kiedy mnie nie upewnacie?

— Jakto nie upewniam (zapyta organista); kiedy wam wyraźnie mówię, że wam napiszę, za ile tylko chcecie, czy za pięć, czy za dziesięć reńskich.

— To już wolę za dziesięć (rzeknie z smu-

tkiem Wojciech), bo przecież będzie może dwa razy tyle napisano, więc łatwiej pomoże. Daję wam tu piątkę na zadatek, a jak mi pismo przyniesiecie, to dam wam drugą.

— Żal mi was Wojciechu, że się szkodujecie (rzecze organista) — ale pismo, to rzecz droga, i w mieście każą sobie jeszcze więcej płacić. Jutro wam przyniosę napisaną reklamacyją, na waszą pregrawacyją, i zaraz się do tego zabiorę, tylko sobie odetchnę.

Wojciech pokłonił się organiście i organiście, pochwalił Pana Boga i szedł ku szkole, gdzie pan profesor mieszkał. Zastał go w ogródku gwizdzącego krakowiaka młodemu kosowi, którego śpiewać uczył. Pani profesorowa plewiła kwiatki, w czém jój trzechletni synek pomagał i razem z chwastem cenne gwoździki wrywał.

— Przejęty bębnie! (rzeknie pani profesorowa do swojego syna) wyrwałeś mi najpiękniejszego holendra, nakrapianego w centki — idź się baw z kotem, bo kyzia na ciebie czeka.

Wojciech stał z założonymi rękami, nie chcąc przeszkadzać panu profesorowi w nauce ptaka, aż wreszcie ten się obejrzał, a nie znając Wojciecha, który drobnych dzieci w domu nie miał i do szkoły nie posyłał, zapytał się groźnie:

— Zkąd jesteście gospodarzu i po co przychodzicie? nie łażcie mi po grządkach.

— Nie łażę, panie profesorze, bo stoję na ścieszcze (rzeknie spokojnie Wojciech), ale przychodzę tu z prośbą o radę. — Jestem Wojciech tu ze wsi, i choć dzieci nie posyłam, to daję na szkołę, więcęć nawet jak inni; ale mnie téż teraz nieszczęście spotkało!

— To do mnie nie należy! (przerwie profesor) Każdy powinien płacić wedle rozkładu, bo to jest przepis rządowy ze samego Wiédnia.

— Kiedy mnie pan profesor nie rozumieją, (odpowie Wojciech) bo ja po co innego przychodzę i od zapłaty się nie wymawiam.

— A więc o cóż chodzi? (zapyta pan profesor).

— O syna mi chodzi, co go do wojska biorą. Chciałbym więc rady, jako od mądrego człowieka; a chętnie zapłacę, co przypadnie.

— To co innego (odezwie się pan profesor), to moja rzecz, i dobrzeście się udali. Wiele ma lat wasz syn?

— Obróciło mu się na dwadzieścia dwa od świętego Józefa (rzeknie Wojciech).

— To źle (odpowie profesor), bo gdyby miał trzydzieści dwa, byłoby lepiej, gdyż byłby wolnym. Ale wieluż ich jest w domu?

— On tylko jeden (odpowie Wojciech), bo nie mam tylko jednego syna.

— To źle (rzeknie pan profesor); bo gdybyście

ich mieli dwóch, toby mogli wzięść jednego, a drugiby został. A grunt na kogo zapisany?

— To téż, że na mnie, bo mi ludzie odradzali przepisać na syna.

— To bardzo źle (odezwie się pan profesor); bo syna wezmą do wojska, a wy sam tylko zostanieie na gruncie. A czy jest duży czy mały, ten wasz syn? ślepy czy kulawy? prosty czy garbaty?

— Totéżto (rzeknie Wojciech), iż chłoposko wyrosło jak dąb i nie ma mu żadnej przygany, a pewno się na odstawce uda.

— Téż gorzej! (rzecze profesor) Lepiej mu było być ślepym albo kulawym, kiedy nie ma ochoty iść do wojska. A czy ma żonę lub czyli jest nieżeniaty?

— Nie, wielmożny profesorze! (odrzecze Wojciech), ale ma dziewczę, z którą się chce żenić.

— To źle i niemoralnie, bo może zostawić ją nieszczęśliwą, gdy go wezmą do wojska, a dziewczucha zbałamucona nie prędko męża dostanie.

— O to się tam nie boję (rzecze Wojciech), bo mój syn nie jest bezernik jak inni parobcy, ale mu żal dziewczuchy odchodzić.

— Proszę? (przerwie pani profesorowa) to się wasz syn już wdaje w romanse? Zkądże się wziął taki chłop na świecie, co umie te rzeczy, które się praktykują tylko w naszym stanie? Musicie mi to, gospodarzu, opowiedzieć.

— Opowiadać mi się tam nie chce z wielkiego zmartwienia (rzecze Wojciech), tylkom przyszedł na radę, jakby syna uwolnić?

— No, więc gospodarzu, ja wam taką dam radę (mówi poważnie profesor), iżby potrzeba, aby wasz syn koniecznie chorował; aby mu doktor dał świadectwo, że chory a to świadectwo musi być podpisane na stęplu i z pieczęcią, a przy tém musi być prośba do urzędu niższego, a ten niższy napisze do wyższego i to pójdzie wszystko do komisji asenterunkowej, a co ona zrobi, to potem ujrzycie.

— A będzie-to chciał doktor podpisać się na fałszu? (rzecze Wojciech) jabym sam tego nie chciał, aby kto sumienie swoje zdradzał.

— Zapewne (rzecze profesor), że na stu doktorów ledwie się znajdzie jeden, coby to zrobił. Ale świat szeroki, to szukać możecie.

— Kiedy mi powiadano (rzecze Wojciech), iż to nie nie pomoże, bo są już do tego doktorzy od wojska, co wszelki fałsz przenikną i ze świadectwem wezmą.

— To prawda (rzecze pan profesor), ale tonący brzytwy się chwytą.

— Obiecał mi pan organista napisać jakieś pismo co się zwie *reklamacyją* i zgodziłem się z nim za 10 reńskich. Już ma być najdłuższa za te pieniądze jaka tylko jest—nie wiem zaś, czy to będzie dobrze?

— Ej co tam! (rzecze profesor) to się na nie nie przyda, i na to go nie uwolnią, bo żeby go uwolnić, to się nie reklamacją pisze, tylko *remonstracją*. — Gdybym ja wam taką napisał, toby zaraz urząd wziął na uwagę, bo nie każdy umie do urzędu pisać. Taki np. organista, co się tylko uczy od małego przebierać palcami na organach, nie może mieć téj edukacji, co drugi człowiek, który jest na wielu książkach wyćwiczony. — Więc gdybyście chcieli uwolnić syna, to musicie łożyć na *remonstrację*. — Dopiero się pisze na arkuszu, że z téj przyczyny, albo z tych powodów. — Bo bez powodu nie niema na świecie, i wy nie bylibyście do mnie przyszli bez powodu, racyi i przyczyny. — I jabym do was w tym czasie albo epoce nie przemawiał, bez powodu i słusznój przyczyny! — Gdy zaś każda przyczyna albo powód ma swoją racyją, więc trzeba na to pisać *remonstrację*. — Rozumiecie teraz gospodarzu!....

— Pojmuję trochę, ale nie wiele (odpowie Wojciech).

— Ale bo téż mój mężu (rzecze pani profesorowa), mówisz do prostego człowieka, jakby do równego tobie uczonego! Im się wyklada na łopacie; powiada się ile trzeba zapłacić i kwita.

— Nie sztuka wziąć pieniądze od człowieka (odrzeknie skrupulatny pan profesor), ale trzeba

wyłożyć za co? Należy, aby wiedział, iż za darmo nie płaci.

— Ja tam na to głupi (rzecze Wojciech), i byle mi syna uwolnili, to tyle chcę, i za to kosztą wyłożę, ile przypadnie.

— Koszta, widzicie człowieku, są różne! (doda profesor) Bo gdy idziecie do miasta, a macie kupić sukna, to za dobre łożycie więcej, a za podlejsze mniej. — Gatunkowość i rodzajowość czyli *geschlecht*, mają się w stósunku do wartości jak wartość do gatunkowości. — Objasnijmy to przykładem: *Remonstracja* do *reklamacyi* ma się dajmy na to, jak dwa do jednego, — albo przeciwnie; jeżeli reklamacja kosztuje jeden reński, to remonstracja dwa, i tak dalej aż do sumy dwudziestu reńskich, gdzie się liczba limituje a staje się cyfrą oznaczoną, czyli zapłatą, remuneracją, lub téż wynagrodzeniem, jak chcecie; bo te trzy wyrazy są synonimy, czyli jedno znaczą. Rozumiecie, poczciwy człowieku?

— Nie rozumiem panie profesorze! (odpowie Wojciech)

— Ah! obskurantny narodzie!... prędjebym kosa mojego wyuczył, (rzecze pan profesor) jak was, których intelligencyją rozwijać mam powołanie.

— Oto macie zapłacić dwadzieścia reńskich

(rzeczce pani profesorowa), to wam pan profesor napisze ten papier co żądacie. Rozumiecie teraz?

— Rozumiem (rzeczce Wojciech), ale mi się też zdaje dużo za jeden papier. — Organista obiecali więcéj napisać za dziesięć.

— Taką reklamacyją, jaką wam organista obiecał a nawet lepszą, to ja wam za cztery reńskie napiszę, ale co remonstracyją, za którąby nietylko jednego, ale dwóch chłopów razem uwolnić można, to organista za sto reńskich nie napisze. — Albowiem, ażeby być profesorem, trzeba umieć etykę i estetykę, gramatykę, gimnastykę, matematykę, i fizykę, i

— Ale co też chłopu głowę męczysz, mój mężu (rzeczce pani profesorowa), co on tam temu rozumie.

— Ale kiedy dobrze mówi pan profesor (rzeczce Wojciech) ażeby tylko fizyka przejednać, toby już wszystko było dobrze. — Ja przecież rozumiem.

— Otóż właśnie o to chodzi (odpowie pan profesor) a do tego nietylko potrzeba już *remonstracyi* ale i dowodów *uprawnających* czyli mówiąc po naszymu, *legalizujących*, a trzeba też i demonstracyi, czyli wykładu, jak kto chce bo to są synonima.

— Syna, niéma tu (rzeczce Wojciech), aleby przyszedł, gdyby na to przyszło,

— Nie o synie waszym mówię, (rzeczce pan profesor) ale o jednoznaczności wyrazów, o synonimach.

— A przecież już skończ, z tym człowiekiem nudziarzu! (przerwie pani profesorowa). Już świętej cierpliwości brakuje!...

— Patrz sobie moja żono twoich kwiatków, a do mojej sfery palca nie wtykaj! (odpowie z naciskiem profesor). Gdy kto przychodzi do mnie o radę, to nie po to, abym go zbył byle czém! — sumienie każe obejrzyć całą fizyognomiją sprawy z przodu i z tyłu, jak ona wygląda?

— Oto dajcie dziesięć reńskich gospodarzu! (rzeczce pani profesorowa) a mój mąż wam napisze, nie jeden ale z dziesięć arkuszy, i pięć albo sześć razy tyle co organista.... W powiecie to aż się boją urzędnicy, gdy jaki papier od mego męża przyjdzie, tyle mają czytania.

— Oj, bo też może i tego trzeba, aby się przecież przekonali (przerwie Wojciech); więc już dam dziesięć reńskich, a teraz na zadatek zostawię tu piątkę.... proszę pani! oto jest piątka! ale na kiedyż to będzie?... Żeby téżto pani pana profesora dojrzała, aby prędzej było.

— Nie bójcie się! (rzeczce pani profesorowa) już ja dopilnuję.

— Przed tygodniem nie wyrobię tego referatu, (rzeczce pan profesor). Sam wstęp mnie dwa dni

zajmie lub zabawi, a cóż dopiero mówić o wywodzie, i o sensie i o konkluzji?

— Kiedy za tydzień, to na nic (rzecze Wojciech), bo mi wcześniej syna wezmą; organista obiecał na jutro.

— Kiedy on na jutro obiecał, to ja mogę i dzisiaj zreferować, ale nie będzie mieć ani wstępu ani konkluzji, tak jak człowiek nie mający głowy ani nóg, tylko kadłub (a po nowemu) *tulów* albo *tulób*.

— Cóż mi z tego przyjdzie (rzecze Wojciech), jak będzie bez głowy! Niech też pani profesorowa zmiłuje się nade mną i uprosi męża, aby już napisał z głową jak się patrzy, bo mnie się widzi, że pani profesorowa mają też dobrą głowę do tego.

— No, już bądźcie spokojni (rzecze pani profesorowa), bo mój mąż do pisma i głowę i nogi dorobi. — — Milusiu!... pójźże tu bębnie!... pójźż Emilu, pójźż, a pokaż, że masz główkę i nóżki!... A co to za smarkacz uparty!... Gdy się z kotem zacznie bawić, to go ani oderwać, tylko dusi kota.

— Rozkoszne paniątko! (rzecze Wojciech). No, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. Amen. (rzecze pani profesorowa).

Pan profesor sér kruszył dla kosa, i sy-

pał do klatki. — Pani profesorowa prostowała kości znużone długiem oplewianiem kwiatków, a Wojciech zamysłony szedł ku karczmie, aby od żyda zacząć jeszcze światła.

Karczma stała na pagórku; propinacyją, jak zwykle u nas, trzymał żyd, który był razem i plenipotentem dworu; bo chociaż szacher ale sprytny, każdy interes zrozumiał, dojechał za nim i załatwił. — Ksiądz proboszcz nie był rad mieć tego sąsiada przy kościele, i nieraz dziedzicowi z westchnieniem na to się uskarżał, ale żyd nietylko miał łaski u pana dziedzica, lecz i u pani dziedziczki; bo zawsze do miasta sążniastą notkę na sprawunki woził, a wszystko zakupił, począwszy od cukru i kawy, aż do tasiemki, i drutów do pończóch. — Panicze także Berka lubili, bo on pierwszy kucyka na jarmarku kupił i do nabycia ojca skłonił. — Trudno więc było księdzu proboszczowi wysadzić tę potęgę, oszańcowaną protekcją żony i synów dziedzica. — Wojciech przyszedłszy do Berka, pozdrowił go, zdjął czapkę, znój z czoła otarł i usiadł; a odpocząwszy, tak się odezwie.

— Wielki mam mój Berku frasunek! Syna mi biorą na wojaka!... nie moglibyście mi jako na to dopomódz?... Dałbym wam stajanko pod ziemniaki, i drzewabym wam przywiózł z lasa i po wódkę jechałbym za darmo do Tenczynka,

tylko kręćcie jako głową, aby go od wojska wykręcić. — Wy tam rozmaite macie na to sposoby, to się wystarajcie, a będę wam zawsze pamiętał.

— A kiedy go to mają wiaść? (zapyta Berek).

— W tym tygodniu albo na przyszły (rzecze Wojciech). Byłem u organisty i obiecał mi napisać *reklamacyją*. Byłem też u pana profesora i obiecał mi napisać *oracyją*; ale któż tam wie, czy to pomoże albo nie?

— Co ma pomódz? (rzecze żyd). Z pisania dzisiaj nikomu nie nie przyjdzie, bo komuż się będzie chciało czytać? Teraz jest wojna, to nikt nie ma czasu bawić się czytaniem. Oni mają tyle do myślenia jakby tym Garybałdom łbów ukrećć, że to, co napisze organista albo profesor, to pójdzie w kąty.

— Kiedy ja już każdemu z nich zapłaciłem po dziesięć reńskich (rzecze z żalem Wojciech).

— Aj waj!! (odpowie Berek) za dwadzieścia reńskich, tobyście byli cały urząd gromadzki w miodzie skąpali. Jakby ja miał dwadzieścia reńskich od was, tobym jednemu dawał wódki, a potem miodu, i znowu na to wódki i znowu miodu. A jakby się był sołtys upił i radni, to bym ja wszystko z nimi zrobił, i takbym im kręcił i obiecywał i podchlebił, żeby oni nawet Józka do Krakowa z sobą nie brali. Ja nie chcę

od was dwudziestu reńskich, ale dajcie mi dziesięć i w dodatku te zagony pod ziemniaki i parę korcy owsa dla gęsi, i furkę drzewa, i ze dwa razy koni do Tenczynka, a wreszcie co będzie jeszcze wasza łaska, a ja wam wszystko sprawię jak najlepiej!

Długo jeszcze żyd dowodził o środkach, jakie ma do uwolnienia Józka. — Wojciech rozmaitemi radami oszołomiony, ostatnią zawsze uważał za najlepszą i dlatego mniemał, iż żyd najprędzej znajdzie środek zbawczy, bo pojmował, iż urząd gromadzki tak silnymi dowodami, jakimi są wódka i miód, najłatwiej da się przekonać. Wyciągnął więc 10 reńskich obwinionych w szmatę, i oddał je żydowi na zadatek ułatwienia ważnej sprawy, którą mu powierzył.

Równocześnie taka się toczyła rozmowa między Józkiem a dawnym wojskowym *Tarką* na rogatce:

— Widzicie, Tarka (rzecze Józek), iż gdyby nie wojna, toby łatwiej było, bo czasem nawet rozpuszczają na urlop.

— Co tam wojna (odpowie Tarka), ja byłem na stu wojnach, a może w tylu batalijach a i tak jakim się podał do raportu, tom w szpitalu i parę miesięcy przeleżał, a beze mnie się obeszło. Jak to ludzie mówią: „Że bez jednego będzie wojna.“ Tylko trzeba wiedzieć, jak się wykręcać

na tym świecie. Lecz słuchajno Józku! na gościńcu się o tém nie rozmówimy, tylko najlepiej iść do karczmy, a tam cię wszystkiego nauczę.

— A więc was proszę na szklaneczkę piwa (rzecze Józek).

— Ja bo wolę wódkę (odpowie Tarka spluwając), od piwa mdli mnie na wewnątrz.

Weszli obadwa do karczmy; szynkarka postawiła kwaterek wódki dla Tarki i szklankę piwa dla Józka, i tam popijając, rozpoczęła się rozmowa:

— Gdybym ja był chciał służyć dłużej w wojsku (rzecze Tarka), to byłbym do tego czasu najmniej podoficerem, bo w całym regimencie tak wyrzucanego nie było jak ja. Mnie zawsze starsi z transportem posyłali, a nie jeden się starał wziąć mnie za furyszica, ale mnie się nie podobalo i wolałem być kapralem. — Jak ja *donnerweter* stał na wojnie na Francuzów, to mi nigdy sakramencki naród nie dotrzymał, i albo go zastrzelił, albo go bagnetem przebiłem i zaraz gryzł ziemię. — A co ja rekrutów wysztyfutował na ludzi: co przyszedł jak kolek do regimentu i nie wiedział jak się obrócić; a to było tego więcej jak tysiąc, com ich musterunku nauczył, bo to wszecko przez moje ręce przechodziło! Jakiśmy szli z transportem, tom sobie chleba i flajszu nafasował, tabaku i wódki w ma-

nierkę, i pędziłem rekrutów jak bydło, a który nie chciał iść, to go kolbą w plecy! — Więc ja każdej rzeczy rozumiem; ja cię nauczę każdej sztuki, jaka się przy asenterunku trafia. — Najprzód będzie siedział major w konwisyi, a przy nim doktor, który nie siedzi tylko łązi. W końcu będą siedzieć pisarze, co piszą, a ci się nazywają *szrajbery*. Przy piecu zaś, koło ściany stoi miara, gdzie rekruta mierzą. Dopiero zawołają na ciebie i każą ci się rozebrać tak, jak cię Bóg stworzył i matka urodziła, i przyprowadzą cię do miary i spuszcza na łeb deszczułkę. Dopiero cię rachują: *cwaj fus, draj fus, cwaj sztrich, draj sztrich*. i jeden wrzeszczy *gut*, co się po polsku zwie *dobrze*. Doktor cię obejrzy i klepnie cię po ramieniu i znowu rzeknie *tauglich* czyli *zdatny* i dopiero oddadzą cię żołnierzom; odziejesz się i razem z drugimi wiodą cię do przysięgi przed odwach. Tam przysięgniesz co ci przeczytają i potem ci obstrzygą czuprynę, a już jesteś wojak jak i inny. To taka jest sztuka, mój Józku; i to sobie pamiętaj, com ci powiedział, abyś nie myślał, że łżę.

— To ja już o tém wiedział (odpowie Józek), ale jabym chciał, żebyście mię nauczyli jakby się przecież uwolnić od tego wojska?

— Jabym ci powiedział (rzecze Tarka), ale czy potrafisz na to, aby cię uwolnili? Byłoby

najlepiej, abys nie miał miary; ale cóż, kiedy się ty przydasz na fligel w grenadyjerach, więc choćbyś kolana skurczył przy mierze, to ci je tam prędko felfeber wyprostuje. — Dobrzeby także było, żebyś miał piersi wklęsłe i wązkie, albo miał jakie kaléctwo! — Ale kiedyś ty, dziękować Bogu, chłop zdrów jak byk, a czerstwy jak rydz!

— Totéżto moiściewy! więc cóżby na to poradzić (zapyta Józek)?

— Trudna na to rada (rzeknie Tarka), bo cię przecież okoślawić nikt nie może, a choćbyś chorobę jaką udawał, to regimentarct pozna i jeszczeby sztrof nałożył i musiałbyś odsiedzieć na sztokhauzie a wziąć finfundewancyg, cobyś zaledwie zpod nich powstał.

— A więc niéma rady? (rzecze rozpaczliwie Józek).

— Byłaby rada, (odpowie Tarka) aleby trzeba tysiąc pięćset reńskich złożyć na wykupno, i to jeszcze terazby nie przyjęli, gdyż jest wojna. — Ale się nie masz czego bać, bo kroć ludzi służy w wojsku a żyją. Lepiej im jeszcze przy regimentencie jak w chałupie. Siedzą sobie w kasarni, w karty grają, tabak kurzą, wódkę piją i po krzykują. — Jaby był nawet z wojska nie wyszedł, tyłkom na nogi słabował, bo mi postrzał wszedł w kolano. Niéma życia jak przy regi-

mencie. Jakes chory, to masz sztabarcta, aptekę zadarmo i siedzisz sobie w mantlu i w furyr-micy, a wyśpisz się ile chcesz, bo ci tam nikt nie przeszkadza. — Ja bo często wylegałem się w szpitalu, choć mi nie wiele co brakowało, a zawsze wyszedłem tak bielutki i tak mi skóra zmiękla jak panience.

— Ej, o to mi tam nie chodzi, bo czy mi w wojsku czy na wsi, to trzeba słuchać i pracować; ale mi chodzi o tatusia i o dziewczuchę, com się z nią miał żenić.

— Bajesz, baja! (rzecze Tarka) dziewczuch będziesz miał sto za jedną, a jeszcze żadna nasza ani się umyje do tych, co we Włochach zobaczysz! tam każda ma oczy czarne jak węgielki, a bieluśka jak mléko a na gębie czerwona jak jabłuszko, a zęby będzie miała, jakbyś jój ze séra wystrugał; na łbie się jój włosy szklą, tak, jak na kuku pióra i śpiéwa ciągle tak, jakbyś grał na piszczałce. Wojaków strasznie kochają, i jeżeli się której udasz, to jój od się nie odżeniesz.

— Ej, ja tam nie chcę (rzecze Józek), bo ja takimi rzeczami nie traktuję.

— Głupis! (odpowie Tarka). Wychowałeś się jak ciele w domu, to temu nie rozumiesz, ale jak światu przewidzisz i nabierzesz żołnierskiej edukacyi, to tak będziesz sztajerował z dziewczuchami jak i inni.

— Nie będę, bo to grzech (rzecze Józek).

— Jużci grzech, kto ma na to sumienie (rzecze Tarka), ale ci się tam prędko i sumienie odmieni; bo gdyby na to mówiąc, żołnierz się na grzech oglądał, toby nie wyżył na wojacze. Trafi się czasem taka dziewczucha, co cię kocha i jeszcze ci za to jeść daje albo *sznapsa* kupi. Tam zaś *sznaps* to nie taka śmierdziucha jak u nas, tylko słodzona i cytryną albo alkiermasem zaprawiona.

— Kiedy ja wódki nie używam (przerwie Józek).

— To musisz, choćbyś nie chciał; bo wojak bez wódki, tak jak gęś bez wody. Ja sam wypilem z twojej łaski kwaterkę a jeszczebym drugą poprawił i nicby mi nie było; bo jak ci się Józku wewnątrz do wódki zaprawi, to samo się dopomina, abys jemu dał.

Józek widział, że Tarka nie da mu żadnej skutecznej rady do uwolnienia się od wojska, kazał drugą kwaterkę wódki przed nim postawić i wracał smutny do domu. W tym samym prawie czasie Wojciech był we dworze i opowiadał panu o swojej niedoli, a rozmowa między nimi była następująca:

— Napróżno (rzecze pan), wyłożyłeś tyle kosztów, i żałuję, żeś najprzód do mnie nie przyszedł po radę, bobym ci był wydatków oszczędził. Spodziewamy się wprawdzie, nowego

césarskiego prawa, iż jedynaki wolni będą od służby wojskowej, ale do dziś dnia prawo to nie wyszło i nie obronić twojego syna nie może. Rząd powołuje teraz wszystkich popisowych, i nie dziw, bo żyjemy w czasach wojny. Może jednak pokój będzie zawarty, zanim twój syn do Włoch przybędzie. Bardzo mi cię żal, poczciwy Wojciechu, gdyż wiem, jakato boleść jedynego poświęcać syna, ale nie chcę cię łudzić prózną nadzieją, bo wątpię, aby nam się udało z księdzem proboszczem uwolnić go od wojska. Jeżeli się wojna skończy, napisze się prośbę, aby go puszczono na urlop i znowu się nim cieszyć będziesz. Co się zaś tyczy wyłożonych na ten cel pieniędzy, to rozmówię się z księdzem proboszczem, aby wpływał na organistę i na pana profesora, iżby od reszty im obiecanych pieniędzy odstąpili, a Berka wyłaje, iż cię zwodził, i powróci ci dziesięć reńskich nakażę.

Wojciech kręcił palcami u rąk, stał nieruchomy, bo w wyrazach pana dziedzica widział już nieodwołalny wyrok swojego bliskiego nie-szczęścia, a potem skłoniwszy się do nóg dziedzicowi, rzekł:

— Ale przecież gdyby była łaska Wielmożnego Pana wstawić się u starszych za Józkiem i za mną, albo pismo do nich posłać, albo znaczek

dać mi do ręki, że jestem niepodejrzany człowiek, ale gospodarz posłuszny dla dworu i uczciwy w gromadzie.

— Chętnie pojedę do Krakowa w twoim interesie (rzecze pan), ale ci skutku nie obiecuję, bo znam przepisy, a wiem, że ci panowie starsi mają nakaz dostarczenia znacznej liczby rekrutów.

— Dziękuję Wielmożnemu Panu i za to (odpowie Wojciech), a pójdę już do domu, bo tam Józek zmięra beze mnie i z ciekawości, czym gdzie co wskórał?

Pochwaliwszy Pana Boga, wyszedł Wojciech od pana, właśnie kiedy Agnieszka z Zośką szły do dworu w tym samym interesie. Spotkawszy je na grobli, opowiedział rzecz całą i odradzał im jakichkolwiek już robić kroków. Na Zośkę patrzył on z obojętnością, a raczej z pewnym żalem i prawie nic do niej nie mówił; co biedną dziewczuchę dość już strapioną, do rozpacz przywodziło; albowiem domyślała się, że ojciec jej nielaskę sołtysa przypisuje. — Chciała go pocałować w rękę, ale jej usunął i żegnając się z niemi, wymówił słowo nader dla Zośki dotkliwe: „Sam sobie Józek winien i sam tego chciał, bo kiedy sobie tak upodobał, to nie będzie na ojca narzekał, tylko na siebie. Chodził do wian w zaloty a teraz będzie maszerował do Włoch.“

Agnieszka chciała mu na to coś odpowiedzieć, lecz Wojciech włożywszy czapkę głębiej na uszy, zwrócił się ku domowi i szedł sążnistymi krokami.

Józek już był w domu. Obydwaj zdali sobie wzajemną sprawę z wycieczki i na tém stanęło, że już niema ratunku, i że się trzeba poddać losowi, a wybierać do wojska.

XX.

Stawienie się do rekrutacyi.

Opuścimy tu smutne i nader tkliwe wypadki zapelniające tydzień, który oddzielał od dnia nakazanego do stawienia się do Krakowa. Po kilka razy był Józek u Agnieszki, a boleść Zośki i powiem nawet rozpacz z każdym dniem się powiększała, bo do powodów jój smutku przybył jeszcze nowy, to jest, gniew ojca. Szczérze zazdrościła ona matce śmierci, a w wigilją wtorku oznaczonego do stawienia się rekrutów, nie nie jadła, tylko we łzach tonęła. Zmizerniała dziewczyna, jakby po największej chorobie, a naróżno ją Józek pocieszał, że prędko wróci. Ona temu nie wierzyła i ludzić się nie chciała, lecz jój się zdawało, iż go widzi zabitego i leżącego między trupami na wojnie, a biędna Agnieszka z głowy jój téj myśli wybić nie mogła. — Nadszedł w końcu wtorek. Sołtys pojechał przodem, kilka fur napakowanych parobkami jechało za nim. Orszak ten kończył wóz Wojciecha,

który z Józkiem siedział zamyślony i smutny, a chłopak na przodzie konie poganiał. Ubożsi szli piechotą, a za nimi matki, żony, siostry, które straszne rozvodziły lamenta i jak mogły, zdążyły, aby się dowiedzieć, kto się do wojska nadał, a kto się szczęśliwie uwolnił? W mieście powiatowém wszyscy się zatrzymali, a przeznaczony do téj sprawy urzędnik, lekko skoczył na bryczkę, trzymając plik papierów pod pachą; dawszy zaś sołtysowi stósowne rozkazy, szybko ruszył ku Krakowu. — W dwie godziny nie całe, wozy stanęły na Zwierzyńcu. Chłopi zeskoczyli i poszli na miejsce, gdzie się spis wojskowy odbywał. — O dziesiątej przed południem rozpoczęto dzieło, a przed urzędowym gmachem nazywano się tłum ludzi, wśród którego na ulicy stała Agnieszka z Zośką o ścianę gmachu oparte. Wojciech poszedł na schody i tam blady i w rozpaczycy oczekiwał stanowczego wyroku. Po chwili biegł szybko po schodach pan dziedzic i ksiądz proboszcz. Gdy ich Wojciech zobaczył, zdawało mu się, że widzi aniołów wybawicieli. Miłosierdzie na nich spojrział, lecz oni w zakłopotaniu wzruszyli tylko ramionami i do izby urzędowej weszli. — Trzeci z porządku był powołany Józek. Czarny włos na głowie, który mu na białą szyję z czoła spadał, na bok odrzuciwszy, stanął do miary! Zbudowany jak lew, zdrów i bez

żadnej skazy, odrazu za zdatnego do wojska uznany został. — Wstawienie się dziedzica i księdza proboszcza było daremne. Sołtys milczał, głowę spuścił; a gdy Józka jako przyjętego ogłoszono i zapisano, sołtys uśmiechnął się szyderczo, spoglądając na dziedzica i księdza proboszcza. — Józek odprowadzony do drugiej izby, stanął pod strażą żołnierzy, a dziedzic przechodząc około biednego Wojciecha, rzekł mu: „Próżne było nasze staranie — syn twój przyjęty!”

Wyrok ten władzy z ust do ust przebiegając, doszedł wkrótce do wiadomości wszystkich. „Józka wzięli” głos się jakiś na ulicy odezwał, a ten głos jak zatruta strzała trafił w serce biednej Zośki. — Agnieszka widzi, że Zośka nagle blednieje, i że na ulicy zemdleć może, czém prędzej ją z pomocą innych kobiet w podwórze gmachu zawlokła, i wodą przy studni trzeźwi, zakłna i prosi, a ledwo się jój docucić zdoła. Wojciechowi mówiono, że jakaś dziewczucha umiera na podwórku z żalu za jego synem; więc się dopiero w nim serce ojca odezwało; biegnie, ratuje wraz z drugimi, i gdy ją otrzeźwiono, rzekł do niej:

— Moja córko! teraz tyś mi tylko pozostała za całą pociechę. Kiedy taka wola Boska, że mi syna wzięli, i ja na starość nie mam już nikogo, coby mi oczy zawarł, więc ty stań mi

się córką, zarządzaj chałupą i siedzmy razem aż do mojej śmierci, a jeżeli Józek więcej nie powróci, to całe gospodarstwo na ciebie przepiszę.

Z tego wszystkiego, co Wojciech mówił, nic nie słyszała i nic nie rozumiała Zośka, tylko jeden wyraz „córko.” Sięrota była już odwykła od tego nazwania, bo chociaż przybrana matka często do niej tego tytułu używała, to wiedziała i tak, że jest sierotą. Tu zaś ojciec Józka, nazwał ją córką, tak jak gdyby własny jój ojciec z grobu powstał i ją tym słodkim wyrazem powitał. Padła więc do nóg Wojciecha i oblewając je łzami rzęsimi, oderwać się od nich nie mogła. Wojciech ją dźwiga, Agnieszka podnosi, coraz większe zbiegowisko tę scenę otacza, wszyscy się dziwią: „Co się takiego dzieje i czego dziewczucha tak strasznie lamentuje?” a dwaj żołnierze stojący przy bramie, śmiejąc się, rzekną: „I moja Maryśka tak samo za mną płakała, a w pół roku za mąż poszła,” drugi zaś dodaje: „a moja aż do Wadowic za mną poleciała, a dzisiaj ma już z innym dwoje dzieci.”

Pierwsza popołudniu wybiła na zégarze maryjackim, a tłum ludzi biegnie ulicą. Wpóśród dwóch szeregów żołnierzy postępują rekruci. Niektórzy z dobrą i wesołą miną, inni smutni, a do tych ostatnich należał Józek. Stanęli przed odwachem, a po znaku danym wzniesiono sztandar,

uderzono w bębny, wojsko uszykowane broń prezentowało; oficer rotę przysięgi odczytał i ślub został zawartym na śmierć i na życie. Już się Józku nie cofniesz, nie wrócisz do domu, żegnaj więc ojca i Zośkę, pójdziesz w kraje dalekie, lecz błogosławieństwo starego ojca i twojej kochanki towarzyszyć ci będzie.

Rekruci zaprowadzeni zostali na zamek, mając być nazajutrz wysłani do Wadowic, a ztamtąd do Oświęcima, zkad już koleją pojedą do Wiédnia i dalej. Wojciech z Agnieszką i Zośką wracał ku przedmieściu Zwierzyniec, gdzie na niego fura czekała. Siadł z nimi na wóz i wracał do domu popłakując i wzdychając, w czém mu też obiedwie kobiety towarzyszyły, a razem i chłopak jadący końmi, który się również do tej myśli przyzwyczaić nie mógł, że już w domu nie będzie młodego gospodarza, z którym zawsze wspólnie pracę odbywał, przy órce poganiał, do lasu razem jeździł, a nigdy marnego słowa nie usłyszał. — W pół drogi, rzecze Wojciech do Zośki:

— Słuchajno Zośko! Ty się do mnie sprwadź i bądź gospodynią jako moja córka. — Agnieszka się bez ciebie obejda, tak jak się do tego czasu obeszli, a ty będziesz jakby sama na siebie i przyjmiesz dziewczkę do roboty; a ja przyjmę parobka i tak pójdzie gospodarstwo!

Nie będę ci niczego żałował i sprawisz sobie co będziesz chciała, a korale co zostały po nieboszce żonie mojej i dwa sznurki po córce, to ci podaruję; i przyodziewę babską jaka jeszcze jest i wisi w kómorze albo jest w skrzyni, to ci ją dam.

— Dziękuję wam gospodarzu (odpowie Zosia) za waszą łaskę i uczciwe serce, ale ja Agnieszki nie opuszczę. Oni mnie przyjęli biedną sierotę, po śmierci matki i zawsze się mną opiekowali, to ja ich też muszę pielęgnować na starość i pamiętać o niej jak już nie będą mogli sami pracować. Wy sobie przyjmijcie dziewczkę i parobka, to oni robocie podolą i was też stać choćby i czworo czeladzi trzymać, ale Agnieszki niestać na to, aby obcą dziewczkę utrzymała. — Gdybyście broń Boże gospodarzu w niemoc jaką zapadli, to obiedwie z Agnieszką będziemy miały o was staranie, a także gdy wam do żniwa albo do zbierania potrawu będzie trzeba robotnika, to ze samój strawy będę u was od niedzieli do niedzieli pracować, ale Agnieszki nie odstąpię.

— Moja córko! (rzecze Agnieszka), wiesz dobrze, iż ci nie żałuję, a krwi z palca-bym ci dała, ale kiedy ci się tak dobrze trafia, to cię nie chcę nic wstrzymywać. Ja ci nie mam co podarować, chyba tę chałupinę po mojej śmierci, a tu ci Wojciech zaraz dają korale i przyodziewę i oddają całe gospodarstwo. Więc ci z serca życzę

abyś poszła do Wojciecha, który jest już dzisiaj jakby twoim panem ojcem. Będę codzien do was zaglądać, i w czém będę mogła, to ci pomogę, a przecież przy większym majątku, to łatwiej do czego przyjdiesz i nie będziesz potrzebowała térać się po zarobkach, albo zrywać ręce przy mularzach, wynosząc kamienie i wapno na taką wysoczyznę.

— Nie wyganiajcież mnie téż od siebie (rzecze z płaczem Zośka). Kiedyście mnie za córkę przyjęli, to mi się teraz nie wyrzekajcie! Wyście biędna i ja uboga, to się nadajemy, a nigdy między nami niéma swaru ani kłopotu. Ja was tam nie odejdę z dobrej woli, chybabyście mnie wygnali, a tego nie zrobicie, boście mnie obiecali u siebie trzymać, dopóki z Józkim końca nie było — Teraz zaś z Józkim niéma nijakiego końca, a może i nie będzie.

— Posłuchajcie mnie (rzecze Wojciech), to ja tę sprawę pogodzę. — Oto sprzedajcież obiedwie wasze chałupki i sprowadźcie się do mnie. — Agnieszka będą starszą gospodynią, a Zośka młodszą, a za pieniądze co weźmiecie za chałupki, to sobie kupicie krowy, i co przyjdzie z nich, to będzie wasze i będziemy żyć wszyscy razem w zgodzie do woli Boskiej.

— Nie byłoby tak dobrze Wojciechu (rzecze Agnieszka), bo ze mnie żadnej nie mielibyście

pomocy i żywieniaby wam się nie nagrodziło. — Ja już stara, do pracy niezdatna, i tylko się koło chałupy kręcę, a żyję z lichego dożywotku, jaki mi pozostał. Zośka toby bezpiecznie mogła iść do was i byłoby jój weselój jak siedzieć ze starą; więc ją téż namawiam i chętnie dla jój własnego szczęścia wam ją odstępuję. Wreszcie ja już nawykła do méj chałupki; pozasiewałam sobie w ogrodzie i mamy nawspół z Zośką dwa prosiaki, gdzież tam więc kogo tą chudobą obciążać!?

— Nie, moja matko! (rzecze Zośka) już się nie rozłączajmy do woli Boskiej, chyba jak tam kiedyś Józek powróci.

— Kiedy nie chcecie (rzecze Wojciech), to wam się sprzeciwić nie będę, choć mi téż marokotno, bo ja za moje serce dla Zośki spodziewałam się, że mię na starość nie opuści. — Trafiły się Józkowi dziewczuchy z wianem i z gruntem, a ja i tak wolałam ją za synową jak inną i Józek mi téż zawsze mówił, „że Zośka będzie o was dbać tatuniu,“ a ona tu pięknie dba, kiedy przy mnie siedzieć nie chce, chociaż jój oddaję całe gospodarstwo.

Zośka płakała, ale się już nie tłomaczyła. Domyślamy się, iż dla tego upornie chciała pozostać w domu Agnieszki, że ją pierwsza po śmierci matki przyjęła i do niéj się bardzo przy-

więzała; a powtóre, iż znowu się bała obmowy ludzkiej, któraby jej pewno zarzucała, że ją łakomstwo do opuszczenia Agnieszki i opanowania domu Wojciechowego popchnęło. — Może uwagi jej były słuszne, bo wiemy, że tak między panami jak i między chłopami większość ludzi jest skora do miotania potwarzy i wyszukuje zaraz najgorszą stronę, a nią bliźniego obciąża. Ludzie źli chcą własne postęпки usprawiedliwić obryzgując innych błotem i starając się, aby inni byli tak czarni, jak oni są sami. Wojciech przeto nic więcej nie należał i zostawił to czasowi.

Kiedy na wozie Wojciecha taka się toczyła rozmowa, sołtys jadący na furze z radnymi, co innego prawil:

— Przecież się szlachcicowi ani księdzu nie udało (rzecze sołtys) wybawić Józka! Tak się już prosili, powiadam wam, owego majora i komisarza, i tak pięknie ręce składali, a jednak nic nie potrafili. Jakem tylko przełożył całą sprawę, że Wojciech jest bogaty i że sobie da radę, tak zaraz się uparli wziąć go, i od razu też wzięli. — Dawniej, toby może było co pomogło, jakby była wyszła prośba z Dominii, ale co teraz, to dwór nic nie znaczy, tylko my... Tak byłem kontent, gdy Józka wzięli, i że się szlachcie nie udało; żem się tylko rozśmiał, a oni

widzieli, że z nich pokpięwam i pan się na mnie brzydko spojrział i wyszedł tak rozgniewany, że aż mu się oczy iskrzyły.

— Co panu do gromady (rzecze radny), niech patrzy swojego dworu i nie wraża się w nasze interesa. — My tu lada kiedy z nim zaczniemy sprawę o pastwisko i o las.

— O jakim pastwisku mówicie? (zapyta drugi radny).

— A o to dworskie, co jest przy strudze (odpowie pierwszy).

— A kiedy to jego własne z pradziada (rzecze drugi radny).

— Ej głupiecie (odpowie pierwszy radny), nic nie będzie teraz pańskiego, bo to wszystko musi być inaczej. Pastwiska i lasy muszą należeć do gromady, bo wieś potrzebuje paszy i opału. — Tylkoby się trzeba wziąć do tego churmą, a nie po jednemu.

— Chybaby mu się zapłaciło (rzecze drugi) tak jak i pańszczyznę, boby rząd inaczej nigdy nie pozwoił i musi rząd każdemu co czyje, pozostawić, boby inaczej nie było żadnego prawa na świecie.

— Głupiecie wy (rzecze pierwszy), myślicie, że to tak jak dawniej, a tu się przecież co rok na świecie odmienia.

— Nie bajcie próżnych bajek (rzecze sołtys), bo przecież sprawiedliwość musi być zawsze, i co

pańskie, to niech sobie trzyma, a do gromady niech się nie wtyka, bo my podlegamy urzędowi a nie dworowi. — Nie chciał Józek mojej córki, choć go ojciec namawiał, to niech teraz cierpi, bo jest taka przypowieść: „Kto nie słucha ojca, matki, niech słucha psiej skóry.“

— I to prawda (rzeknie pierwszy radny), — aby się chłoposko w takiej dziadówce zakochało i chciało się żenić bez gruntu i wiana. — Ojciec jego bo nie chciał, ale on się uparł, a ksiądz mu dotuszał; i wydał się teraz nie za dziewczkę tylko za śmierć, bo on tam pewno z tej wojny nie powróci. — Tak rozmawiając, dojeżdżali do wsi, a ci parobcy, którzy wracali uwolnieni od woj-ska, pijani, pokrzykiwali i śpiewali, kiedy na drodze sołtys dostrzegł swoją żonę zanoszącą się od płaczu i biegnącą na jego spotkanie.

XXI.

Oko za oko, córka za syna.

Przypomną sobie czytelnicy, iż Piotr, ów zły sąsiad Reginy, utracił na konieczynie dwie krowy i jedną jałowkę. Otóż za odebrane od rzeźnika pieniądze z dokładkiem, kupił był na jarmarku w Pobiedrze krowę czarną z łysiną. Piękna to była i duża krowa, ale ostrzegano, iż bodzie, czyli jak to mówią, że jest *bodliwa*. Mleka dawała dwa skopce, ale gdy się ją wyganiało na paszę, trzeba jej było przednie nogi pętać i na rogach nadzwyczaj kończystych zawieszać deszczótkę, która jej oczy zasłaniała. Wszyscy pastérze, a nawet wszyscy włościanie tak się tej krowy bali, iż ją zdaleka obchodzili, a prosili sołtysa, iżby przykazał Piotrowi sprzedać ją i życia ludzkiego nie narażać. Ale że sołtys był z Piotrem w kómoterstwie i często się na miodzie razem spijali, przeto nie naglił, ale owszem każdego, który go o tém ostrzegał, ofuknął. Właśnie tego dnia wydarzyło się, iż gdy córka sołtysowa

niosła przedzę do tkacza i czerwoną odziana chustką z mostku na gościniec wstępowała, mały pastérz, lat zaledwo ośm mający pędził ową bodącą krowę i tak ją źle spętał, że sznurek z jednej nogi zaraz się odwiązał. Krowa czując się być wolną, zaczęła przeraźliwie ryczeć, a trąc głowę o wierzbę, od deszczulki kryjącej jój oczy również się uwolniła. Wtenczas dopiero zaczęła wyskakiwać, a później łeb ku dołowi pochyliwszy, biegnąc ku córce sołtysowej, która zamiast skoczyć pod mostek, chustką czerwoną powiewała. Wtenczas też krowa w największym rozpędzie uderza ją rogiem pod serce, żebro jój łamie, o ziemię obala a jeszcze na ziemi przednią nogą depcze, szarpie, dachu chrapliwie i rogami chce dobić swojej ofiary, kiedy na krzyk pastérza zbiegają się ludzie z drągami, siekierami, i krowę starają się odegnąć. Jakoż krowa zaciekla porzuca córkę sołtysa, ale się zwraca ku najbliżej stojącemu chłopu i na niego chce uderzyć, kiedy ten zręcznym obrotem na bok odskoczywszy, drągiem ją w sam łeb ugodził. Krowa na chwilę odurzona, stanęła w miejscu jak wryta, ale wkrótce odzyskuje przytomność i biegnie z rogami w środek tłumu! Jedni uciekają, co im sił starczy, drudzy rozbiegają się na boki, aż w końcu zręczny parobek stanąwszy na schodkach przy figurze świętego Floryjana, czeka odważnie spotkania się ze wście-

klém zwierzęciem, podniósłszy w górę siekiere. Krowa w nim jednym widzi swego przeciwnika, parsknęła obydwojma nozdrzami i skacząco ku niemu pędzi, gdy ten przed nią na dwa kroki wybiegłszy, cios jój śmiertelny zadaje i ostrą siekiere w środku łba uwięża. — Krowa nie pada jeszcze pod tym ciężkim ciosem, ale z siekiere w łbie na bok się nawraca w chwili, gdy już ostatnie zdradziły ją siły, i trąciwszy o wierzbę, na kolana pada, a potem o ziemię się wali. — Chłopi przybiegli dopełniając reszty, a wszyscy biją toporem, drągami, aż wreszcie z karczny przynieśli noża i serce przekłuli zacieklemu zwierzęciu. — Równocześnie dano znać żonie sołtysa, która z sąsiadami biegnie na miejsce spotkania, widzi córkę bez duszy krwią zbroszoną, omdlałą; krzyk biednej matki po wsi się rozlega, a wkrótce na sienniku niosą biędne dziewczę i trzeźwią wodą i octem, dopóki lékarz nie zjedzie i nie ogłosi może smutnej przepowiedni.

Sołtys rozpacza, bo właśnie na téj córce zawisły wszystkie jego nadzieje i przyszła pociecha. Wysoka, ładna, przegibista, zwracała na siebie oczy tak w kościele, na jarmarku, jak też i na każdym weselu. Przy tém dobra była dziewczyna i ojcu starała się w każdej chwili przypodobać, a nieraz surowość ojca łagodzić umiała.

Sołtysowi zaraz na myśl przyszło, iż Pan Bóg pomścił krzywdę zrobioną Wojciechowi i Józkowi, i załamując ręce, ustawnie powtarzał: „Sam na siebie tę karę Boską ściągnąłem, bo gdybym był Józka nie wydał do wojska, toby mi się to nieszczęście nie było wydarzyło. Ludzie mię na to namówili, a szczególnież Piotr, co nikomu nie da pokoju i każdego burzy, a teraz jego własna krowa mnie ukarała, i może mię jedyne dziecko pozbawi.“ Wysłano już przed godziną po doktora i ciągle wychodził ktoś na drogę patrzeć, czy nie przyjeżdża? ale jak go nie widać, tak go nie widać!... Może go w domu nie zastali, albo może chory?!

Już się noc zbliża, a lekarza niema. Chora jęczy, ale słabo, bo kolka ani mówić, ani narzekać, ani odetchnąć jęj nie pozwala. Pobiegl sołtys do dworu prosić o jakie léki, rzuca się do nóg pana dziedzica i pani dziedziczki. Zaręcza o swém przywiązaniu, o swém posłuszeństwie, narzeka na niewdzięczność gromady dla dworu, potępia wszystkich i wszystko, tylko prosi o rychły ratunek.

Zabiéra pani dziedziczka kilka flaszek z apteczki, a za nią pokojówka słoje pijawek dzwiga. Panna służąca łaszki i ręczniki niesie. Ruch w całym dworze i każdy się rozbija, szukając środków ratunku. I pan coś radzi i żonie przed-

kłada, a ze swojego biórka jakąś flaszkę niesie; a tak przygotowany orszak we wszelkie środki ratunku idzie do córki sołtysa. Stan się pogorszał i kolka zwiększała, oddech był trudny, gorączka piekąca; dla tego osądziła pani dziedziczka, iż trzydzieści pijawek pod sercem przystawić wypada. Jakoż sama nad łóżkiem choréj pochylona, dopełnia téj posługi. Pijawki ciągną, chora czuje ulgę, lepiej oddycha, ale ciągle mdłości na dziewczynę biją. Wtenczas ów kordyale stojący u pana na biórku, jakiś ocet nie siedmiu ale stu złodziei, trzeźwi dziewczuchę. — Ledwo jęj pani skronie natarła i dała powąchać, czuje się zdrowszą; chciałaby dziękować, ale bronią jęj mówić, więc tylko rękami znak daje, iż się do nóg skłania. — Po pijawkach przyszły katalazmy i jakieś nacierania i proszki chłodzące; wtém turkot wozu przybycie lekarza obwieścił. Pani dziedziczka powitawszy doktora, zdała wierną sprawę z użytych przez siebie środków, które lekarz za tak stósowne i dobre uznał, iż rzekł sołtysowi (czy na prawdę czyli téż przez grzeczność): „iż winien będzie ocalenie córki pani dziedziczce.“ — Wkrótce później pani z swemi sługami wracała do domu, zapraszając pana doktora, aby we dworze przenocował; a tymczasem żona sołtysa i inne kobiety wszystko przygotowały, co im doktor polecił.

— Wielkiej sztuki dokazała dziedziczka (rzecze jedna z sąsiadek), że pijawki przystawiła; toczy i nasza kusierka Kasprowa potrafiła!

— Przechwalał ją doktor, a nie miał z czego! (rzecze druga).

— Onaby tam była i bez pijawek wyzdrowiała (rzecze trzecia), tylko trzeba jęj było odrazu dać wódki z tłustém.

— Bo się téż niepotrzebnie soltys do dworu udawali (rzecze pierwsza), kiedyśmy tu przecieź były, i tak samo mogly zaradzić.

— Niéma się co ojcu dziwować (rzecze trzecia), bo każdy ojciec nieba-by dziecku przychylił.

Pan doktor opatrzywszy chorą, znalazł, iż żyć może, ale długiego i troskliwego wymaga leczenia. Powiadał, iż gdyby ją o jeden cal niżej była krowa zajęła, toby mogła była uszkodzić kómorę sercową. Tu tylko najwięcej pierś ucierpiata i jedno żebro, które w tak młodym wieku choréj łatwo zrosnąć się może. — Nakazał zachowanie się w największej spokojności, oddalenie wszelkiej obcej pomocy, i dla tego wymagał, aby kumoski z domu wyproszone i nikogo z odwiedzinami nie przyjmowano. — Ten ostatni rozkaz równie był nieprzyjemnym dla pani soltysowéj jak i dla jęj przyjaciółek, ale był stanowczym; i pan doktor rzekł, że od jego spełnienia życie córki zależy. — Soltys, który

dla nikogo, a tém mniej dla starych bab nie umiał być czułym, wziął na siebie dokonanie tego rozkazu i ściśle go téż dopełnił. — Chodziło również doktorowi o to, aby odsunąć wszelką radę babską, która się zwykle w jednym zawiera kordyjale: w *wódce* w rozmaity sposób przyprawianéj. — Za dwa dni rozkazał doktor przyjechać po siebie, a przyjąwszy honoraryjum, poszedł ku dworowi odprowadzony przez soltysa. W drodze pytał się go pan doktor, czy nie wie, gdzie się teraz siérotka po zmarléj Reginie obraca? Soltys pomieszany niewyraźne słowa belkotając, rzekł, że siedzi przy kómornicy; atoli w zapytaniu lekarza upatrywał zrobiony sobie jakby wyrzut, bo zwykle tak na świecie bywa, „iż na złodzieju czapka gore,“ albo: „iż uderzywszy w stół, nożyce się odzywają.“ — Dla tego uniewinniając się, rzekł panu doktorowi:

— Ja tam Wielmożny doktorze temu nie wienien, że jęj Józka wzięli. Urząd kazał, a urzędowi nikt się sprzeciwić nie może. — Uprosić i przemódz ich nie można tych panów urzędników. Com się ich naprosił, aby Józka uwolnili, że jest przecieź jedynakiem i że na niego cały grunt spada — nic nie pomogło, bo jak się uwzięli, tak go odrazu zapisali. Zapewne go ktoś zdał, iż może dla dworu jest przychylnym, i ztąd wypadło.

— Przecież to nie grzech, być przychylnym dla dworu (rzecze pan doktor), i tego urząd za złe mieć nie może; owszem, cieszy się ze zgody wszystkich stanów w kraju i radby, aby chłop z panem, a pan z chłopem stanowili jedno; więc to nie mógł być powód niełaski rządu.

— Wreszcie nie wiem (odpowie sołtys), co tam w tém było, dość że się na niego urząd wziął, i ma się jutro do Wadowic stawić, a potem do Włoch. — Najbardziej mi żal dziewczuchy, to jest Zośki, która strasznie za nim lamentuje.

— Słyszałem (rzecze doktor) od księdza proboszcza, że jój tu jakiś sąsiad najbardziej dokucza?

— A wiem (odpowie sołtys), to ten Piotr złodziej, którego krowa córkę mi przebodła — ale ja mu tego nigdy nie daruję i na pierwszą stawkę znowu syna jego powiodę, bo stać go na to, tęgi chłop i może cesarzowi służyć.

Gdy tak rozmawiali idąc groblą ku dworowi, spotkali się z służącym niosącym latarnią, który naprzeciwko pana doktora wyszedł — przeto pożegnawszy się z panem doktorem, wracał sołtys do domu i mrucał pod nosem: „ktoby tam wierzył choć i doktorowi, trzeba tak z nim mówić, żeby nie wiedział, co człowiek myśli, bo co szlachcic to zdrajca. Od Reginy i Wojciecha nie chciał żadnej zapłaty, a jak ja mu pieniądze

w łapę wraził, to zaraz do kieszeni schował.“ Sołtys wróciwszy do domu, znalazł i te same i inne jeszcze kumoski radzące nad środkami wyléczenia jego córki, ale podnosząc głos doniosły, wyprawił je wszystkie do domu i żonę zgromił, że je wpuściła. — Doktor jeździł przez dwa tygodnie, sołtysowi niejednego reńskiego z kieszeni wypłoszył, lecz córkę zupełnie wyléczył; a przy ostatnich odwiedzinach rzekł mu:

— Dziękujcie Panu Bogu sołtysie, że wam Bóg dał dopiero przestrożę, a nie spuścił na was sroźszój jeszcze kary.

Sołtys wyrazy te zrozumiał, chciał się tłumaczyć; lecz pan doktor nie słuchał, mówiąc: „iż to do niego nie należy;“ wskoczył na furkę i wracał do domu.

Papiér ze sądu.

Zośka u Agnieszki mieszkała odwiedzając często Wojciecha, który był jej rad jak córce i koniecznie ją zmusił do przyjęcia dwóch sznurków korali po siostrze Józka, oraz sukmany granatowej czerwonym suknem podbijanęj i fałdzistej, a niemniej spódnic i fartuchów, które bez rachunku wyjął ze skrzyni i związawszy w tobołek oddał jej w rękę. Zośka nie śmiała odmawiać, więc przyjęła wdzięcznie uchwyciwszy przyszłego pana ojca za nogi. Wreszcie postanowiwszy pracować u Wojciecha całe żniwo, zdawało jej się, że w części ten dar odsłuży. — Powróciwszy od Wojciecha do Agnieszki znajduje papiér, który soltys z powiatu przyniósł dodając ustnie, iż jest wezwanie od sądu, aby się Zośka stawiła. Prerażona tym rozkazem władzy, pobięła czém prędzej do księdza proboszcza, aby jej to pismo przeczytał, i objaśnił ją o powodach, dla którychby w sądzie stawac miała. Agnieszka prze-

straszona o swoją przybraną córkę idzie z nią, a obiedwie przez drogę gubią się w domysłach, co by sąd mógł od niej żądać i na kiedy ma rozkaz stawienia się przed władzą? Idąc na plebaniją, znowu jakby szatana spotykają Piotra, który się do nich odzywa: „Spieszcie się dzia-dówki, bo tam już ksiądz dla was nagotował jałmużnę.“ Pochwaliwszy Pana Boga, nie obejrzały się na Piotra, lecz szły dalej, gdy Piotr za niemi wrzeszczy: „Szkoda że nie was pobo-dła moja krowa, ale soltysową córkę.“ Agnieszka już miała odpowiedź w pogotowiu, gdy Zośka ją wstrzymała mówiąc: „Nie trzeba z nim zaczynać, bo gotów jeszcze mścić się na nas, a może i na księdzu proboszczu za to, że się nami opiekuje!“ Przyszedszy na plebaniją pokazały papiér prosząc o wytłumaczenie im tego rozkazu. Ksiądz proboszcz odczytał kilka razy, ręce wznosił do góry, twarz się jego radością rozjaśniła, ale razem i szczególne zadziwienie wyrażała, a w końcu zapytał się Zośki, czy nie pamięta, iżby miała ciotkę i czyli jej kiedy matka o niej nie mówiła.

— Miałam ciotkę (rzecze Zośka), rodzoną siostrę mojej matysi, ale ta za młodu poszła w służbę do Krakowa do państwa R... Ci potem wyjechali do Brodów, gdzieś tam daleko za Lwowem, i pisała kilka listów do mojej matysi dono-

sząc, że jój się bardzo dobrze powodzi, i że państwo R... dużo jój świadczą. Potém już o niój nie było słyhać, dopiéro gdy mi matusia pierwszy raz zachorowali, śnić im się poczęło, że widzą swoją siostrę w długich sukniach, która na nich kiwała i pokazywała jój papier. Matusia pytali się, czy ja ją widzę, ale ja jój wcale nie widziałam, i zdawało mi się, że matusia mają gorączkę i że tylko tak marzą. Późniój przez sen mówili matusia: „że pójdą, gdy się słońce ku zimie obróci, alem ja nie wiedziała, do czego to mówią. Więc tyle tylko proszę Jegomości, wiem o mojej ciotce!

Ksiądz proboszcz raz jeszcze pismo z sądu odczytał mówiąc sam do siebie: „To rzecz szczerólna!“ A potém uśmiechając się rzekł do Zośki:

— Moja Zośko! cóżbyś na to powiedziała, gdybym ci oznajmił, że na ciebie spadnie majątek przeszło 6,000 złotych polskich?

— Ej, proszę Jegomości! niczym na to nie powiedziała, bo mi tyle pieniędzy nie potrzeba. Cobym ja z takim majątkiem robiła? Za życia matusi, toby się nieraz było kilka złotych przydało, bo się tak trafiało, iż nie miałyśmy przyduszy ani jednego grosza, że nawet nie było za co mąki na zacierkę kupić; ale co dzisiaj — dziękować Bogu, to z tém, co ma Agnieszka i co ja zarobię, zawsze nam wystarczy na ka-

walek chleba. A czy to o ciotce piszą w tém piśmie, proszę Jegomości?

— Ciotka twoja umarła (rzecze ksiądz proboszcz), w owój prawie chwili, jak się zdaje, kiedy się twojej chorój matce pokazała. Ów papier to był jój testament, czyli ostatnia wola, przez którą uzbieraną summę tysiąca sześć set reńskich siostrze swojej a nieboszce matce twój zapisuje. — Ty jako jedyna jój córka tę summę dziedziczysz i sąd cię wzywa o złożenie potrzebnych dowodów dla odebrania téj summy.

— O mój Boże święty! (zawoła Agnieszka) co za opatrność Pana Boga. — Ale cóż ona z temi pieniędzmi będzie robić, ta nieszczęśliwa dziewucha?! No, spodziewał się tu kto takiój rzeczy?!

Zośka zamiast być tak niespodziewanym przybytkiem majątku ucieszoną, z płaczem rzekła:

— Cóż mi z tego przyjdzie, kiedy mi matusia i ciotka umarli! Gdyby za życia matusi, toby przynajmniej mieli jakie wygody i na starość spokojny kawałek chleba; ale ubiędowali się przez całe życie i umarli jak nędzarka, a tu teraz majątek spada, bez którego bym się obeszła, bo przedzój przecie sobie dam radę.

Ksiądz proboszcz z pewną pociechą słytał z ust Zośki te piękne uczucia i pogardę dla mamony; jednak przedstawił jój, iż to jest darem

opatrności boskiej, za który wdzięczną być potrzeba. — Mówił nadto, iż te pieniądze za powrotem Józka mogą podnieść wspólne gospodarstwo; że wreszcie Bóg jój nastęrcza sposobność czynienia dobrze uboższym, i w końcu, że jest to może nagrodą jój uczciwego życia i posłuszeństwa przykazaniom bożym. Dla tego oświadczył jój, iż dowody dla sądu potrzebne wyszuka i pozbiera, a teraz jój winszuje, iż odrazu ze stanu dotkliwego ubóstwa będzie mogła używać swobodnego życia. — Radził jój również, aby za to ojcowizną dawną, to jest młyn, starała się od kowala odkupić a tém samém powrócić na ziemię uprawianą zwojem swych rodziców. — Agniészka słuchała tego wszystkiego z otwartą gębą, wytrzeszczonemi oczami, a rzeknie do Zosi:

— Już mnie teraz zapewne moja córko odstąpisz? Wyszłaś na panią, będziesz młynarką, to znowu stara Agniészka zostanie sama w chałupce.

— Oj nie opuszczę was — nie! (odpowie Zosia) i jakem z wami była, tak i zostanę; a kiedy Pan Bóg mnie opatrzył, to tym bardziej będę o was pamiętała i nie pozwolę wam się pracą tak térać, jak się téracie.

Ksiądz proboszcz z rozrzewnieniem patrzył się na obiedwie niewiasty, z cicha do siebie mówiąc: „Sprawiedliwe są wyroki Opatrzności. Wiedział Pan Bóg komu dać.“ Potém zaś rzekł Zoście:

— Zostawże ten papier u mnie, a teraz idź powiedzieć Wojciechowi, że na ciebie czeka spadek tysiąca sześćset reńskich; ja się zaś postaram, aby cię te pieniądze jak najprędzej doszły.

Agniészka z Zoską poszły do Wojciecha i znalazły go w zakłopotaniu: Kręcił się stary, jak mógł, około gospodarstwa, ale mu nie szło, bo w każdej chwili i przy każdej pracy brakowało mu Józka. — Samo przyzwyczajenie taki wpływ na niego wywarło, iż się oglądał na pomoc syna, i był jako ów człowiek, któremu świeżo rękę odcięto, a jemu się zdaje, iż ją ma jeszcze i chciałby jój używać. — Gdy spojrział na Zoską, westchnął tak, jak gdyby w zwierciadle jój twarzy swojego Józka widział a może jakby jój chciał wyrzucać, iż pogardziła gościńą jego i zostawia ojca bez pomocy. — Zośka powitała go czule całując w rękę, i rzecze mu:

— Cóż się też panie ojcie tak kłopotacie? przecież dziękować Bogu wszystko w polu pięknie stoi, żytko dorasta i pszenica zażółkła. Da Bóg doczekać za tydzień, przyjdę do was na żniwo.

— Ej! cóż mi tam z tego zbioru? (rzecze Wojciech) Będzie chléb, ale nie będzie go komu jeść. Ja go stary wszystkiego nie zjem i nic mię już nie cieszy. Kręcę się koło gospodarstwa, dlatego, aby mi się nie cniło, i żebym prędzej zapomniał moje sieroctwo. Chciałbym

pisać do Józka, ale nie wiem, gdzie? On mi obiecał pisać z drogi, to w tych dniach będziemy o nim mieli wiadomość. Będzie się zapewne wypytował o ciebie Zośko, to cóż mu mam powiedzieć?

— Napiszcie mu panie ojcze, że za nim zawsze popłakuję, i że do śmierci nie chcę znać innego chłopca, tylko jego; a potem mu napiszcie, że choć byłam ubogą sierotą to i tak przyniosę mu wiana 1,600 reńskich w pieniądzech.

Wojciech po tém ostatniém słowie spojrział się na Zośkę z pewniém przerażeniem, wpatrując się w nią, czwli żał po kochanku nie pomieszał jój zmysłów. Zwrócił znowu wzrok ku Agnieszce i badał w pomarszczonej jój twarzy rozwiązanie téj zagadki. Agnieszka uśmiechając się przyświadczała mowie Zosi, a Wojciech zadziwiony odezwał się:

— Cóż ty gadasz o tysiącach złotych, Zośko? Czyliż je na drodze znalazłaś, czyś téż podejrziała djabła, jak je na łące suszył?

— Wiécie panie ojcze (odpowie Zosia), że z djabłem nie trzymam; a gdybym na drodze znalazła, tobym je oddała temu, który je zgubił, bo się tak należy; ale pieniądze są moje własne po matce i jest ich 1,600 reńskich. Idźcie się pytać księdza proboszcza, to wam wszystko wytłumaczy, i już nie będziecie wątpić.

— Tak, tak (rzecze Agnieszka), ma dziewu-

cha 1,600 reńskich, i ksiądz proboszcz jedzie po nie do sądu, aby je odbierał.

— Ale jakimże prawem ona ma mieć te pieniądze? (zapyta Wojciech), kiedy matka jój nic nie miała!

— Oto takiém, mój Wojciechu (rzecze Agnieszka), że Zośka ciotkę miała bogatą, a siostrę matczyną, która gdzieś tam daleko umarła i cały majątek Zośce zapisała.

— Oj rety, rety! (rzecze Wojciech) Cóż-to są za dziwy! I cóż ona będzie robić z temi pieniędzmi?

— Ha, będzie je chować dla waszego Józka (rzecze Agnieszka), jak powróci.

— Nie wierzę ja temu (przerwie Wojciech), aby ona teraz Józka chciała. Prędzaj ona się wyda za jakiego szlachcica, a co najgorzej za syna organisty.

— To kiepsko o niej trzymacie (odpowie Agnieszka), i widać, że chociaż ma być waszą synową, to jeszcze jój nie znacie ani przenikliście jój serca. Choćby wasz syn powrócił ślepy i kulawy, toby go i tak wolała, jak każdego innego panicza.

— Nie bójcie się! (rzecze Zośka), bo ja od pieniędzy nie zhernieję, i jaką byłam taką będę, a jeszcze lepiej mogę się koło żniwa uwijać, że będzie o czém pracować, nie tak jak dawniej, co czasem się trafiało cały dzień robić o głodzie.

Chociaż Wojciech nie był człowiekiem łako-

mym i chętnie przyjąłby Zośkę bez wiana za swoją córkę, przecież go ta wieść o successyi uradowała, dla tego już samego, że w gromadzie mógł swój wybór usprawiedliwić, i że się przestaną śmiać ludzie, że on syna chciał z dziadówką ożenić. Ale z drugiej strony tém mu przykrzej było, iż Józka niema, i że téj rodzinnej pociechy nie może dzielać.

— Siadajcież Agnieszko (rzecze Wojciech), i ty też bogaczko (odezwie się do Zosi), i opowiedzcie mi wszystko, jak to było?

Zosia opowiedziała od początku do końca, a Wojciech słuchał z zajęciem i rzekł w końcu:

— Gdy Józce to wszystko napiszę, to albo nie będzie wierzył, albo się też będzie bał, że byś z takim majątkiem za innego nie poszła. Najlepiej, żebyś ty sama napisała — a poszła ci tam Florczyka, który umie doskonale pisać, i wszystko wytłómaczy, co tylko mu powiesz.

Agnieszka i Zośka pożegnały Wojciecha i wracały do domu, kiedy się już była wieść o majątku Zosi po całej wsi roztrzęsła. — Ksiądz proboszcz powiedział gospodyni, a to wystarcza, iżby w jednej chwili jakby lotem błyskawicy nowina doszła do wiadomości wszystkich. — Po drodze spotykały różnych ludzi, którzy im się uprzejmie kłaniali; a jedna gospodyni zabiegłszy im drogę, ciekawie zapytała:

— Wieleż-to tysięcy mają ci z sądu płacić, panno młynarczanko?

— Ja tam nie jestem żadna panna (rzecze Zośka), tylko jak byłam, tak jestem Zośką, córką biednej kómornicy. Bóg nam wziął, Bóg nam dał i znowu odebrać może, więc się z tego nie należy wynosić, ale dziękować za opatrzność boską.

Trochę opodał spotkały znowu na drodze syna Piotrowego, który się im pięknie pokłonił, a do Agnieszki się odezwał: „Jak się macie pani matko?”

— Nie jestem ci i nie będę panią matką! (odpowie Agnieszka). Mam prawda córkę Zośkę, dziewczkę udatną i bogatą, ale nie dla ciebie, bo „nie dla psa kielbasa, a nie dla suki mydło.”

— A o cóż się tak na mnie zagniewaliście? (zapyta syn Piotra).

— Nie gniewam się na ciebie (odpowie Agnieszka), ale ani twego ojca ani ciebie znać nie chcę.

— Ja tam za mego tatusia nie odpowiadam i sam nieraz na niego narzekam, bo są tacy nagli, jakby nie mieli pełna rozumu.

— Toś zły syn (odpowie Agnieszka), boś nie powinien ojca przed ludźmi obmawiać; ale owszem zasłaniać.

To rzekłszy, wracała Agnieszka z Zośką do domu, mówiąc jój po drodze z uśmiechem;

— Zobaczysz Zośko, ilu teraz będziesz miała przychlebników i wielu to parobków będzie ci się zalecać! — Do pieniędzy to oni ciągną jak mucha do miodu.

Zośka gorzko się uśmiechnęła, a westchnąwszy, rzekła:

— Boby się tam było i obeszło bez tych pieniędzy, które będą napróżno ludzi ńęcić a mnie i wam kłopotu przymnażać.

XXIII.

Prośba o instancyją do Zośki.

W parę dni po rozgłoszeniu wiadomości o spadłym na Zosię majątku przyszedł organista do księdza proboszcza w granatowej kapocie z laską kutą w mosiądz i posuwisto ku kolanom księdza proboszcza zmierzając, uścisnął go za nogi, w rękę pocałował, stanął, wyprostował się i odechnął, a potem następującemi odezwie się słowy:

— Przychodzę do Wielmożnego Księdza Proboszcza Dobrodzieja, jako pastérza a mojego pana, z prośbą w tym sensie: Że jako ja mam syna, któremu nic nie brakuje, aby się ożenił — przeto życzeniem jest mojem, jako i mojej żony, aby on wstąpił w śluby małżeńskie. A że zaś jest panna włościanka, młynarczanka *vulgo* Zośka, córka bywszy kómornicy, która mu się upodobawszy, przeto i zatém, najpokorniej upraszam Wielmożnego Księdza Proboszcza, aby téjto wyrażonej dziewczynie, jako pastérz a mój pan, iść za mego syna nakazał! Wiem ja, iż ta dziewczucha

rozmaite myśli w głowie swojej miawszy, o innym mężu brzdąkała. Ale gdy tenże wyrażony Józek wojskową sztukę teraz terminuje i zapewne na wojnie zabitym będzie, przeto syn mój jest gotów, ją téż na miejscu tamtego pojąć, i to sobie ślubuje. Szkodaby była, aby ta dziewczucha sumę taką na siebie objawszy, mogła (uczciwszy uszy) z chamem się jakim wiązać, przez co nawet byłaby krzywda dla tych pieniędzy i dla nieboszczki ciotki, która nie żyje. Jeżeli Ksiądz Proboszcz Dobrodziej surowo nakaże dziewce, aby się nie ważyła od nikogo przyjmować wódki, to ja podług chłopskiego zwyczaju (jak oni mają) potrafię zanieść nietylko śmierzduchy, ale flaszkę likieru z Białą, a uczynię zrękowiny i wesele sprawię.

Ksiądz proboszcz cierpliwie wysłuchał, jednakowoż z twarzy jego poznał organista, iż się do tego niechętnie przychyła. Długo przekładał mu z kapłańską miłością, iż on rozrywać wzajemnych przyrzeczeń dwojga młodych ludzi nie może; iż nakazywać nie ma prawa; że ten nakaz i przymus rodzonemu nawet ojcu nie przysługuje, a w końcu dodał ksiądz proboszcz, iż zgorszony jest tém łakomstwem grosza, a przypomniał, że organista nie chciał grać zadarmo na pogrzebie Reginy, a dzisiaj dla majątku stara się o jej córkę. Organista wcale tém nie przekonany ani nie zbity z terminu, dalej rzecz swoją ciągnie.

— Jakto! proszę Wielmożnego Księdza Proboszcza? To ja, co jestem kościelny sługa i bywszy zawsze przywiązany do Księdza Proboszcza nie mam mieć téj łaski uwzględnienia dla mojego syna, który jest jak krew moja i oko moje własne, a taki chłop, co nawet niewart tego majątku, ma wyjść na pana i chodzić sobie w cienkiem suknie, co dla niego jest dosyć jedna gonia?! Toby téż już sprawiedliwości nie było na tym świecie i na to-by nawet urząd nie pozwolił, bo jest napisane: „że chłop ma zostać w swoim stanie, a pan w swoim.“

— Gdzieżście to czytali, organisto? (zapytał ksiądz proboszcz) Ja przeciwnie czytam w prawie.

— A jest (rzecze organista), ale nie wspominał sobie, gdzie? Dość że mi niedawno o tém woźny z powiatu powiedział.

— Zle ci powiedział (rzecze ksiądz proboszcz), albowiem wszystkie stany przed prawem są równe, a tém więcej przed Panem Bogiem. I dla tego nie mogę i nie chcę się w tę sprawę mieszać, a gdyby mi się Zośka radziła, to owszem zachęczę ją do wytrwania w danéj obietnicy Józkowi.

— Więc przeto przepraszam Wielmożnego Księdza Proboszcza, bo ja i tak mojego nie odstąpię, ani się ten majątek z dziewczuchą nie komu innemu, tylko synowi mojemu przynależy. Da Bóg doczekać, w niedzielę idę do Agnieszki z likierem.

Organista odchodząc, nie pocałował już w rękę księdza proboszcza, tylko ukloniwszy się przy drzwiach, tłusty brzuch bokiem przez ciasne drzwi przesunął i odszedł. Na moście oczekiwała go żona, ciekawa decyzji, ale po sapaniu męża pojęła odrazu, że interes nie poszedł gładko. Jakóż organista spotkawszy ją, kiwnął ręką i rzekł: „że Jegomość przez Wojciecha przerobiony.“

— Ale cóż też to mówisz, mój mężu! (rzecze organiscina); gdzieżby też duchowna osoba dała się przekupić?

— Dokładnie ci mówię (odpowie organista), że wziął najmniej sto reńskich; bo na moje przekładanie byłby nawet zmiękł kamień i ptak się rozplakał, a on nie i nie, tylko powiada, że przyrzekł Wojciechowi i tak być musi.

— No, proszę moi ludzie? (rzecze organiscina), kiedy już i księża dadzą się przekupić! Tegobym się była nigdy po duchownej osobie nie spodziewała!

— Możebyś ty jako trafiła przez gospodynię a obiecała jej z dziesiątkę, iżby księdza przerobiła, toby nam się prędzej tak udało.

— Wątpię (rzecze organiscina), bo nasz ksiądz ma swój rozum i gospodyni nie słucha, tak nawet, iż mi się nieraz na niego skarżyła: „że jest jak skała i że w niczym go przekonać nie można.“

— Dwór go psuje, dwór (rzecze organista), bo bywa tam często i czytają owe książki i gazety, i z tego nabierają sobie do głowy.

— Oj, to może być, mój mężu (rzecze organiscina), bo mi już niejeden mówił, że inni księża to są przyjemniejsi, i łatwiej z nimi co poradzi; a nasz to skrypułat i długo z sobą mówić nie pozwoli.

— To nam nic nie zaszkodzi, że ksiądz przeczy (mówi organista). Wezmę sobie świadków. Agnięszkę i Zośkę spoję i muszą mi przyrzec, a jak raz przyrzekną, to o resztę fraszka, boby się ich zapozwało do sądu.

Organiscina o dużo od męża swego sumieniejsza, pojmowała, iż tak być nie może, i że przecież dziewczyny do zawarcia ślubów nikt nie przymusi. Dlatego łagodząc jego zapal, prowadziła go czémprędzej do domu, aby się tam swobodnie wysapał i zgodził się na środki więcej pojednawcze.

Równocześnie u pana we dworze był fornał Stach, który skłoniwszy się pięknie do nóg dziedzica, tak znowu prawi:

— Upraszam też Wielmożnego Pana, aby mi się pozwolił żenić, bo mnie samemu bięda, i ani mnie kto ma opruć ani obszyć. Służę już u Wielmożnego Pana kilka lat, tobym już do służył do nowego roku, a potem poszedłbym na moje gospodarstwo.

— A z kimżebyś się ty chciał żenić? (zapyta dziedzie)

— A jużć z tą Zośką (odpowie Stach), co siedzi przy Agnieszce i co na nią spadły te pieniądze.

— Ale kiedyby cię ona nie chciała (rzecze pan).

— Coby mnie zaś nie miała chcieć (odpowie Stach), kiedyśmy już z sobą mówili.

— Ale ja słyszałem, że ona zaręczoną jest Józkowi zpod górki!

— Miało to tak być (odpowie Stach), ale jego wzięli do wojska, więc mnie teraz będzie chciała.

— A czy dawno ją widziałeś? (zapyta pan).

— Jak była przy mularzach przed śmiercią matki (odpowie Stach), tośmy oboje piasek z fury rzucali, a ona się na mnie spoglądała.

— I tyle było wszystkiego? (zapyta pan).

— A tyleć (rzecze Stach), ale ja wiem, że gdyby jój Wielmożny Pan rozkazał, toby nie zawodnie za mnie poszła, bo ja wiem, że jój się udaje.

— Ja rozkazać jój nie mogę, mój Stachu, tylko się jój mogę zapytać (rzecze pan), ale bardzo wątpię, żeby ci się to udało, gdyż ona teraz bogata.

— Toć mi też to o ten majątek chodzi (odpowie Stach), żeby się ładajakiemu chłopu nie dostał w ręce, bo lepiej zawsze, iżby się dworski tём pożywił i przy tём został.

— Dobrze (rzeknie pan), jeżeli cię będzie chciała, to ja nie przeciwko temu nie mam, ale mi się zdaje, że twoje zabiegi będą próżne.

Kiedy w całej wsi wszyscy parobcy łudzili się nadzieją, iż im się uda z Zośką ożenić, i kiedy przychodziło między nimi do zazdrosnych kłótni i utarczek, nadszedł Floreczyk z kałamarzem, piórem i papierem do Agnieszki, i zasiadłszy przy stole, następny list z polecenia Zośki kręślił:

— Mój miły Józku! najprzód cię zawiadamiam, iż jestem, dziękować Bogu, zdrowa i Agnieszka też, i tatuś tożsamo, i cię też zawiadamiam, że się żyto na polu znaczy i pszenica, a co owies, to kiepski. Ale cię zawiadamiam, że choć mi się trafia wielu, to zawsze ty mi się najbardziej udajesz, i za nikogo nie pójdę, tylko za cię; gdyż jako moja ciotka umarła, co była w Brodach i pozostawiła tysiąc sześćset reńskich na matusię, a po matusi na mnie, i ksiądz proboszcz tём wszystkiém zawiaduje, a parobcy się na to łakomią i syn organisty też, i Stach ze dworu. — Ale z tego nic, bo choćby mi świat dawali, jak długi i szeroki, tobym wołała dziewczką zostać, jak za innego chłopca, tylko ciebie, chodzić. — Nie frasuj się Józku, a do wojny nie chodź, jeżeli możesz, aby cię nie zabili, ani ty nie bądź łakomym, kogo zabić, tylko siebie nie

daj! A jak będziesz pisać, to pisz do tatusia i mnie się też pokłoń, abym ja wiedziała, że o mnie pamiętasz, na co się podpisuję

Zofia Młynarczanka.

Po przeczytaniu listu przez Florczyka wszystko znaleziono dobrze, tylko Agnieszka kazała pozdrowienie od siebie domieścić i powiedzieć, że się Zośką, jak córką opiekuje.

Po trzech tygodniach ciągłych zwiad i starań, nie udało się żadnemu z kawalerów być przypuszczonym do bliższych stósunków. Agnieszka potrafiła tak zręcznie pozbyć się każdego w pół żartem, a w końcu i stanowczą odpowiedzią, iż każdy parobek odchodził jak zmyty, i tracił nadzieję pozyskania ręki zaczarowanej bogaczki. — Jeden tylko pan organista żwawo docierał i łudził się otuchą, iż upór dziewczyny zwycięży. Wtém nadeszły żniwa, każdy zajęty pracą ostygł w miłosnym zapale, a w pewne grając, ściągał dar Boży do stodoły. — Zośka też żniwem u Wojciecha zajęta, to w polu, to na zapolu pracując, nie była tak ludziom na oczach. Po żniwach atoli, znowu się w swoich zamysłach ocknął organista, i naradziwszy się z woźnym z powiatu, padli na myśl usnucia takiej intrygi, że przyszło pismo do urzędu donoszące o śmierci Józka. — Wieść, jakby na ptasich

skrzydłach, wszystkie chaty obleciała. Powtarzano sobie, że Józek zabity, iż do urzędu pismo przyszło z regimentu, a nawet opisywano; że mu głowę kula urwała, i że widziano, jak rękami chciał głowę przytrzymać — a już jej nie było! Słowem — wszystkie szczegóły wiadziano niby z urzędu i nie zachodziła najmniejsza wątpliwość o śmierci Józka. — Ta zmyślona wieść najpiérwój doszła do Wojciecha i do Agnieszki. Ojciec w rozpaczę zanosił się od płaczu, jęczał i ryczał prawie, a nieutulony tarzał się, jakby chciał sam dla siebie prędzej grób wykopać. — Agnieszka taila tę wiadomość, póki mogła przed Zośką; ale w końcu lży ją zdradziły i wykrztusiła z siebie to smutne wyznanie. Łatwo pojąć, co się z Zośką działo, i nie chcę osłabiać moim opisem obrazu okropnej boleści biednej dziewczyny! Wojciech w skutek tego nieszczęścia tak zapadł na zdrowiu, iż prawie bez życia leżał; co widząc chłopiec od koni, pobiegł do Agnieszki, prosząc ją o ratunek. Zośka, która straciwszy kochankę, nie już na świecie nie miała, prócz Agnieszki i Wojciecha, tłumi lży, nabiera mężstwa i razem z Agnieszką w pomoc biednemu ojcu spieszą. — Ledwo weszła do izby, wydarły się z piersi Wojciecha bolesne jęki, a wyciągając do niej ręce, rzekł jej: „Córko! nie odstępuj mnie i zawrzyj mi powieki, bo już ani żyć więcej

nie chce, ani też śmierci Józka przeżyć nie potrafię.“ — Zośka, jak anioł pocieszyciel, rzuciła się w objęcia starca, całuje nogi jego, ręce, pociesza i wzmacnia, a łzy biednego ojca z łzami młodej kochanki łączą się w jednym potoku.

Ktoś zawiadomił księdza proboszcza, że rozpacza w domu Wojciecha, że on umiera, a Zośka kona, i że stara Agnieszka sama tej wielkiej niedoli wystarczyć nie może.

Ksiądz proboszcz, jak go znamy, pełnym będąc uczuć miłości bliźniego, spieszy z ratunkiem i duchowną pociechą, ale nie wie, co zaszło, tylko szmer sług plebańskich w części go objaśnia, iż się wieść rozeszła, że Józek zginął na wojnie. Pyta się ksiądz proboszcz, z kąd ta wieść pochodzi? Ale mu jedni mówią, iż od organisty, drudzy że od woźnego, inni znowu, że przyszła z urzędu. Dwa pierwsze źródła zdawały mu się podejrzaną, trzeciego nie sprawdził, a więc wolno mu było wątpić o prawdzie tej wiadomości. Spieszy jednak do Wojciecha, a kosturem się podpierając, szybko na wzgórze wybiega. W istocie trafia na obraz bolesnej rozpaczki dwojga ludzi, w których już ani iskierka nadziei nie tłała, a żadna pociecha ludzka nie znajdowała przystępu. Uczuł, iż potrzeba najprzód wskrzesić nadzieję, i dlatego zaczął z góry od zaprzeczenia śmierci Józka,

i jakby z natchnienia lub ducha wieszczego rzekł: „Już to są plotki organisty.“

To słowo księdza proboszcza uroczyście powiedziane, stało się dla nieszczęśliwych jakby głosem Anioła powołującego zmarłych do zmartwychwstania! Wojciech oczy przeciera i wlepił je w księdza proboszcza. Zośka jakby promieniem światła olśniona, stanęła jak wryta, a Agnieszka zachrypłym głosem powtarza bezustannie: „Wszak wam ciągle o tém mówiłam, że to organisty sprawka!“ Płacz rozpaczliwy zamieniał się już w łżejsze łkanie. Wojciech powraca do życia, Zośka pół dowierzając a w połowie wątpiąc, leje łzy ciche, aż wreszcie ksiądz proboszcz dla ich zaspokojenia przyrzeka napisać do naczelnika powiatu i powziąć bliższe wiadomości. Najtrudniej w sercu wzbudzić iskierkę nadziei, a gdy ją życzliwe tchnienie rozdmucha, to się już potem nadzieja coraz więcej sama w sercu zarzy. Jakoż spokojność wracała do serca Zosi i Wojciecha, a na obliczu Agnieszki błysnęła nawet pociecha. Ksiądz proboszcz zaś ukoiswszy żale i podniósłszy ufność w Panu Bogu, wracał do domu uradowany, iż dwie owieczki z cierni rozpaczki rozwikłał. Nazajutrz w istocie, posłał ksiądz proboszcz do powiatu i odebrał wiadomość, iż żadne pismo zawiadamiające o śmierci Józka nie nadeszło. O tém więc solennem za-

przeczeniu doniósł ksiądz proboszcz Wojciechowi, a w krótkce téż, bo w dni kilka, wracające fury z Krakowa przywiozły list z poczty od Józka do ojca, datowany z Werony, który tak opiewał:

„Kochany tatusiu! Pan kapral są tacy dobrzy, że do was piszą, że siedzimy tu w festunku i rychtujemy się do wojny. — Ja już eksercyrunku dobrze się przyuczyłem i ani razu jeszcze nie siedziałem w hareszcie, bo starsi bardzo na mnie dobrzy, a szczególniej pan kapral, co do was piszą. Dowiadujęm się bardzo pięknie o wasze zdrowie i Zośki, a także o Agnieszkę, czy żyje, albo czy umarła?... Jeśli nie umarła, to ją mocno proszę aby Zośkę chowała i o niej miała pamięć. — A także dobrzebyście zrobili tatusiu, abyście tę kalembę starą sprzedali, co nie daje mléka a młodą krowę kupili. A także wam radzę, aby téż konie się nie stérały, bo ten młody bardzo nagły, a stary bardzo przytępy i znówu chcę wam powiedzieć, abyście sobie dziewczkę przyjęli, coby wam uwarzyła i was oparała, bo z najemnicami, to nie ma rady. Ja, Bogu dzięki, zdrów, ale się turbuję o was i o Zośkę, jak wy sobie radę dajecie bezemnie. Jeśli mi będziecie posyłać jaki culąg, żebym miał na ucześniewanie kamratów, to mi poszlijcie na ręce pana koporala *Wańko*, w Firsztenweter regiment erszter batalion. Ja jestem zdrów, dziękować Bogu.

Pozdrówcie tam wszystkich dobrych ludzi we wsi, i Wielmożnego Księdza Proboszcza, Agnieszkę i Zośkę pozdrawiam bardzo mile, aby mię miała na pamięci, a jeśli Bóg da wrócić, to jęj przywiozę pierścionek srebrny na palec z koralem i chustkę na tutejszą modę, jak tu chodzą. Pozdrawiam was bardzo pięknie a nie frasujcie się bardzo o mnie.“

Gdy list przyszedł, Wojciech nadzwyczaj ucieszony, pobiegł zaraz do Florczyka, który mu list przeczytał i wstąpił do księdza proboszcza, aby podziękować za fatygę, a razem i udzielić dobrą o Józku wiadomość. Wkrótce znówu wieść się rozbiegła, że Wojciech list odebrał, że Józek żyje, że obiecuje wkrótce powrócić, że się z Zośką będzie żenił, i że jęj przywozi srebrny pierścionek i czerwone odziéwadło!

Organista chciał intrygę o Józku usnutą w żart obrócić; jakoż tak się przed księdzem proboszczem tłómaczył, mówiąc, że tylko żartem wieść puścił, aby się przekonać, co téż na to ludzie powiedzą? Wszakże pan naczelnik powiatu wcale to za żart nie poczytał i organistę jako rozsiewającego wieści fałszywe w imieniu urzędu, za winnego kary uznał, i w areszcie na trzy dni osadził. Takiż sam los spotkał podobno i woźnego. — Po tém ostrzeżeniu ze strony władzy nie tylko się organiście nie chciało żartować, ale

i od zamysłów żenienia syna z Zośką odstąpił. Inaczej było ze Stachem, bo ten szarpiących sławę Zośki plotek się dopuszczał, mówiąc: „Że jak we dworze robiła, to w południe szła do niego do stajni, że mu przyrzekała iść za niego i t. d. Gdy się Wojciech i Agnieszka o to panu użalili, Stach w skórę dostał i zapewne lekkomyślność jego tępowsowiciej ukaraną była, iż ekonom go nie lubił za plotki, które panu donosił, i szukał tylko sposobności pomszczenia się na nim.

Tak więc pomału zalotnicy wszyscy dostali odprawę, a inni się już posuwać nie odważali.

XXIV.

Nowe układy.

Agnieszka i Zośka widziały, iż Wojciech bez opieki pozostać nie może; iż sobie rady nie da, a tęp samym, że i zdrowie utraci i gospodarstwo się jego zmarnuje. Mówiły tedy między sobą, iż potrzeba będzie może przenieść się do Wojciecha. Agnieszka bardzo żał było opuszczać lepiankę, w której tyle lat swobodnie strawiła. Położona była pod skałą, zasłonią od wiatrów, a otoczona małemi przylaskami, więc było w niej Agnieszce wybornie. Ogródek jej mały zwrócony do południowego słońca, napełnionym był warzywami, zielami i kwiatami. Około płotu wyrosły głogi, przez któreby się złodziejowi trudno przedrzeć było. — Przy domu mała wałcząca się stajenka i chléwik porządny. Oto cała majętność poczciwej Agnieszki. Mówiła więc Zośce: — Codzień u ciebie Zośko bywać będę i tylko co się w domu przenocuję. — Idź ty do Wojciecha,

jako córka i gospodyni, a mnie już zostaw na starość w mojej chałupinie.

— Nie opuszczę was i nie odstąpię (rzecze Zosia), a jeżeli ze mną do Wojciecha nie pójdziecie, to ja sama nie pójdę. — Przecież nie będziecie na jego koszcie, tylko na moim, bo ja z tych pieniędzy, co odbiorę, na wasłożyć będę; a gdyście mię po śmierci matusi jako druga matka do siebie wzięli, to mię już nie odstępujcie.

Agniészka widziała, że się już nie da inaczej zrobić, a mając przyjaciółkę ubogą, która u chłopca kómorą siedziała i dwa dni w tydzień mu odrabiała za małą kucę, pomyśliła sobie, iż jęj da w swoim domku mieszkanie, pod jedynym tylko warunkiem, aby o jęj ogródku pamiętała i domek utrzymała w porządku. Gdy się więc o wszystko umówiły, poszły do Wojciecha i Zośka mu oświadczyła, że już na jego wolę przystaje, i że tylko o to chodzi, aby Agnięszkę uprosił. — Wojciech ucieszony, nie wiedział, jakimi słowami podziękować Zosi. Uścisnął ją za szyję, a potem skłonił się do nóg Agnięszki, namawiając ją i prosząc, iżby się nad nim zlitowała i na całe życie się do niego sprowadziła. Agnięszka z początku drożyła się, mówiąc, że będzie może ciężarem, że niezadługo umrze, a więc jeszcze kłopotów w domu przysporzy. Jednak ulegając

prośbom Zosi i Wojciecha, obiecała z nimi zamieszkać, i w końcu tygodnia wprowadzić się z wszystkimi swymi gratami. — Wojciech prosił, aby wieprzków nie sprzedawała, bo on się spodziewa z kilku stajanków dużo zebrać ziemniaków, więcby mógł dziesięć razy tyle wyżyć. — Było wszystko ułożone, a obiedwie strony szczęśliwe były z swych układów. — Że zaś szczęście nigdy na tym świecie nie jest zupełne, przeto i tu jego pogodę zakłócił szczególny wypadek.

Gdy Agnięszka z Zośką u Wojciecha układ zawarły, i mówiły z pociechą, jak sobie razem i w zgodzie mieszkać będą, a z drugiej strony, jak biedna kórnica będzie rada za darmo rozpościerać się w domu Agnięszki, słycać się dała na dworze wrzawa, krzyk ludzi, i w jednej chwili głos przeraźliwy z tłumu, staje się zwiastunem pożaru, krzycząc, iż *gore!* — Wojciech wybiega, za nim spieszy Agnięszka i Zośka, a dość było stanąć na progu domu, aby rozpoznać, iż pożar niszczył ubogą chałupkę Agnięszki. Łatwo się domyślić, iż to było dziełem zemsty, której się Stach fernal dopuścił za to, iż go Agnięszka we dworze oskarżyła, i że srogo ukaranym został. Pastuszki, którzy niedaleko w przylasku bydło pasli, widzieli nawet, jak szedł, jak podpałał, a później jak chyłkiem między zbożem uciekał. —

Agniészka ręce do góry wzniosła, rozplakała się rzewnie, a wkrótce razem z Wojciechem, chłopakiem od koni i Zośką, na miejsce pożaru pobiegła. — Gdy doszli do miejsca, już spotkali ludzi wracających, którzy smutną im zwiastowali wiadomość, że się cały domek spalił, a tylko stajenka i chléw pozostały. — Prosiaki wypuszczono do ogrodu i te ocalały. — Skrzynki także wyniesiono, ale z reszty pozostała tylko pierzyna. Agniészka lamentowała, a Wojciech ją pocieszał, mówiąc, iż domu nie potrzebuje, bo całe życie będzie przy Zośce mieszkać.

— Kocham ja Zośkę, jak rodzoną córkę (rzecze Agniészka), alem ja nigdy u nikogo komórę nie siedziała, i choćbym mieszkała z wami całe życie, toby mnie to pocieszało, że chociaż lichy, ale mam swój własny domek. Wreszcie byłoby mi przyjemnie, abym uboższój ode mnie mogła dać przytułek.

— Jeżeli o to wam chodzi (rzecze Zośka), to ja dam waszój przyjaciółce moją budę po nieboszce matce podarunkiem, a jak mi Bóg da pieniądze odebrać, to wam na tém samém miejscu, gdzie się spaliła, każę postawić nowiatki domek, abyście sobie Agniészko zdaleka na niego patrzyli, że jest wasz własny.

Wojciech to pochwalił i zatwierdził, dodając, iż sam tego dopilnuje, a swoją słomą dach

poszyje, byle się Agniészka nie turbowała, a była Zośce matką i uczyła ją gospodarstwa. — Agniészka nie chciała zezwolić na odbudowanie tego domku, mówiąc, iż jest niepotrzebnie na to koształożyć i że jako stara, obejdzie się bez tego, ale wreszcie przyjęła tę ofiarę, dodając, że i tak po jej śmierci, nie komu innemu tylko Zośce ten domek się dostanie.

Gdy doszli na samo miejsce, przerażający uderzył ich widok. — Cały domek zgorzał aż do przyciesi. — Wszystko co było w komórze, spaliło się. — Ani jednego sprzętu ogień nie oszczędził. — Łóżko, pościel, beczki z ziarnem z dymem poszły. Stały tylko w ogródku dwie skrzynki, a na nich leżały reszty wyratowanych szat. — Prosiaki ryły w ogródku i psuły ziela i kwiaty. — Kawalki porozrywanych ścian się dotlewały, a tylko w środku jedna sterczała nalepa okopcona, a na niej leżało kilka skorup z potłuczonych garnków. — Agniészka siadła na skrzynce i rzewnie plakała, patrząc na szczątki domku, w którym tyle lat w pokoju i szczęściu przeżyła. Wreszcie Wojciech uprosił parobczaków, aby do niego skrzynki odnieśli, a Zośka przed sobą wieprzki pędziła. — Za niemi zaś z wolna postępowała Agniészka, płacząc i narzekając, iż w starości takie się jej nieszczęście wydarzyło.

Już tedy Agnieszka i Zośka nocowały na nowej siedzibie. Zośka zajęła się zaraz przygotowaniem dla wszystkich wieczerzy; a gdy weszła do komórki, przekonała się, iż z głodu nie umrą. Przy ścianie wisiały trzy półce słoniny i półtora sadła. — W faskach było pełno mąki, kaszy i krup jaglanych. W dwóch garnkach było nasolone masło, a w okienku i pod strzechą suszyło się z półkopy sérków. — Wykrętków także wędzonych i schabów do barszczu było sporo a w kącie stała pełna jeszcze beczka kapusty, która do nowej wystarczy. — W dołku czyli w piwniczce pod domem także były zapasy; i aż miło (pomyślała sobie) być gospodynią w domu, gdzie wszystkiego jest obfitość. — Ugotowała więc zacierkę na mléku i naskrobala młodych ziemniaków, które słoniną omaściła, a Wojciech jadł już wieczerzą przygotowaną przez swoją przyszlą synową. — Wszystko mu smakowało, namawiał do jada Agnieszkę, ale ta, będąc strapioną, jeść nie chciała, tylko czeladź zmiotła resztę, tak, że pies *Burek* mało co z miski oblizał. — Pamiętała więc i o Burku, a zaparzywszy mu osępki, okrasila mlékiem i wyniosła mu do sieni. — Zaraz jakoś znać było w domu, iż jest gosposia, i że będzie lepszy rząd i dla czeladzi wygoda. — Wojciech na tę noc wyniósł się spać do stodoły, a Agnieszka i Zośka spały

jak mogły w izbie. Nazajutrz równo ze świtem, poszły obiedwie z Agnieszką krowy wydoić, trzodę i drób opatrzyć, nawóz wyrzucić i dom oczyścić, a chłopakowi kazały podwórko miotłą zamieść i drewka na jedną kupę poskładać. Potém zabrały się do gotowania śniadania, a gdy Wojciech ze stodoły wyszedł, to już wszystko zastał w porządku i przygotowane. — Ze łzami przypomniał sobie, iż tak samo bywało za nieboszeczki jego żony i za życia córki. — Powitał Agnieszkę i Zośkę, przeżegnał się przed śniadaniem i zasiadł do jada. — Wyborny barszcz na kawalku spérki trafił do smaku Wojciechowi, bo pojadł i aż się stary zarumienił, tak go barszcz gorący zagrzał i nasycił. — Później Agnieszka pozostała w domu i zaczęła myć naczynia, oraz d'a trzody przygotowywać strawę oblaną pomyjkami a posypaną ospą, kiedy Zośka wzięwszy sierp na ramie, poszła z najętymi robotnikami żać przodem. Wojciech się radował i obecnością Zośki pocieszał się po synie i jakaś otucha napępiała jego serce, iż to wszystko może wyjdzie na dobre, i że w końcu będzie na starość używał pociechy. — Obiad gotowała już Agnieszka, ale czy jako stara smak straciła, czy téż zmartwiona utratą swego majątku była roztargnioną, dość że krupy jaglane na serwatce mniej się dobrze udały, bo przywrzały do garnka, a kluski targane były

jałowe i twarde jak kamień. Jadł je Wojciech, ale z uśmiechem mówił: „Starsza gospodyni skąpsza od młodej, bo omasty żałuje.“ Obie gospodynie gotowały naprzemian, a kręciły się dzielnie około domu. — Po kilku tygodniach Wojciech odżył i powracały mu nawet chwile wesołości, a do Zośki coraz się więcej przywiązywał, i gdy mu kto mówił, iż jest szczęśliwym, że tak bogatą będzie miał synową, zwykł był odpowiadać: „Co tam o majątku gadacie! ona sama więcej warta, jak tysiące, i wolałbym ją bez wiana jak inną, choćby cały dworski grunt posiadała.“ — Do kościoła chodzili sobie zawsze we trójko, a na jarmark zawsze brał Wojciech Zośkę, bo nic bez jej rady ani sprzedać ani kupić nie chciał, ale zwykł był mawiać: „Zrób tam Zośko, jak ci się zdaje, bo to dla was a nie dla mnie.“ Zośka znowu odpowiadała: „Nie, tatusiu! wasze jest i wy rozrządzajcie, ja usłucham jak każecie!“ Agnieszce zawsze coś z jarmarku przywożono; to zapaskę, to spodnicę, to sukna na przyjaciółkę, to znowu bóty nowe i płótna na koszule; dość że Agnieszce na niczém nie zbywało, gdyż Wojciech o wszystkiém pamiętał. — Gdy się zaś wieprzek i świnka podpasły, sprzedano oboje za 64 reńskie. — Agnieszka sobie swoje 32 reńskie na po grzéb schowała, a Zośka postanowiła ze swoich figurę wystawić; i jakoż Pana Jezusa Miłosiernego

w Czernichowie u chłopca snycerza zamówiła i dębaczaka na słup pod niego zakupiła. Wszystko to cieszyło Wojciecha, i chciałby był każdą myśl Zośki przewidzieć, aby jej życzenia uskutecznić. Raz pyta się jej Wojciech, czego by sobie najwięcej życzyła przed powrotem Józka? „Oto (rzeknie Zośka) jednej rzeczy sobie najbardziej życzę, aby być na odpuszcie w Kalwaryi na Matkę Boską Siewną, i żeby się pomodlić do Matki Boskiej Cudownej i do Pana Jezusa *w kaplicy przy drugim upadku*, aby Józka na wojnie od nieszczęścia i śmierci zachował, a do domu łapio *) przyprowadził.“ — Moja córko (rzecze Wojciech), kiedy taką masz świętą intencyją, to z duszy serca pojedziemy albo pojedziemy na Kalwaryję i odpustu dostąpimy, a za Józka będziemy się modlić, aby go Pan Bóg zachował. Na to odezwie się Agnieszka: „Ja tam już stara, tobym nie nachodziła po drózkach, więc zostanę domu pilnować, a wy jedźcie z Bogiem.“ — Gotowano się więc do podróży, gdyż dzień odpustu się zbliżał.

*) wkrótce.

Odpust w Kalwaryi Zebrzydowskiéj.

Po sierpniu dżdżystym jesień za to była pogodną. Z rana chłodna rosa pokrywała ziemię i lśniła się do słońca barwami tęczy albo się iskrzyła jakby kto szkła na trawę posypał. Agnieszka już od dawna była na nogach, bo dla podróżnych na Kalwaryję przysposabiła śniadanie. Nagotowała też na drogę świeżo upieczonego chleba, jaj na twardo, wędliny po kawałku i sérek wędzony z kminem. Dała łaskę swoją za kij pielgrzymi Zośce, i obciążwszy Wojciecha i Zośkę tobołkami z żywnością, odprowadziła ich ku kościołowi, gdzie się już z kompaniją udającą się na odpust kalwaryjski złączyli. Rano była msza święta, a po niej błogosławieństwo podróżnych. Kilku parobków poniosło mniejsze chorągwie, a orszak cały prowadził Tomasz (starszy bractwa). Najprzód za przewodnikiem szli starsi gospodarze, a potem młodszy oraz

parobcy, na końcu zaś niewiasty i dziewczki. Pielgrzymi rozpoczęli pobożne pieśni, które zawsze Tomasz jako przewodnik z książki głośno odczytywał, a wszyscy za nim chórem powtarzali. Zatrzymali się najprzód przy figurze św. Floryjana, a tę na klęczkach obszedłszy do koła, poszli gościńcem do figury św. Jana, i tam się długo modlili i śpiewali; później zaś opuszczając wieś, szli lasem, gdzie się z kompaniją idącą z Kaszowa połączyli. Tę ostatnią prowadził Feliks Boruń, a naszych pielgrzymów przy spotkaniu czułą a religijną przemową powitał. Razem tak doszli aż do Czernichowa, gdzie ich pobożne braterstwo z oczekującymi z téj wsi pielgrzymami połączyło. Weszły razem kompanije do kościoła, a tam ich ksiądz proboszcz pobłogosławił i ku Wiśle odprowadził. — Czekać na przewóz, zatrzymali się i pieśni ustały, a wszystkie trzy kompanije tworząc jeden obóz, na brzegu rzeki usiadły. Wtenczas też dopiero pielgrzymi rozpoznawać się z sobą mogli, oraz pomówić i wzajemnej sobie udzielić wiadomości. Wszystkie oczy, a szczególniej dziewcząt i parobków, zwrócone były na Zosię, jako na dziewczkę znacznego majątku. Nie było jéj wcale miło stać się przedmiotem ciekawości i ogólnych rozmów. Dlatego mając głowę nakrytą chustką, oczy w dół spuściła, opierając się na swym piel-

grzymim kiju. Wojciecha powszechnie żałowano, iż mu wzięli syna do wojska, a Czernichowscy włościanie (wszyscy prawie budową galarów zajęci), którym on też często drzewa dostawiał, otaczali go szacunkiem i przyjaźnią i rozpytywali się, jakie go stósunki z Zośką łączą, że się już nią jak ojciec opiekuje? Wojciech tłumaczył, że ma być przysłą jego synową i że dzisiaj ze starą kórnornicą Agnięszką przy nim mieszka.

— Wierzycie to (rzecze jeden) obietnicy białogłowy i ufacież tyle jój słowom, abyście ją już od dziś dnia za waszą synową przyjmowali? Nasz organista zaręczał w karczmie, że Zośka sobie upodobała syna waszego organisty i za niego pójdzie, a was tylko do czasu durzy, abyście ją przez zimę wyżywili, albo dopóki pieniędzy nie odbierze. — Mówił nawet nasz organista, że wasz ksiądz proboszcz ma dla niej za te pieniądze młyn od kowala odkupić, i tam ma Zośkę z synem organisty osadzić, gdy za niego pójdzie. Nigdy, Wojciechu, nie dowierzajcie białogłowie, choćby wam nie wiedzieć jak przysięgała, bo każda białogłowa ma w sobie fałsz, którego nie lada kto przeniknie!

Wojciech, aczkolwiek tyle ufał sumieniowi Zośki, ile swemu własnemu, jednak to opowiadanie przejęło go smutkiem i wrzuciło w serce ziarno podejrzliwości „*Djabel nie spi*“ (mówił sam

do siebie), musi tam być coś w tém, kiedy ludzie aż w trzeciej wsi gadają.“ Jednak przyjacielowi swemu odrzekł:

— Wątpię, mój sąsiedzie, aby to była prawda, bo Zośka umyślnie się do mnie przeniosła, aby jój ludzie dali pokój i na próżno nie napastowali. Wreszcie pisała niedawno do mojego Józka, że iść za niego przyrzeka i powiada, że za cały świat, jak długi i szeroki, jegoby nie odstąpiła. — Wiem o tém, że się organista na wszystkie sposoby starał i roztrząsał nawet po wsi plotkę, że mój syn zginął na wojnie, ale za to w areszcie siedział i już się więcej o Zośkę nie odzywa. — Nasz ksiądz proboszcz także koniecznie stoi przy tém, aby się Zośka doczekała mego syna i szła za niego.

— A czy wy to księdzu wierzycie? (rzecze ów włościanin), każdy przecież ksiądz (woli trzymać za organistą jak za chłopem; bo obadwa razem służą kościołowi, i proboszcz mszy-by nie śpiewał, gdyby mu organista nie przygrywał.

— Nasz tam ksiądz nie jest taki (odpowie Wojciech), bo poszukać tak dobrego i litościwego dobrodzieja!

Pram z drugiej strony nadpływał, wioślarze ramionami halowali go pod górę, gdyż w tém miejscu silny prąd pędził go ku stronie przeciwniej. Wreszcie uderzyła łódź o przystawkę,

zarzucono oko łańcucha na kołek i wszystkie trzy kompanije przewożąc się razem, cały pram zapelnily tak, iż zaledwie się w wodzie nie zanurzył. Przewoźnicy chcieli na dwa transporta podzielić, ale nikt nie chciał zostać do drugiego transportu i wszyscy się naraz jak śledzie wpakowali. Przed rozmową z owym włościaninem z Czernichowa, byłby Wojciech szukał Zośki w tłumie, aby ją przy sobie postawić, teraz jednak obojętnie posunął się na przodek pramu. zamysłił się i na drugie wybrzeże rzeki spoglądał. Na samym środku wody była chwila niebezpieczeństwa, bo pram się równo z brzegami zagłębił. Najmniejsza więc przewaga ciężaru na jedną stronę groziła zatopieniem całego transportu. Ale przewoźnicy na czas to spostrzegli, ku środkowi ludzi spędzili i już na płytka wyjechano wodę, gdy nagłym w przystawkę uderzeniem kilkoro ludzi z tyłu stojących straciło równowagę i w wodę wpadło. Między tymi była i Zosia, która ze zwykłą sobie pokorą, ostatnie zajmowała miejsce i z tyłu na samym brzegu pramu stanęła. Krzyk się rozległ i zamięszanie się zrobiło między podróżnymi; każdy znajomy swojego ratuje i rękę z pramu podaje, tylko Zosia wyratowawszy się sama, jak jaskółka czepia się krawędzi pramu, wzywając bliźnich pomocy! Podano jej rękę i na pram wywleczono. Nie doznała wprawdzie za-

dnego szwanku, ale się cała zamoczyła. Wojciech który w innym razie byłby jej dawał dowody współczucia i przeraził się tym wypadkiem, rzekł do niej zimno: „Bo czegoż się mnie nie trzymasz Zośko, tylko po stronie zabawiasz się próżnemi mowami!“ Zośka zupełnie tego usposobienia w Wojciechu nie znała; na te wymówki nie zasłużyła, i spojrzawszy litościwie na Wojciecha, szukała powodów jego gniewu, gdy ten jej rzekł: „Gdyby był syn organistów, toby cię był ratował.“ Jeszcze mniej ten wyrzut pojmowała Zośka i rzeknie ze łzami: „Cóż wam się dzieje tatusiu? przecież mi nic do syna organisty.“ Wojciech z ukosa na nią spojrzął, i nic więcej nie powiedział, ale wyszedłszy na brzeg z pramu, stanął na właściwem sobie miejscu przy Tomaszu (starszym bracie) i na Zośkę się nie obejrzał. Kompanije ruszyły, a Zośka wysięczywszy z wody (o ile się dało) odzież, szła smutna za wszystkimi nie mogąc sobie wytłómaczyć nagłej zmiany w usposobieniu Wojciecha. Szukała w myśli powodów, robiła wewnętrzny rachunek sumienia, ale ten jej nic nie odkrył, i powody gniewu Wojciecha zostały dla niej smutną ale nieodgadnioną tajemnicą. Spiewy się rozpoczęły, lecz Zośka nie śpiewała, bo pieśń przerywana łkaniem, byłaby usposobienie jej duszy zdradziła; nie chciała zaś przed nikim obja-

wiać przyczyn smutku. Jakże jęj wtenczas brakowało Agnieszki! W takich-to chwilach przyjaciel jest nieocenionym skarbem, bo nie tylko połowę ciężaru bierze na swe barki, ale wspomaga radą, udziela pociechy i współczuciem zagoi nieraz najcięższą bliznę sercu zadaną.

Towarzyszki Zosi uważały, że jest smutną, i że dygocze od zimna, ale przypisywały to przestrachowi i radziły, aby się napiła wódki. Jakoż jedna z dziewcząt podbiegła naprzód, i z kobiałki swego ojca wyjąwszy flaszkę, ofiarowała Zoście tej zagrzewki, której ona stanowczo odmówiła, dziękując młodej dziewczusze za jęj dobre serce.

Już kompanije uszły milę, gdy na cmentarzu kościoła w Lenczach, około którego przechodziły, wstrzymały się dla odpoczynku. Wszyscy znajomi zebrali się w kółka i posiadali na trawniku, wyjmując z tobołków pożywienie i napitek. — Cicha pogwarka się toczyła, a kółka te łączyła przyjaźń, która zwykle przez wspólną podróż staje się ściślejszą. Zośka tylko odrębnie i sama usiadła sobie na staręj mogile i z głową pochyloną smutnie dumiała. Dziewuchy zgorzone jęj odrębnością, posądzały ją, że jest dumną i że się z niemi zadawać nie chce; Wojciech zaś dostrzegłszy ją, rzekł kwaśno: „Cóżes tak oso-

wiała, jak sowa? Zadaśałaś się i kipisz! Mogła-byś przecie usiąść między dziewczuchami.“

— Dziękuję wam tatusiu (rzecze Zośka). Od czasu jak matusia mi umarła, to mi Pan Bóg przeznaczył być samęj na świecie, zwyczajnie jak sierocie. Dziewuchy są wesołe, rade się pośmiać i pogwarzyć, a mnie się tego nie chce.

— Bo może tęsknisz za synem organisty, że nie poszedł z kompaniją? (rzecze Wojciech).

— Nie wiem, co gadacie, tatusiu (rzecze Zośka), i jaka was ogarnęła pokusa? Czy wam się co przysniło, czy kto złém okiem na was spojrział, że mi o tym synu organisty ciągle dziś mówicie, którego ja nie znam ani znać chcę.

— Nie cierpisz go Zośko! (rzecze Wojciech) a przecież od kowala młyn kupujecie i ma być wkrótce wasze wesele. Przecież ludzie dobrze o tém wiedzą.

— Przeżegnajciez się téż tatusiu krzyżem św. (odpowie. Zośka), kiedy idziecie na to święte miejsce, aby was naprózno lichu nie mamilo, bo nie co innego wam się stało, tylko was ozarny kusi! Czyliż ze mnie nie macie dosyć przekonania? Czy ja gdzie z domu wyjdę, albo się z kim schodzę? Czyście mnie widzieli mówiącą z jakim parobkiem a tém bardziej z tym sowiżrzałem, synem organisty, o którego mię nagabujecie. Kiedy mię tak posądzacie tatusiu,

to mi tém bardziej żal, że się Agnieszki chałupa spaliła, bobyśmy się od was wyniosły, a tam się doczekały powrotu Józka; ale i tak sobie może poradzimy, bo w kucy po mojej matce siedzieć możemy i nie będziemy wam zawadzać w waszym domu.

Te słowa Zośki z wyrazem obrażonej niewinności powiedziane, były tak stanowcze, iż o skutecznieniu zamiarów Zośki nie mógł Wojciech powątpiewać. przeto go też mocno przerażyły i dużo łagodniejszym tonem rzecze:

— Tój krzywdybyś mi Zośko wyrządzić nie chciała, abyś mię miała opuszczać, skoro o Józku stale myślisz a nie o kim innym. Dziwić się nie możesz, że mi markotno, gdy mnie słuchy od ludzi dochodzą, że mię tylko uwodzisz a synowi organisty ślubować przyobiecałaś. Ja temu wierzyć nie chciałem, ale ludzie mnie ostrzegali, aby nigdy żadnej kobiecie nie wierzyć, a tém bardziej dziewczę, która najprędzej djabełskim pokusom i namowie złych ludzi ulegnie.

— Na djabła (rzeknie Zośka) mam krzyż święty i wodę święconą, a plotek ludzkich nie słucham, i dziwno mi, że wy taki gospodarz stateczny i człowiek wiekowy, plotkom się uwodzić dacie. Na świętym miejscu powtórzę wam przyrzeczenia, że innego chłopca prócz Józka nie chcę — więc czegoż więcej po mnie żądacie?

— Kiedy tak, to cię przepraszam córko (rzecze Wojciech), i już cię więcej posadzać nie będę, a ty mi też wybac, że ci taką przykrość sprawiłem.

— Wybaczam chętnie (rzecze Zośka), ale przypomnijcie sobie tatusiu przed świętą spowiedzią, żeście mnie niewinnie posadzili; a potem gdy tonęła, toście mi nawet ręki podać nie chcieli, chociaż patrzyliście na to, jakem się w rzecę taplała i miłosiernie na was spoglądała. Przypomnijcie sobie, żeście mi się nawet wysuszyć nie dali, tylkoście pędzili Tomasza z kompaniją tak, że cała przeziębła i zaledwie tu dolazłam. Józek w tym liście, co do was pisał, polecił mnie waszjej opiece i ja poszła z wami na święte miejsce jak córka, a wy mnie sierotę od siebie odganiacie.

Słuszne, ale nader dotkliwe wyrzuty Zosi wskrósł przebodły serce Wojciecha. Widział, że zgrzeszył, ale też srogą odebrał karę. Przyzwyczajony do pokory i uległości Zośki, zdawało mu się, iż może władzy swojej nad nią bez miary używać. — Tę granicę, (której względem cnotliwej niewiasty przestępować nie wolno), zakreśliła Zosia bolesnym dla Wojciecha wyrzutem. Poznał on, że się tój dziewczynie nietylko przyjaźń, ale też zupełne zaufanie i szacunek należą. — Upokorzony więc stał przed nią, nie

umiejąc przemówić ani słowa, a gdy Zośka w odpowiedzi swojej nic nie rozstrzygnęła, co do zamierzonego wyniesienia się z jego domu, przeto strwożony zapytał ję nieśmiało: „Ale mię też Zośko nie opuścisz i nie wyniesiesz się z mego domu?”

— Nie wiem (rzecze Zośka), i dopiero wam odpowiem, gdy się naradzę z Agnieszką, gdyż ona pierwiej zastąpiła mi matkę, jak wy ojca.

Czuł dobrze Wojciech, jakiego sobie narobił licha i pomyślił też, „że zaledwie się człowiek wychyli z domu, a zaraz trafia na pokusy, które mu obcowanie z ludźmi nieznanymi narzuca.” — Prosił Zośki Wojciech, aby zdjęła z barków zajdy i pojadła; ale Zośka powiedziała mu, że jeść nie będzie, ani pić, bo się najadła dosyć posądzenia a napiła się wody w rzęce tonąc.

Możeby kto powiedział, że Zośka zbyt pokazała się zuchwałą, i że ojcu zbyt dogadywała. I mybyśmy byli tego zdania, ale znając słaby charakter Wojciecha, czujemy, iż ta nauka koniecznie mu była potrzebną, i że dla utrwalenia przyszłych stósunków i nierozzerwanej zgody, małe to poróżnienie bardzo się przydało.

Dano znak do wstawania i dalszej podróży. Przewodnicy kompanij otworzyli książki a intonując pieśń do Matki Boskiej szli przodem otoczeni starszyzną. Lekki wietrzyk, który nader

potrzebnie skwar słoneczny chłodził, powiewał czerwonymi chorągwiemi trzech połączonych parafij.

Słońce miało się ku zachodowi, kiedy kompanije stanęły na Kalwaryjskiem wzgórzu. Już było po niesporach a mnóstwo ludzi ze Szlaska, z gór i od Tarnowa przybyłych, obległo trawniki, lub się też snuło wzdłuż drogi, do miasteczka zwanego Kalwaryja prowadzącęj. Niektórzy nocowali w Brodach, gdzie dom na piętro oświetlony kazał się domniemywać napływu znacznej liczby gości, (do zacnych państwa Brandysów).

Słońce zaszło, a gwiaździste niebo żadną chmurką niezaćmione, pozwoliło wróżyć nazajutrz najpiękniejszą pogodę. Wojciech zapytał się Zośki, czy chce przenocować w karczmie, lub na polu? Ale ona już była sobie zamówiła towarzyszkę, (ową Jagusię z Czernichowa, która ją wódką uczęstować chciała), i obiedwie upatrzyły sobie miejsce pod drzewem, gdzie mech miał im służyć za pościel a kamień za poduszkę. Wojciech w pobliżu z innymi ze wsi gospodarzami, także obóz rozłożyli i po pacierzu zapytawszy Zośki, czy ję nie zimno i czyliby ją sukmaną swoją odziać nie mógł, powrócił do swojego obozu, mówiąc: „Boję się, aby mi córka nie przemarzła, bo nocy są chłodne a rosa zimna!” Nazajutrz, rano był prześliczny. Słońce przedzierając się

przez gałęzie wyniosłych świerków, oświecało pobożny obóz leżący pokotem, począwszy od klasztoru aż do kapliczki Matki Boskiej. Jedni już przebudzeni, klęcząco odmawiali modlitwy poranne, drudzy twardszego snu i więcej znużeni, kryli się w fałdach odzieży lub chust przed natarczywością słońca i przed much całusem, które po słodkich ustach dziewcząt ssały krople miodu. Inni wreszcie na wpół przebudzeni, przeciągali się, ziewając, i chociaż ich duch pobożności cucił do modlitwy, to nałóg lenistwa związkami snu ich pętał; lecz w końcu wszyscy razem powstawszy na nogi, nadsluchiwali dzwonka, który w kościele klasztornym miał ich powołać do chóru z aniołem zwiastującym przeczystej dziewicy, iż „*poczęła z Ducha świętego*.“ I niebawem dał się słyszeć ten dzwonek, a dźwięk jego nietylko wpłynął do uszów ale i do serca pobożnych pielgrzymów.

Już się ze wszystkich stron schodzą mieszczanie i chłopi, a przekupka towar swój rozwija i ustawia na stradze. — Otwierają się sklepy i sklepiki z pobożnymi książkami, obrazkami i medalikami. Piekarz na rozłożoną płachtę wysypuje bułki, kukielki i mosiężne placki *); piekarnik układa swój towar, to jest, gniotki w roz-

*) Placki żółtkiem od jaj malowane.

maitych kształtach; jedne w cegiełkach, w kostkach z migdałem, oraz w płaskorzeźbach figurek, zwierząt i kogutków. — Garncarz ustawia dzbanki polewane i garnuszki malowane i gliniane piszczałki, miseczki i rynki. — W końcu kupiec galanteryjny rozkłada pyszny swój towar pierścionków tombakowych z niebieskimi i czerwonymi oczkami; wstążki i wstążeczki; tasiemki i szklanne paciorki oraz dętki; obrazki za szkłem, zwierciadełka i lusterka; łyżki blaszane i w róg opravne nożyki. — Wszyscy zajęci i pełni nadziei, że jeżeli ku wiecznemu życiu nie dostąpią odpustu, to przynajmniej sowitym i zyskownym targiem los swój doczesny poprawią.

Zosia z Jagusią powstały i poszły do strumienia, aby się tak zewnątrz na twarzy oczyścić, jak pragnęły wewnątrz być czyste przed Panem Bogiem, przystępując do Sakramentu spowiedzi. Za ich przykładem poszło mnóstwo pielgrzymów a szczególnie górali, którzy obyczajnością o wiele lud nadwiślański przewyższają.

Wkrótce dał się na wieży kościelnej usłyszeć większy dzwon, zwołujący na primarią czyli na pierwszą mszę świętą. — Wojciech z Zoską i Jagusią, która się do nich przyłączyła, byli jedni z pierwszych, co weszli do kościoła. Braciszkwowie Bernardyni zmiatali dopiero ołtarze i nowe zakładali świece. — Gdy drugi raz

przedzwoniono, wpłynęły w kościół potoki ludu, a niebawem ojciec Mossler prowincyjał, stanął przed wielkim ołtarzem. Organ zahuczał, uderzyły bębny, a na zewnętrznych kruzgankach na trąbach odegrano hymn do Matki Boskiej. — Kto się spóźnił, nie wszedł już do kościoła i tylko oblegał schody, albo na podworzu kościelném kolei swojej i drugiej mszy świętej oczekiwał. — Tymczasem przybywali ze wszech stron księża świeccy, którzy trzema bramami wchodzili na podwórze kościoła i tam siadali w ustawionych po jednej i po drugiej stronie konfesyjonałach. Lud się tłumnie ku nim cisnął, a przy każdym konfesyjonałe tłoczyło się po kilka set wiernych, oczyszczenia duszy pragnących.

W kościele także OO. Bernardyni świętej posłudze oddani, przyjmowali do Sakramentu pokuty tych, którzy na prymaryją zdążyli; przecież ani czas ani liczba księży wystarczyć zdaniu wiernych nie mogła, i księża upadali pod trudem, a znojem okryci, prosili się, aby lud miarkował nieco żarliwość i tłumnie konfesyjonałów nie oblegał, zaręczając iż się znajdzie i czas i sposobność, wysłuchać wszystkich kolejno spowiedzi świętej. Po odbytych kilku mszach tłum się po drózkach rozsypał; kompanije zgromadziwszy się w kółka, szły za swoimi przewodnikami, którzy przy każdej stacyi rodza-

im kazania prawiąc, przypominali, ile Zbawiciel za nas ucierpiał i jak żyć powinniśmy, abyśmy nie tylko mękę i śmierć jego odwdzięczyli, ale i sobie zbawienia wiecznego przysporzyć mogli. Jednym z najwymowniejszych przewodników, był Feliks Boruń z Kaszowa, drugim był góral z Suchej, którego nazwiska nie pomnę, a trzeci również góral z Siedziny, wsi położonej w Tatrach. Kompanije z religijną skruchą i uszanowaniem słuchały napomnień przewodzców a głębokiem westchnieniem wtórowały ich wymownym słowom. Potém pieśni stósowne do każdej stacyi śpiewano, oczekując na mszę świętą z kazaniem, która się w główniejszych kaplicach kalwaryjskich odbywała. Jakoż po mszy świętej i po niesporach w kazalnicach pod gołym niebem stojących, słowo Boże żarliwie przez kapłanów wypowiedziane łzy wyciskało, a wywołując płacz, łkanie i jęki, do szczerzej a gorącej pokuty duszę sposobilo. Przy kaplicy ukrzyżowania tłum ludu był tak wielki, iż tylko najbliżej stojący kazanie słyszyć mogli, chociaż i ci, co nie słyszeli, rzewnie płakali, bo słowo prawdy przenika i udziela się z serca do serca i nietylko trafia do uszów, ale pociąga przykładem, i wszystko (co tylko jest z ducha), ogarnia. Później te kilkadziesiąt tysięcy ludu, jedną różnobarwną wstęgą a nawet powiem jednym falistym poto-

kiem wyruszyło ku kaplicy drugiego upadku Zbawiciela, gdzie statua Chrystusa Pana słynie cudami. Tam się te wszystkie dusze rozplynęły w jękach, a wszystkie serca otwarły nadziei; wszystkie postanowienia tam się hartowały i ku poprawie życia powtarzały się śluby. Tam wszystkie niemoce szukały uleczenia, wszystkie smutki pociechy, wszystkie boleści folgi, a rozpacz nawet ustępując nadziei, szukała tego w cudzie, czego dotąd na zwykłych drogach przyrodzonych nigdzie znaleźć nie mogła. — Tam-to Wojciech i Zośka uklękawszy w pokorze, połączyli modlitwy za Józkiem, prosząc Boga, aby im go corychlej powrócił, a strzegł od kalectwa i niespodziewanej śmierci. Zośka zbliżyła się do Wojciecha posuwając się na kolanach, i szepnęła mu to, co była w Lenczach przyrzekła: „iż Józkowi wierną pozostanie.“ Wojciech ziemię pocałował, a tkliewie zwróciwszy się ku Zośce, rzekł jej: „Niech wam Bóg błogosławi.“ Potem znoszono bardzo wiele kalék, przyprowadzono ślepych; matki niosły swe dzieci, a każdy przy drugim upadku Zbawiciela uskarżał się swój nędzy, prosił o zlitowanie i o miłosierdzie, i jeśli przyszedł z wiarą, to odchodził z pocieszą a przynajmniej z nadzieją. Kazanie przy drugim upadku było nader rzewne. Młody jakiś kapłan wychodził z owych słów Ewangelii: iż „błogosławieni miłosierni,

albowiem oni miłosierdzie otrzymają.“ — Mówił o przebaczeniu, o miłości nieprzyjaciół, która nie tylko zbawia duszę tego, który przebacza, ale rozbraja najzaciętszą zawiść i staje się jedynym warunkiem zgody i jedności między ludźmi. W słowach tego kapłana przebijała się nie tylko gorąca wiara i głębokie przekonanie, ale razem duch szczerzej miłości bliźniego, niosący między wiernych pojednanie i wzajemne win odpuszczenie.

— „Pocóżście się tu zgromadzili? (zapyta on pilnie nadśłuchującego ludu). Przyszliście na odpust, to jest domagacie się u Boga odpuszczenia wam win waszych. Nic słusniejszego nad tę prośbę! Ale czyliż i Bóg nie ma prawa zapytać się was, czyli skłonni jesteście odpuścić winy winowajcom waszym? Do tej wzajemności ma Bóg zupełne prawo, i dla tego da wam swój odpust za wasz odpust, i wam odpuści, gdy wy odpuścicie. Przypomnijcie sobie, ile żalów na bliźniego w sercach waszych dźwigacie, jakie brzemie nieprzyjaźni tu nawet na to miejsce przynieśliście! Jaką niechęcią przejęci jesteście dla dawnych panów i dziedziców waszych, jak nawet pasterzy dusz waszych ścigacie obmową, lub niesprawiedliwemi zarzutami! Jaka niezgoda w gromadach, sprzeczki i procesa w rodzinach!.... Jakże chcecie, aby Pan Bóg zdjął z was ciężar gniewu swojego i kary, kiedy wy obciąż-

zacie brata waszego ciężarem obelg, niechęcią i uszkodzeniem! Wyrzucicie piérwój z serca tę śmieć nienawiści, ten kamień obrazy Bożej; odpuście bliźnim waszym i kochajcie ich szczerze, a bądźcie pewni, że odpustu zupełnego dostąpicie i z jarzma grzechów wyzwoleni, powracać będziecie swobodni do domów waszych, błogosławiąc Bogu i doznając nawzajem błogosławieństwa Bożego.“

Podczas kazania powszechna panowała cisza. Dopiero gdy kapłan po błogosławieństwie ludu schodził z ambony, dał się słyszyć płacz i jęki; a jedni krzyżem leżąc, drudzy twarzą schyleni ku ziemi, łamali się wewnętrznie, mocowali z duchem przeciwnym i ślubowali solenne z nieprzyjaciółmi pojednanie. Rozczulająca to była rzecz, patrzeć na ten niezliczony tłum wiernych, którzy pod potęgą słowa Bożego z tygrysów i wilków zamieniali się w pokorne baranki i w sercu pokajani, zmywali łzami pokuty brud grzechowy, i plamy któremi ich szatan pokalał. Zdawałoby się, iż każdemu pilno biegnąć do nieprzyjaciół, aby ich uścisnąć, przejednać i w gniewie rozbroić, a w świecie zaprowadzić ową świętą zgodę i pokój, od której szczęście na ziemi i zbawienie wieczne zawisło.

Od kaplicy drugiego upadku Pana Jezusa wiedzie droga doliną ku kaplicy grobu Matki

najświętszej. — Ukochane to miejsce przez pielgrzymów, bo tam wszystko tkliwie przemawia do serca. — Tam złożona w grobie matka Zbawiciela aż do czasu, w którym ją aniołowie do nieba wnieśli, oddając najświętszemu Synowi matkę, która go w dziewiczym łonie nosiła. Lud polski od najdawniejszych czasów szczególną czcią, miłością i rzewną modlitwą otaczał Matkę najświętszą; przez jej pośrednictwo zawsze się do Boga udawał i jej się uskarżał i od niej pomocy oczekiwał. Nigdy też nie był zawiedzionym, zawsze cudownie wspartym; i taki się wzajemny zawiązał stosunek ziemi polskiej z niebem przez pośrednictwo najświętszej Bogarodzicy, iż ona stała się zwykłą naszą orędowniczką i za dziećmi swemi w Polsce przez dziesięć wieków wiernie się wstawiała. Czy dzisiaj wszyscy zachowali dla Matki miłosierdzia też samą cześć i pobożność? to niewiadomo!... Wszakże rzeczą jest pewną, iż matka kocha nawet te dzieci, które jej są niewdzięczne; zasłania grzeszne przed gniewem ojca i w potrzebie ratuje, bo każda matka i kochać musi i miłosci wyrzec się nie może. A cóż dopiero Matka wszystkich matek, wybrana Matka Zbawiciela, wzór macierzyństwa, i Matka słusznie arką przymierza czyli arką zgody i pojednania nazwana! Jej miłość jest jako krynica, która nigdy nie

wysycha; jako światło słońca, które nigdy nie gaśnie; jako ciepło, które nigdy nie stygnie. Jój miłość świat ogrzewa, lody topi i zatwardiała skałę serc naszych kruszy, sposobiąc ją do rodzajności w cnotach i miłych Bogu uczynkach.

Gdy więc pobożni pielgrzymi przyszedli do kaplicy grobu Matki najświętszej, zabrzmiała z wszystkich piersi żałobna pieśń na cześć Matki Boskiej w grób złożonej. Dziewice szczególniej tłoczyły się tłumnie do grobu, aby się w nim uczyć tajemnic boleści i pociechy, oraz życia i śmierci.

Inny znowu kapłan wstąpił na mównicę, a w długiej przemowie uczył, „jak się trzeba sposobić na chwilę skonań.“ Dowodził, „iż to życie na ziemi jest zadatkiem na wieczność, lub jest na wieczność szczęścia i błogości, lub na wieczność kary i sromu. Całe więc życie doczesne jest tylko przygotowaniem do ostatniej chwili skonu. Dziecko, które się narodzi, już przynosi w sobie zaród śmierci; czas więc, jaki rozdziela kolébkę od trumny, jest właśnie ową chwilą przygotowania się na śmierć. Tymczasem żyjemy na tej ziemi, jakbyśmy nigdy umierać nie mieli; łakomstwo i chciwość dóbr doczesnych trapi nas i nędzi. Bogatszym zazdrościmy ich miana, bliźniemu radzibyśmy wydrzeć ostatni kawałek chleba. Nigdy niczego nie mamy

zadosyc, ani pola, ani lasu, ani pastwisk. Chciełibyśmy wszystko zagarnąć, wszystko posiadać, choćby nawet to posiadanie utratą duszy okupić nam wypadało. A przecież na tamten świat tych dóbr nie zabierzemy, i musimy stanąć przed Bogiem bez żadnego przyrobku w pieniądzech lub ziemi, ale z przyrobkiem cnót chrześcijańskich.“ Kapłan w swoim kazaniu stawiał na wzór żywot najświętszej Panny, a przebiegłszy jój życie, zapytał: Kto upatrzy w niej najmniejszą skazę chciwości, zazdrości, łakomstwa, pychy i zawiści?! Przebaczyła nawet katom syna swojego, przebaczyła potwarze i obelgi na nią przez żydów miotane, i jednego tylko pragnęła, ażeby słowo Zbawiciela, męka jego i śmierć, wyszły na zbawienie wszystkich, i aby ta męka stała się z grzechu wykupem i pojednaniem między człowiekiem upadłym a Bogiem. Kochała ona Boga w Synu swoim, a wszystkich ludzi przez Syna, i pragnęła się połączyć ze Słowem wiekuistém, którego była Matką wedle ciała, a córką wedle ducha. — Życie jój było ciąglém gotowaniem się na chwilę ostateczną skonu, a skon był przygotowaniem do chwalebego wniebowzięcia.

Każdy więc, który na ten odpust przychodzi, powinien sobie mocno postanowić, aby życie jego pocziwe i według praw Bożych urządzone, było ciąglém gotowaniem się do chwili skonu,

klasztorne, oraz lasek do domu pustelnika wiodący. Tam kompanije zebrane w kółka usiadły, i to z płacht, chustek, kobiałek lub koszyków wydobywali żywność i nią się posilali. — Jagusia nie bardzo obfite miała zapasy, więc jej Zośka ze swego udzielała, ciesząc się, że jej Bóg nam stręczył sposobność podzielenia się z bliźnim przysmaczkami, które Agnieszka tak hojnie na podróż przygotowała.

Niektórzy pielgrzymi spóźniwszy się na odpust, jeszcze pojedynczo nadchodzili, a łączyli się do kompanij właściwych parafii. — Między nimi był i syn owego złego Piotra, który jednak nie włączył się do kółka swojej wsi, ale się do sąsiedniej parafii przyłączył, a rzeczywiście luzem najczęściej chodził. — Pokazał się też na chwilę Stach ów fernal dworski, na którego padało podejrzenie, iż dom Agnieszki podpalił, lecz w tłumie zniknął. — W innej chwili byłby go Wojciech przywitał twardą i ostrą przymówką, ale na świętém miejscu i po spowiedzi przytłumił w sobie oburzenie. Tak łagodnymi wszakże nie byli żandarmi, mając bowiem dokładny jego opis, odszukali go w szynkownej izbie, i do urzędu w kajdankach odprowadzili. — Wszakże nie on sam z odpustu poszedł do aresztu, bo wielu włóczęgów i dziadów, którzy przyszli w celu kradzieży i łupieztwa, upolowali przezorni żan-

darmi i do kozy zawiedli. — Między nimi był jeden młody ubogi, który niemowę udawał. — Krzyczał on i ryczał, a migami wskazywał, iż mowy jest pozbawionym. — Górale się litowali i chętnie znosili mu jałmużnę, ale gdy jeden młody góral miał w kieszeni razem z grajcarami guzik mosiężny, przeto wyjął go nieumyślnie zamiast grajcara i daje niemowie. — Ten rozgniewany rzuca go na drogę, i zapomniawszy, iż udaje niemowę, powiada w złości: „*Guzika nie potrzebuję!*“ Góral to słyszy, zwołuje gospodarzy, i przytrzymują fałszywego niemowę; który znowu swoje udanie tak dobrze odgrywa, iż go puszczają, wmawiając w góralika który mu dał jałmużnę, iż się musiał przesłyszeć, i biédnego niemowę, a tém samem kalekę, zarzutem fałszu obciążył. Młody góral w końcu własnym uszom nie dowierzając i zwątpiwszy o tém co widział i słyszał, sam się cofa i spieszy posądzenie to wynagrodzić niemowie jałmużną, gdy żandarmi mniej dobroduszni, a znawcy, odrazu wyleczyli niemowę, ciągnąc go do aresztu, gdyż wołał na całe gardło: „*Jezus, Maryja*“ i żandarmów się prosił, a do ludu żałośnie się odzywał; ale pomimo tego poprowadzonym został do urzędu, jako oszust nadużywający miłosierdzia ludzkiego. — Rozmaitych ubogich, a razem przysposobionych dziadów i włóczęgów do sześciu set narachować tam

było można, a wrzask i pisk i natrętna prośba, oraz łakoma natarczywość była tak wielką, że litość wrodzona przytębiała w sercach, i najmniej sierniejszy ze zgorzeniem mijał tych obłudników, używających najświętszych wezwań i najpobożniejszych wykrzykników, aby grosz wyludzić. — Do tego mieszała się zazdrośna między żebrakami kłótnia i przeklęstwa, które się często bijatyką kończyły, i za ledwie wdaniem się żandarmów uciszonemi być mogły. — Wojciech zgorzszony mówił do Zosi: „Już co te dziady, to na kazanie nie przychodzą ani na odpust, tylko na łajdactwo.“

Nie mniej natrętnymi byli przekupnie, którzy stręczyli swój towar w sposób tak oburzający i z tak małym uszanowaniem miejsca i świętych obrzędów, że kto rzeczywiście przyszedł w celu pobożności, omijał zdaleka kramy, bo się gorszył, i radby był za przykładem Chrystusa powrozami rozpędzić tę czeredę. Szczególniej też kramarze zastawiali sieci na poczciwych górali, których każda świętość nęci, i dlatego na nich wołali: „Oto macie tu gazdo, Matkę Boską Bolesną! śliczny obrazek na ścianę; malowany, poślacany, poświęcany i w czerwonych ramkach. Albo weźcie ten obrazek Matki Boskiej karmiącej z miasteczka Betleem, gdzie się Pan Jezus narodził.“ Piernikarz znowu przeraźliwie krzy-

czał, że za dudka ma huzara na koniu, albo panienkę z piernika z podpartemi bokami, albo dziecko w powiciu, albo placuszki piernikowe, cukrem na biało lub czerwono polewane. Słowem, wszyscy razem krzyczą, ciągną, napastują i ani się ich natarczywości obronić, ani wywinąć z sieleń niepodobna. To wszystko nie podobało się Wojciechowi, bo chociaż nie było mu to obce, nawet we własnej wsi widywał podobne rzeczy na kiermaszu, przecież tak był przejęty pobożnością, którą go święte miejsce natchnęło i tak miał na pamięci wielkie prawdy, które na kazaniach słyszał, iż ten rodzaj przemysłu wprost był przeciwny jego usposobieniu duszy. Wreszcie prawdziwy rolnik rzadko bywa przemysłowym, a wieśniak do gwaru przyzwyczaj się nie może. Gdy więc poczciwy nasz chłop widział się otoczonym tą zgrają kłamiących i piszczących dziadów i ciągle klekoczących przekupniów, zdawało mu się, że jest w przedsionku piekła i czémprędzej chciał do kościoła uciekać. Zosię jednak i Jagusię mniej to raziło. Młode i ciekawe, przypatrywały się z pewnym upodobaniem tym wszystkim świćidelkom i byłyby może co kupiły, gdyby miały pieniądze. Wojciech to uważał i zapytał się Zośki, czyliby się jej co nie podobało lub czyliby czego nie potrzebowała? Ale Zośka, jak zawsze, o sobie samej zapominając, prosiła tylko

Wojciecha, iżby kupił jaki gościeniec dla Agnieszki. Jakoż po długim wyborze i namyśle, kupiono chustkę czarną na głowę, drukowaną w białe centki i kwiaty.

Pielgrzymi pozostali na kalwaryi aż do dnia drugiego, a po niesporach obchodem drózek znużeni, wcześniej się udali na spoczynek.

Nazajutrz po wysłuchaniu mszy świętej i otrzymaniu błogosławieństwa na drogę, wracali tymże samym porządkiem, a gdziekolwiek się kompanije rozchodziły, żegnały się i życzyły sobie wzajemnie błogosławieństwa Bożego. — W Czernichowie Zosia pożegnała swoją towarzyszkę, zapraszając ją do siebie, a jeżeli Bóg da, to i na druchnę, gdy Józek powróci.

Jeżeli idąc na Kalwaryję, wszyscy byli dobrzej myśli, szli żwawo i nie przewidywali znużenia, to z powrotem jakoś nie szło tak łatwo, a długim sznurem ciągnęła się kompanija. Spiewano już mniej głośno; utykano po drodze i dziewuchy podbiwszy na skałach kalwaryjskich nogi, kulawo szły do domu, opierając się na kij. Jednak zbliżywszy się do wsi, odwaga odżyła, każdy się krzepił, w zwarte kółko ścisnął, a pieśń już głośniej zabrzmiała. — Naprzeciw wracającym cała wieś wyległa: każdy swojego witał, a ludu napływem tak procesyja wzrosła, iż, gdy doszli do kościoła, wczwórnasób się pomnożyli. Tam

ich ksiądz proboszcz powitał, wodą święconą pokropił i pobłogosławił, a później już wszyscy wracali do domu. Wojciech z Zośką szedł z wolna, bo był strudzony, i rzecze do Zośki:

— Chwała Bogu, żeśmy odbyli tę podróż na twoją świętą intencyją; jeżeli się tam nic w domu złego nie stało, to trzeba będzie Bogu podziękować, bo jakoś mię tchnęło, gdy mi się na oczy Stach fornal i syn Piotrów pokazał.

— Ej! trzeba ufać Panu Bogu, tatusiu (rzecze Zośka), że złego nic się nie stało, bo tam Agnieszka pilnuje domu z chłopakiem i nie zaśpi, a nasz Burek czujny, bo choć się mysz skrobnie, to on zaraz szczeka.

— To prawda (rzecze Wojciech), ale Agnieszka stara a chłopak za młody, i gdy się położy, to leży kamieniem. Żałuję, iż jakiego nie zmówiłem sąsiada, któryby dał pozór.

— Nie frasujcie się, tatusiu (rzecze Zośka), bo przecież widać już dach waszego domu, więc nie złego dziękować Bogu nie będzie. Jedno, co mię dziwi, że Agnieszka nie wyszła naprzeciw nas, chociaż z całej wsi ludzie powychodzili; tylko sobie znowu myślę, iż ona nie lubi odstępować chałupy.

Wojciech słuchał tych uwag, ale głową kręcił i jakby miał smutne przecucie, wzdychał i zbierał siły, aby czempędzej do domu pospieszać.

Wtém spotyka Łukasza, który powitawszy go, rzeknie:

— Nie znajdziecie tam Wojciechu w domu wielkiej pociechy, aleby się wam była większa wydarzyła szkoda, gdyby nie chłopak, co przybiegł mnie obudzić, i nie mój parobek, który się prędko zebrał i jeszcze na czas przyszedł, aby zbójów odstraszyć i babę od śmierci wyratować. — Ja nadbiegłem później, ale już nikogo nie było, tylko trzeźwiliśmy Agnieszkę i już całą noc u was przesiedziałem aż do dnia białego. — Opowiem wam wszystko, jak wrócimy do chałupy, a teraz mi powiedzcie, czyliście szczęśliwie podróż odbyli, i czy jakiego nie mieliście wypadku?

Wojciech pomieszany podziękował Łukaszowi, przypomniał Zośce, że miał przecucie jakiegoś nieszczęścia, i szybkim krokiem zdążył do domu.

XXVI.

Złodzieje.

Rozgłoszona wiadomość o znacznej summie, jaka na Zośkę spaść miała, a razem i mniemanie, że Wojciech duże pieniądze posiada; w końcu zaś pewność, iż ma znaczne zapasy w komórce oraz i korale w skrzyni, skusiły złych ludzi do popełnienia nocnej w domu Wojciecha kradzieży. Wiedziano, iż poszedł na odpust do Kalwaryi z Zośką; i że przy całym domu została tylko stara Agnieszka i chłopak. Odważono się więc łatwo na spełnienie zbrodni, i jeżeli się kradzież ta nie powiodła, to tylko szczególnej łasce Pana Boga przypisać należy. Zaraz pierwszej nocy Agnieszka przeniosła swoje łóżko do kłomory, aby pilnować bliżej skarbów Wojciechowych. Chłopcu kazała spać w stodole, a Burek pies obiegał dom zewnątrz. Przed północą zaczął Burek gwałtownie naszczekiwać, ale uderzony, jak się zdaje, silnie kijem, żałośnie skumłał i ucichł. Chłopiec nie spał, gdyż jak sam wyznawał, bał się zasnąć

i strasznie mu się samemu w stodole spać wydawało. Po kilku chwilach słyszy dobywanie się do drzwi chałupy Wojciechowej. Nie śmiał się odezwać, gdyż się obawiał, aby go nie uśmiercono, lecz się z zapola zsunął na boisko, i tylnemi przemykając się wrotami, dobiegł do Łukaszowego domu i tam wszystkich pobudził. — Odważny parobek Łukasza pochwyił drąg i nie czekając na liczniejszą pomoc, sam się w koszuli i boso do walki z rozbójnikami gotował. Chłopak dygocząc ze strachu, nie śmie iść za nim, ale czeka na Łukasza, a może i na większą liczbę sąsiadów.

Parobek wpadłszy na podwórko Wojciecha, krzyczy przeraźliwie: „Tu są, łapajcie ich! dajcie postronków!“ a tém samym każe mniemac złoczyńcom, iż dom przez wielką liczbę jest otoczonym. Jakoż trzech ludzi wymyka się z chałupy i trafiają omackiem na parobka, który ciągle krzyczy, i tak drągiem szczęśliwie wywija, iż czuje, że jednemu dogodził, bo się aż drąg o głowę lub téż o kość u ręki odbił. Złoczyńcy uciekają, ale parobek nie wiedząc, czy ich więcej niema, ciągle krzyczy: „chwytaj, łapaj!“ i drągiem po płocie i po ścianie domu uderza. Nadchodzi później Łukasz z chłopcem, zbudzili się téż i inni sąsiedzi, którzy na ratunek z kijami i z siekierami przybiegli, a wtenczas cały orszak

zbrojny do domu Wojciechowego wchodzi. Rozpalają światło, szukają po izbie, ale nikogo nie znajdują; idą do kómory, a tam zastają Agnięszkę okropnie pobitą i zduszoną i wszystko, co było w kómorze porozrzucane. — Połcie słoniny leżały na ziemi, a skrzynia, którą dopiero wylupywać zaczęli, na bok przewrócona. — Pierwsza czynność Łukasza była, iżby Agnięszkę ratować. Twarz jój przycisnęli złodzieje poduszką, a na tę poduszkę przewrócili beczkę z ziarnem. Ani więc krzyczyć, ani się ruszyć nie mogła. Łukasz więc z pomocą sąsiadów przeniósł babinę do izby, położono ją w łóżko, trzeźwiono wodą, rozcierano, aż przecież powróciła do życia. — Wtenczas dopiero rzewnie płakać poczęła, dziękując Łukaszowi za ratunek, i opowiadała, iż trzech zbójców odwaliwszy drzwi od kómory, pochwycili ją krzyczącą, i piersi przycisnąwszy kolanem, dusić ją poczęli, gdy jeden rzekł: „Nie zabijajcie babska, tylko jój gębę zatkajmy, aby nie wrzeszczała.“ Wtenczas téż poduszkę na nią położyli i beczkę przewrócili. —

Takie było opowiadanie Łukasza Wojciechowi, (gdy wróciwszy do domu, stanęli nad łóżem chorój Agnięszki). Zośka rzuciwszy się w objęcia swojej przybranój matki, rzewnie nad nią płakała i dopytywała się o najmniejsze szczegóły, tyczące się jój zdrowia. Agnięszka pocie-

■zała ją, iż więcej doznała strachu jak bólu; że jutro wstanie, i że ma nadzieję już za parę dni zupełnie się wyléczyć. Wojciech przeproszał ją i obiecał się serdecznie nią zajmować; a z Łukaszem obaj się starzy z sobą uścisnęli, jak dwaj dobrzy sąsiedzi, i usiedli do dłuższej o tym wypadku rozmowy.

— Czy téż nie miarkujecie (zapyta Wojciech), którzy mogli być ci złodzieje? Przecież ja tu we wsi takich nie miarkuję; i jeżeli przyszli, to zapewne z ogranicy.

— Ej, mój Wojciechu (odpowie Łukasz), mnie się prędzej zdaje, że to wsiowi, i nie ledwobym nie zgadł, którzy oni są.

— Na kogóżbyście mieli posądek? (zapyta Wojciech).

— Najprędzej na Piotrowego syna i na Stacha fornala, a trzeci, to musiał być starszy między nimi, ale go nie śmiem wymienić, bo przecież gospodarz.

— Może o Kubie myślicie? (rzecze Wojciech).

— A o kimżeby innym (odpowie Łukasz), jak nie o nim?

— Nie mógł być ani Piotrów syn, ani Stach (przerwie Wojciech), bom ich obudwóch widział na odpuszcie w Kalwaryi; a Stacha nawet zabrali żandarmi do urzędu, bo musiał go sołtys zdać, że podpalił Agnieszki chałupę. A więc oni nie byli.

— A kiedyżeście ich widzieli (zapyta Łukasz) i w który dzień? i czyli z wami razem szli w kompanii?

— Nie szli z nami (odpowie Wojciech) ale samopas przyszli i wczoraj ich widziałem.

— To téż to, (rzeknie Łukasz) i to jest właśnie dowód, że oni byli tymi złoczyńcami, bo jak im się nie udało, tak poszli na Kalwaryję, aby na nich nie było posądzenia, i aby tém łatwiej mogli się wyłgać a postawić świadków, że ich na Kalwaryi widziano i że nie byli w domu.

— No, proszę (rzecze Wojciech), jaki wy na to rozum macie Łukasz! jabym tego nigdy nie wytlómaczył tak, jak wy tlómaczycie.

— Bo ja widzicie dworski człowiek (odpowie Łukasz), tom się całe życie tylko złodziejom oganiać musiał; gdyż nikt sobie za grzech nie ma, pana i księdza okraść. Jak byłem karbowym, tom musiał dzień i noc ślépiać, boby byli wszystko z kretezem tak ze stodół jak i ze śpichrza rozebrali. Na sto młocków toś miał jednego, coby cię nie okradł, a jak niósł z boiska do śpichrza, to już baba przy stajni czekała z koszykiem albo z workiem, aby jój co usypał. Ci nasi panowie, to są jeszcze dosyć cierpliwi, bo gdyby chłop chłopą tak kradł, jak pana okradają, toby się wszyscy we wsi przez zemstę pozabijali.

— I coś teraz dalej robić? (zapyta Wojciech).

— Trzeba dać znać sołtysowi (odpowie Łukasz), i urząd zawiadomić; szkodę swoją porachować, a sąd będzie dochodził.

— Ej nie chce mi się tam tego, mój Łukasz (rzecze Wojciech). Wolę krzywdę moją darować, jak się po sądach włóczyć, albo też przysięgać. Ksiądz w kazaniu mówił na odpuście, aby jeden drugiemu przebaczał, więc ja też wolę, aby już była moja krzywda, jak żebym miał słyszeć potem, że za mnie wsiowi ludzie kajdanami brzęczą.

— Nie o to chodzi Wojciechu (przerwie Łukasz), bo wy krzywdę waszą darować możecie, ale co zbrodnia to musi być ukarana, gdyż inaczej nie byłoby na świecie sprawiedliwości; i gdyby złodziejom uchodziło płazem, toby nikt nie był pewnym swego życia ani swojej chudoby. Dla gromady więc całej uczynić musicie, iż ta sprawa sądzoną będzie w urzędzie i wy jój załatwić nie możecie, gdyżbyście za to sami byli srogo karani. Zawołajcież więc sołtysa, i zanieście żalobę. Sołtys znowu w powiecie całą rzecz opowie i musi być z tego sprawa.

Wojciech zamysłwszy się, posłał chłopaka po sołtysa, a sam zaświeciwszy latarnią, wszedł z Łukaszem do komórki. Tam nie mógł się ze swojemi rzeczami rozpoznać. Wszystko znalazł

w największym nieładzie. Maźnica przewrócona powalała szaty, które złodzieje z żérki pozwalkali. Garnek masła stłuczony leżał na ziemi, a na masle znać było ślad buta kowanego. Skrzynka leżała na bok, siekierą połupana i w kilku miejscach podważona dłutkiem. Pierzyna i pościel, gdzie leżała Agnieszka, zasypiana jęczmieniem z przewróconej beczki. Połcie słoniny leżały na ziemi, a jaja z faszczki jedne potłuczone, a drugie całe roztoczyły się po podłodze. Słowem wśród ómy nocnej złodzieje wszędzie szukali, wszystko niszczyli, ale odstraszeni krzykiem parobka Łukaszowego, odbiegli i zdaje się, że nic nie wzięli. Łukasz nie pozwolił Wojciechowi nic sprzątać ani ruszać, lecz do przybycia sołtysa wszystko w tym samym pozostawić nieładzie.— Wkrótce nadszedł sołtys z dwoma radnymi i obejrawszy miejsce, gdzie była zbrodnia popełniona, a razem wypytawszy się o szczegóły, rzekł Wojciechowi, iż zapewne przyjdzie pismo z sądu i że tak on jako i świadkowie stawić się będą musieli. Gdy zaś sołtys zapytał, na kogoby miał Wojciech posądzenie, Łukasz za niego odpowiedział, iż nie kto inny sprawcą jest kradzieży, tylko Kuba, oraz syn Piotra i Stach fornal. Sołtys nie wątpił o winie Stacha, ale oburzył się na posądzenie Kuby i syna Piotrowego, twierdząc, iż gospodarze gruntowi tegoby się nie do-

puścili i że prędzej dworscy lub kómornicy tój zbrodni są sprawcami.

— Pokaże się to wkrótce (rzecze Łukasz), a ja głowę mojąłożę, że na mojm stanie.

— Nie chodzi mi (doda Wojciech) o moją krzywdę, bo strata nie wielka i ratunek sąsiadów mnie od niej ochronił, ale mi chodzi o krzywdę Agnieszki, którą te zbóje zdusiły tak, że w izbie leży chora. Swoje mogę darować, ale za cudzą krzywdę ująć się muszę.

Radni oglądali wszystko wraz z sołtysem, ale się nie odzywali i nie brali tój sprawy do serca, bo Wojciech miał wielu zazdrosnych, a tём samém nie miał przyjaciół.

Zośka tylko swoją Agnieszką zajęta, to ją otulała, to pieściła, to znowu pocieszała i robiła zwierzenia z podróży, które więcej Agnieszkę zajmowały, jak nawet wypadek rozboju, gdy wszystko, co się Zośki tyczyło, najpierwsze w sercu Agnieszki zajmowało miejsce. Głównie więc toczyła się rozmowa o owych plotkach Wojciechowi przez chłopą czernichowskiego powiezdianych i o wypadku jój zamachania się w rzecę.

W parę dni później już Agnieszka zupełnie zdrowa, kręciła się około gospodarstwa, w chustce czarnej w białe centki z Kalwaryi jój przyniesionej. — O sprawie kradzieży ucichło. Posadzony Kuba i syn Piotra, chodzili po wsi bez-

czelnie, przyrzekając się mścić za niesłuszne przed sądem oskarżenie, mówiąc, iż może sam parobek Łukaszów Agnieszkę dusił, i gdy mu się nie udało, winę na drugich spędza. Zdania o tój sprawie chodziły po wsi rozmaite i jedni obwiniali Kubę, inni go bronili, a na tём żyd tylko zyskiwał, bo gromada siedziała w karczmie i radziła. Za parę tygodni już mowy o tём nie było i Wojciech cieszył się, że ta sprawa przed sądy nie będzie prowadzoną, kiedy wieczorem nadeszło czterech żandarmów, którzy Kubę i syna Piotrowego z sobą zabrali i palce im według zwyczaju w łańcuszki okuli. — Krzyk się wielki zrobił we wsi. Piotr syna dać nie chciał, ręcąc za jego niewinność. Kuba się mocno opierał, ciskał, gniwał i odgrażał, ale żandarmi są nieubлагani, a prawo mają stanowcze... broń nabitą, bagnety ostre, więc z nimi niema żartów i podać się im bezpieczniej jak się im opierać. Wojciech bardzo się tym wypadkiem zmartwił, Agnieszka się przestraszyła, a Zośka wyrzucała sobie, że ona sama stała się tego powodem, namawiając Wojciecha na odpust kalwaryjski. — Pogwarka o tём na wsi znowu się rozpoczęła; tworzone rozmaite domysły, aż w końcu Łukasz trafił na rzeczywisty powód zatrzymania Kuby i syna Piotrowego, twierdząc, iż pewno Stach zrobił przed urzędem zeznania i wyznał współ-

ników zbrodni, w skutek czego ich przyaresztowano. Ten domysł znalazł wkrótce usprawiedliwienie, a nie pozostało już wątpliwości, iż ci trzej byli winnymi popełnionej zbrodni. — Piotr chodząc zadumany i z głową spuszczoną jak niedźwiedź, ciągle mrucał, przeklinał i brzydko na ludzi patrzył. Cały ten wypadek przypisywał poduszczeniom dworu, księdza proboszcza i Zośki, powtarzając także, iż go Regina z tamtego jeszcze świata prześladowuje i że się musiała zamienić w strzygę*), kiedy tak broi. O Wojciechu wyrażał się z mniejszą zawiścią, lecz mówił, że to głupie chłoposko, dające się każdemu za nos wodzić; głównie jednak obciążał zarzutami Łukasza, jako dawnego dworaka i twierdził iż się pokaże, że tę kradzież on ze swoim parobkiem popełnił, a na syna jego później winę spędził. — Tych oszczerstw Piotrowych mało kto słuchał, i to mu było właśnie bolesnym, iż we wszystkich widział swoich przeciwników i nikt, lub małowto stawał w jego obronie. — Wkrótce potem sąd powołał świadków, to jest najprzód Wojciecha, a później Agnieszkę, Łukasza, parobka i chłopca Wojciechowego. Kuba miał mocny siniec na ramieniu, pochodzący od owego uderzenia drągiem; odzież jego była poplamiona mazią rozlaną w kómorze,

*) Upiora, który psuje i strzyże odzież

a wreszcie Stach wszystko zeznał i do oczów im powiedział, najmniejszą przytaczając okoliczność. — Chociaż się więc zbrodniarze zapierali i dowodzili, iż byli na odpuszcie w Kalwaryi, to przewoźnicy zeznali, iż ich dopiero nazajutrz przewozili. — Wreszcie żyd w karczmie zeznał, iż wszyscy trzej oskarżeni pili do jedynastej w nocy, a wychodząc, rzekł Kuba do dwóch innych: że „już prawie czas iść, gdzie im wypada.“ Po zebranych przeto dowodach, oskarżeni posłani zostali do kryminału w Krakowie, gdzie na tok sprawy i wyrok oczekiwali. — Piotr często syna za pozwoleniem sędziego - inkwidenta odwiedzał, i litując się rzekomo nad jego niewinnością, sam przecież o popełnionej przez niego zbrodni był przekonany. Dla tego wychodząc z kryminału, wstępował zwykle na wódkę, na miód lub na wino, i tym sposobem chciał sumienie w sobie zagłuszyć. — Zawsze też wracał pijany do domu i pędził konie cwałem, czy z góry lub pod górę. — Konie biedne o głodzie do późnej nocy na placu Szczepańskim stały, ... chłopak od koni pościł cały dzień, a nazad jadąc, zwykle Piotr chłopca w tyle sadzał, a sam powoził. — Gdy raz mocno pijany z góry jechał i konie bez wodzy puścił, jeden z koni szarpnął na bok, a z gościeńca w parów zjechał; wóz się wywrócił, Piotr całym ciężarem pijanego

i bezwładnego ciała potoczył się na dno parowu, uderzając głową o sterczące kamienie, — chłopak zaś półkoszkiem przykryty, jak ptak w potrzasku złapany, wygramolić się zpod niego nie mógł, gdyż wóz go przycisnął. — Wreszcie wydobywszy się, widzi gospodarza leżącego w parowie bez duszy. Cuci go, trzeźwi, ciągnie za rękę, ale unieść go nie może. — Wozu także postawić i z przepaści wyprowadzić nie ma dość siły, a przeto usiadł na kupie tłuczonych kamieni na gościńcu, i głośno płacze i lamentuje. — Żydy wiozące zboże do Prus nadjeżdżają, litują się nad chłopcem, a przybrawszy w pomoc woźnicę od fur, wyciągają z głębi parowu w pół umarłego, a w pół jeszcze żywego Piotra; wóz jego ładują, zbierają i urządzają, na który położywszy Piotra, każą chłopakowi jechać za sobą, gdyż w jednym kierunku odbywali podróż. Razem tedy przybyli do rogatki, gdzie rzecz Tarce (owemu dozorczy rogatki) opowiedzieli, i ztamtąd chłopak zawiózł Piotra do domu, nie dającego prawie znaku życia, tak z pijactwa jak i mocnego potłuczenia. — Żona i córka wybiegły, przywołano dziewczkę, i Piotra z wozu zniesiono na łóżko. — Że zaś w tym stanie bezwładności często go żona i córka widziały, przeto ich żadna o złe następstwa nie trapiła obawa. — Chłopak opowiadał wprawdzie, iż gospodarz „wy- padli z wozu i bardzo się potłukli,“ ale iż krew

nie płynęła i kości ani w rękach ani w nogach nie chrupały, przeto potłuczenie za małą rzecz uważano.

— Prześpią się ojciec (rzecze do córki żona Piotrowa), i nic mu nie będzie,

— Opili się bardzo tatuś (doda córka), i śpią aż chrapią. A jutro to nie będą pamiętać, co się z nimi działo.

— Oni zwykle nazajutrz (rzecze żona Piotrowa) to śpią, aż dobrze słonko zejdzie i ani się obudzą.

Tak więc zaspokoiwszy się wzajemnie, położyły się spać w komórce, a dziewczka spała na strychu, chłopak zaś w stajence. — Rano, żona Piotrowa i córka wstały, krowę (kupioną na miejsce zabitej czarnej z łysiną) wydoiły. Ogień na śniadanie rozпалиły, a ojciec jak spał tak śpi. — Dziewka poszła ukopać na polu ziemniaków, chłopak pojechał włóczyć rolę pod zasiew, i już minęła śniadanna godzina a ojciec śpi cichutko, i ani go słyhać. — Spadło denko od faski na ziemię i narobiło hałasu, a ojciec i tak śpi! — Zastanowiło to córkę i rzecze matce:

— Trzebaby matusiu ojca obudzić, bo już ma się ku południowi a oni śpią, jakby umarli. — Gniewaliby się na nas, żeśmy ich nie obudzili.

— To go ty obudź (rzecze matka), bo mnie toby zwrzeszczał, a tobie Kunduś nic nie rzeknie. Poszła Kundusia budzić ojca, najprzód po-

mału, później go silniej poruszyła za ramię, mówiąc: „Tatusiu! wstajcie, bo już południe“. Gdy się zaś ten nie przebudzał, klękła na łóżku, aby mogła leżącego na bok ojca widzieć. — Wtém okropny maluje się jój widok!... Ojciec zupełnie siny, oczy wywrócone i na w pół otwarte; wargi ściśnięte... słowem... trup!... Krzyknęła przeraźliwie i w tył odskoczyła, wołając: „Gwałtu matysiu pójdźcież, bo tatuś nie żyje!“! Przybiega żona, woła córki, wznak go przewracają, trzeźwią, szarpia, rozcierają; zęby chcą rozważyć, krzyczą nad nim, lecz widząc, iż ratunek ich daremny, wybiegają przed dom i w niebogłose przyzywają ratunku! — Zeszli się najbliżsi sąsiedzi, starali się cucić życie, jeden nawet jakiś mądry rozpałił żelazo i piekł pod podeszwami u nóg, ale rzeczy próżne, krew zalała pijaka, do czego przyczyniło się mocne uderzenie głową o skałę w parowie.

Wokamgnienu rozeszła się po całej wsi wieść o nagłej śmierci Piotra! Dano znać sołtysowi, ... sołtys urzędowi powiatowemu. Zesłano lekarza na obdukcję, który znalazł, że powodem śmierci było wylanie się krwi na mózg, w skutku pijaństwa i potłuczenia. — Pozwolono go więc pochować. — Ale ksiądz proboszcz, który go nigdy w kościele nie widział, i nigdy za chrześcijanina uczęszczającego do św. Sakramentów nie znał, wręcz odmówił kościelnego pogrzebu.

Wstawiał się za nim sołtys, wstawiali się radni, lecz ksiądz proboszcz oparty na przepisach kościelnych przejednać się nie dał.

— Jakże chcecie (rzecze ksiądz proboszcz), aby kościół z równą uroczystością grzebał zwłoki człowieka, który dobrowolnie kościołem całe życie gardził, i pociechy religijne odpychał, jak i tego który Bogu wiernie służył, i ducha swego w ręce Boga przy skonaniu oddał?... Modlić się za jego duszę powinniście, bo ona więcej może od innych modlitw waszych potrzebuje, i ja się modlić za jego duszę będę, ale oddawać honory kościelne człowiekowi, który tylko z imienia był katolikiem, a w istocie był gorszym od poganina, przepisy nasze nam nie pozwalają. — Wy możecie, jeśli chcecie, odprowadzić go na cmentarz, ale ciała jego do kościoła nie wpuszczę, ani prowadzić go z krzyżem i chorągwiami nie pozwolę. — Przyszła potem żona i córka Piotrowa; płakały, prosiły i ofiarowały podwójną cenę za pogrzeb, aby uniknąć w całej wsi wstydu, ale nic nie pomogło, bo ksiądz proboszcz był nieubłagany. — I to bardzo słusznie; bo jak kto się sprawował za życia, tak ma mieć po śmierci. — Kto za życia trzymał z kościołem, słuchał przykazań boskich i kościelnych, to też i po śmierci kościół przyjmuje go u bram wieczności ze czcią i nabożeństwem. — Ale gdy kto do kościoła nie chodził i gorszył drugich

lekceważeniem przykazań Bożych, a całe dnie i nocy trawił w karczmie u Berka, to mu po śmierci nie w dzwony kościelne, ale w kieliszki powinno się dzwonić. — We wsi były jednak pod tym względem zdania podzielone. Ludzie pobożni i poczciwi twierdzili, iż słusznie ksiądz proboszcz robi, a pijaki i hultaje gniewali się o to na księdza proboszcza, bo przewidywali, że ich to spotkać może. — Wszyscy wszakże zgadzali się na to, że nagła i niespodziewana śmierć Piotra, była zasłużoną karą Bożą i że „*jakie życie, taka śmierć*”. Wielu zaś mówiło, iż Pan Bóg ukarał Piotra za Reginę i za Zośkę oraz za złe wychowanie syna, za bezbożność i za wiele krzywd ludzkich, których się w twardości serca swego dopuszczał, nie bacząc na to, iż życie prędko mija, a śmierć czeka i sąd ostateczny, na którym każdemu wedle jego uczynków wymierzonym będzie.

XXVII.

Pogrzeb Piotra.

Potrzeba było prędkiej pogrzebać Piotra, bo się ciało nagle psuło. — Stolarz nie miał czasu wygotować porządnej trumny, a co gorsza, nawet zabrakło mu w tej chwili desek. Do Krakowa nie było czasu posyłać, a więc uprosił pana we dworze, aby mu dał parę okrajków, po których grabarze (szlamujący staw) stawiarke toczyli. — Pan dziedzic nie odmówił, przeto stolarz wziął najmniej połupane okrajki, zbił je kołkami, i mało nawet okrzesaną ze sęków a oczyszczoną z błota trumnę odniósł. — Włożono w nią Piotra, ale stolarz w miarze chybił i była za krótka, odbito więc tylek od nóg, tak że nogi gołe z tej trumny wyglądały. Krzyża na niej nie było. — Mało kto przychodził zwiedzać ciało, a żona nawet i córka z powodu zaduchu ostać się w izbie nie mogąc, kazały czeladzi wynieść ciało do stodoły na boisko, aż do chwili pogrzebu.

Nazajutrz rano, a trzeciego dnia po śmierci zaprzężono wóz w gnojnicach. Przyszedł grubarz i pomógł czeladzi włożyć ciało na wóz. — Chłopak zatykając nos, zbliżył się do wozu, lejąc wziął w rękę i ruszył ku cmentarzowi. — Za ciałem szła żona i córka, płacząc i lamentując. Syn zaś w kryminale i téj ostatniej ojcu nie mógł oddać posługi. — Za żoną szedł sołtys i jeden radny, kilka babek proszalnych, dwóch dziadów, i oto cały był orszak pogrzebowy. — Gdy się zaś zwracała droga ku cmentarzowi, stał Wojciech z Zośką i Agnieszką, którzy się do orszaku przyłączyli, gdyż pamiętali, iż trzeba z serca odpuścić swoim winowajcom, a już jeśli nie Piotrowi, to żonie jego i córce uczynić tę pociechę, aby być na pogrzebie złego ale nieszczęśliwego Piotra. — Ta pocziwa intencja inaczej była przez żonę i córkę Piotra tłómaczoną. — Mniemały one, iż przyszli dla urągania się z wyjątkowego pogrzebu bez księdza, *śpiewów* i wiernych orszaku, dla tego Piotrowa rzekła Zośce: „Czegóż mojego chłopca aż po śmierci ścigasz“? Ta wymówka była nader Zośce przykra, nawet usprawiedliwić się ze swych zamiarów nie mogła, gdyż Piotrowa odwróciwszy się od niej, coś do córki płacząc mówiła. — Przywieziono ciało aż w środek cmentarza. — Spuszczono trumnę po gnojnicy i wprost w dół

rzucano. — Deski słabo zbite, rozsypały się i obnażone ciało zapadło się w dół własnym ciężarem. — Gróbarz rzucił do grobu wieko, i czém prędzej zasypywał ziemią, a chłopak poprawiwszy na wozie gnojnic, kłusem jechał do domu. Sołtys zaprosił Piotrową do karczmy na konsolację, a Zośka pomodliwszy się na grobie matki, wracała smutna do domu.

W karczmie kazano postawić kwartę wódki i częstowano wdowę i sierotę, a razem najbliższych krewnych, którzy na pogrzebie nie byli, ale do karczmy na konsolację przyszli. Po téj pierwszej kwarcie przyszła druga, aż w końcu wdowa na podziękowanie kazała wystawić garniec miodu i częstowała, ale się téż sama tak upiła, że płacząc, śpiewać poczęła najprzód żalostnie, a później i krakowiaki i byłaby się puściła w płasy, gdyby ją córka i inna kumoska z karczmy nie były gwałtem wyprowadziły. — Z domu posłano jeszcze do karczmy po wódkę; naschodziło się rozmaitych kumosek przyjaciółek, i radzono o nieboszczyku. Piotrowa najprzód zawodziła się od płaczu, wychwalając dobroć nieboszczyka męża, ale potem i wady jego przytaczała.

— Oj, dobry téż-to był człowiek mój chłop nieboszczyk (rzecze Piotrowa), i takiego poszukać na świecie, tylko o to jedno, że był taki

nagły, iż, gdy się zawział, toby był wszystkich pozabijał, czy żonę, czy dziecko, czy czeladnika. Co miał w garszci, to tём bił,.... czy kij, czy kołek, czy tęż garnek z mlékkiem albo z barszczem, to o łeb człowiekowi wnet rozbił. — Ale był jedyny człowiek na świecie.

— Co tam o nagłość! (rzecze jedna kumoska) Lepiej kiedy chłop nagły, jak kiedy trafi się taki, co do niczego ciekawości nie ma.

— Oj, już to moiściewy, co do ciekawości, to nie było chłopu jak on (odpowie Piotrowa), bo on wam w każdziuską dziurę zajrzał, i już jedyny był chłop do tego! A takie miał przepięgi swoje, że on każdą rzecz wypatrył, a jego nikt nie upatrył. — A takie to było łakome na on grosz, że co on z kogo nie uzyskował, to nikt z niego nie spożytkował. — Ciekął za onym majątkiem w dzień i w nocy, a składał. Oj! szkodać mi, wieczna powiadam szkoda, takiego chłopu.

— Nie frasujcie się kumosko! (rzecze druga przyjaciółka) jeszcze lepszego dostaniecie! Majątek jest; dzieciaków dwoje, a jeszcze jednego nie rachować, bo może i umrze w tym kryminalu; więc wszystkiego jedna córka, to wam się prędko chłop trafi, a jeszcze będzie młodszy.

— Oj, nie chciałabym moja Justyno, nie (odpowie Piotrowa), bo mi się już taki nie trafi, jak ten był nieboszczyk, rozeznany w każdej

rzeczy i zabiegliwy na wszystkie sposoby. — On nigdy do lasu po sosnę nie pojechał, żeby albo buczka, albo ze dwie krokiewek nie przykręcił. Kupił sztukę a do domu przywłókł dwie albo trzy. — Jedyny był chłop do tego gospodarstwa.

— Moja kumosko (rzeknie Justyna) jeszcze bym wam lepszych naraiła, którzy noc w noc jadą do pańskiego lasu, jak do swojego, a zwożą i połupią na drewka, i *halum**) z tём do Krakowa. Są dziękować Bogu zabiegliwi ludzie w naszej wsi.

— Wamby Piotrowa (rzecze pierwsza kumoska) przydał się już wdowiec, stateczny, coby zarządzał o gospodarstwo i umiał zarządzić.

— Ej, coby mi tam było po starym (odpowie Piotrowa) którego bym znowu musiała grzebać i koszt na tołożyć. Gdyby tam już na to przyszło, tobym wolała młodego, coby wszelkiej robocie podolał. Ale ja tam o tём nie myślę, bo mi strasznie nieboszczyka żal i ledwie się gdzie nie zatracę!

— Nie lamentujcież Piotrowa (rzecze Justyna) tylko się napijcie, boście gotowi zachorować z tego wielkiego umartwienia! Cóż robić?! tak się Pana Bogu podobało! Wziął wam jednego chłopu, to wam da drugiego, jeśli Jego wola!

*) Dalejże z tём.

— Ale bo mi też tego żal (przerwie Piotrowa) iż tak marnie zginął, i ani się z nami nie pożegnał, i ani mi dożywotku nie zostawił, tylko tak nas odumarł biedne sieroty, że teraz nie wie nikt, czyje co jest?... Każdy się będzie bał, aby mnie dzieciska z gruntu nie wypędziły. Oj! kochany mój mężu! że cię teżto już nigdy nie będę widzieć!

— Cyt! cyt! moiściewy! (rzeknie Justyna) nie płaczcież tak, bo się z tego płaczu rozpukniecie! a mąż wam się i tak nie wróci!... A gdyby wam się też Jędrak załcał, chcielibyście go kumosko?... Setny chłop!!...

— Ej gdzieby mnie tam chciał Jędrak, kiedy on będzie szukał młodziej (odpowie Piotrowa), chłopci teraz wołają dziewczki jak wdowy! A ja tak nieszczęśliwa, żem też owdowiała i anim się z chłopem chyba małego ucieszyła przez te lat trzydzieści! Chłoposko ciekąło*) zawsze w dzień i w nocy za onym majątkiem, a przy chałupie mało siedział, chyba też tam w te święta, jak nadeszły.

— Więc też teraz użyjecie (rzeknie Justyna), jak będziecie mieć młodszego, bo macie już majątek, to chłop nie będzie potrzebował tak doganiać i woli około chałupy robić, jak się w polu

*) goniło.

umęczyć. Cóżście mieli, prawdę mówiąc, i z waszego nieboszczyka?... Klócił się z całą wsią i ze wszystkimi sąsiadami.

— To prawda (odrzeknie Piotrowa).

— Bijął was tak, że się prawie po całej wsi rozlegało, jakieście płakały.

— Oj! to prawda (przerwie Piotrowa), że zbója takiego poszukać było na świecie. Gdy był dobry, to jeszcze tam ulazł, ale jak się rozzłościł, toby się był jął bić rodzoną matkę.

— I żadnego rozporządku nie zostawił (rzecze Justyna) ani się przed śmiercią Bogu nie usprawiedliwił, tylko nie przymierzając skapał jak pies bez pogrzebu, że nawet dla was jest wstydem.

— Oj, prawda! (odrzeknie Piotrowa) że o to był już nawet przez księdza tyle razy strofowany, że o Panu Bogu i kościele wiedzieć nie chciał, tylko żył tam i żył bez wiary, jak nieboskie stworzenie.

— A syna też na takiego wykierował, jak i sam był (doda Justyna), co teraz gnąć może przez cały żywot w kryminale.

— Oj słusznie gadacie (rzecze Piotrowa), bo prawda! że on go tego kradzieztwa wyuczył, bo nie z kogo innego tylko z ojca miał tę wyćwikę.

— Więc niema go co żałować (doda Justyna)

i niech tam z Bogiem odpoczywa w świętej ziemi, a wy o innym myślcie, bo się bez chłopca nie obejdziecie.

— Oj, nie obejdę się, nie obejdę, moja kumorsko (rzecze Piotrowa), bo gdzieżbym ja sobie dała jaką radę z gospodarstwem. A córki wydawać nie myślę, boby mnie zięć chciał z chalupy wygonić; chyba żeby rolę sprzedać a podzielić się.

— Na co wam sprzedawać (przerwie Justyna), kiedy jak za Jędrka pójdziecie, to wywianujecie Kundę, a sami przy gospodarstwie się utrzymacie.

— Kiedy ja nie wiem (rzecze Piotrowa), czy mnie Jędrak będzie chciał?...

— Co nie ma chcieć! (rzecze Justyna) Ja go namówię i przyjdę do was jeszcze w tę niedzielę, a przywiodę go obces, byleście mu byli radzi.

— Cobym mu zaś nie miała być rada, takiemu chłopcu, co go nie kawałek, ale tęższy nawet od nieboszczyka! (rzecze Piotrowa). Tylko czy ksiądz da odrazu ślub?

— Coby nie miał dać! (odpowie Justyna) przecież mu zapłacicie!

— Zapłacę, ile każe, bo pieniądze po nieboszczyku zostało, co nawet córka o nich nie wie, gdzie są schowane, a ja podejrzwała.

— Kiedy tak (odpowie Justyna), to Jędrak was nie minie, bo jak mu powiem, że wiecie,

gdzie nieboszczyk zakopał pieniądze, to zaraz Jędrak przyjdzie do was z wódką.

— Ale czy będzie on mnie téż szanował? (zapyta Piotrowa)

— Co nie ma! (odpowie Justyna) Za same pieniądze was ukocha, i będzie się wam wywdzięczał, że z niego zrobicie bogacza, czego się ani spodziewał, bo całego majątku ma tylko dwa morgi pola i kawałek łąki.

Tak się pocieszała Piotrowa po stracie męża, gdy w parę dni potem w Krakowie toczyła się przed sądem sprawa jej syna, który pomimo dzielnej obrony adwokatów, na dziesięć lat ciężkiego więzienia wraz ze współnikami zbrodni skazanym został. — Wiadomość tę okropną doniesiono Piotrowej, ale ona była mniej czułą matką i pokwiliwszy się trochę, i narzekając na surowość sądów „które na tak ciężką karę skazały chudaków, że dusili jedną starą babę i to jeszcze kómornice“ uspokoiła się wkrótce, bo jej tylko w głowie był Jędrak, a ta myśl wszystkie inne przeważała. — To téż stroiła się Piotrowa w najpiękniejsze szaty;.. przechadzała się po wsi, aby Jędrka spotkać, po dwa razy na dzień bywała w karczmie, a z Justyną zawiązała się nierozrywana przyjaźń. — Radzono, mówiono, jakby Jędrka zwabić?! Aż wreszcie zgodzono się na to, iż najlepiej będzie za powrotem państwa na wy-

żynku we dworze wiaść się ostro do tej sprawy i serce młodego parobka podbić.— Ale wyżynek (czyli *okrężne*) miał się dopiero odbyć po zbiorze ziemniaków, a tu Piotrowej było pilno iść za męża, wedle przysłowia: „*W starym piecu djabeł pali*.“ Szalała więc kobieta i ogień miłosny zalewała i podsycala wódką, a wracając z karczmy, śpiewała i wykrzykiwała, aż się po wsi rozlegało. Śmiali się z niej parobcy, a dziewczki zazdrosne gnięwały się, „iż taka stara wdowa chce się gwałtem za męża wydać, kiedy młode dziewczki siedzą i męża dostać nie mogą, a przecież im piękniejby było wydać się za chłopca jak babie, która już tego użyła, i ma tyłą dziewczkę co i ona sama.“ — Kundzie też (córce Piotrowej) przykro było, iż się majątek niszczy i że się matce zachcięwa młodego chłopca, który (jak zwykle każdy ojczym) będzie ją krzywdził.— Gdy więc Piotrowa w karczmie przesiadywała, to znowu do domu schodziły się dziewczki na naradę z Kundą, a czasem też i Szymek syn bednarzów zaglądał, lecz nie śmiał wchodzić do izby, ale najprzód przez płot z Kundą rozmawiał i na matkę ją podburzał. Raz, gdy się już zmierzchno, a Piotrowa siedziała w karczmie, przyszedł Szymek do przelazu przy wrotach od podwórka i zaczął pokrząkiwać. Kunda usłyszała i wyszła na pogwarke, a Szymek jęz zapyta:

— Są matusia w domu? bo gdyby nie byli, tobym wlaźł do izby,

— Oj, nie chcę (rzecze Kunda), i na to się nie odważę, boby ludzie widzieli i roztrzeszczeliby po wsi, że do mnie chodzisz. Wolę tu pogwarzyć z tobą na polu, a jakby matusia wracali, to się za stodołę schowasz i nie zmiarkuj.

— Matusia twoja w karczmie piją (rzecze Szymek) i nie wrócą łapio, a jabym z tobą pogwarzył i cośbym ci powiedział.

— Ej, nie chcę Szymek, bo się boję, gdyż ty lubisz z dziewczuchami broić, i już mi się nie jedna na ciebie skarżyła.

— Głupiaś! to tylko dla śmiechu, ale nie ze złej woli (odpowie Szymek).

— Prawda!... dla śmiechu!... nie chcę ja tam takich śmiechów, broń Boże! (rzecze Kunda). Jużby trzeba ze wsi uciekać!... a matusia toby mnie zabiła.

— Oj! właśnie twoja matusia mieliby cię zabijać, kiedy sami gorsi od każdej młodej, bo od śmierci nieboszczyka, to tylko za chłopami oczyma zygają, a radziby się wydać. Przecież piękniej tobie się wydać coś młoda, jak jęz, co już w latach.

— Oni mnie tam wydać nie chcą (rzecze Kunda), bo sami wolą na gruncie siedzieć, jak obcego na grunt dopuszczają. Mnie przyjdzie iść

gdzie w służbę, bo cóżbym ja przy nich robiła, jak będą mieć chłopą?!

— To się z tobą Kundo ożenię i będzie! (rzecze Szymek) a przecież albo splecę dać nam musi, albo pół gruntu odstąpić.

— Czy ja wiem? (rzecze Kunda) możesz ty oszukaniec i tylko tak ze mnie kpisz?

— Co mam kpić (odpowie Szymek), kiedy ci doprawdy mówię i zaręczam, iż byleś mnie chciała, to cię duchem pojmem; a teraz sobie usiądziemy w izbie i będziemy gwarzyć, bo na polu nijako.

— Ale na niedługuśko Szymek, bo matusia powrócą (rzeknie Kunda).

Szymek przeskoczył przez opłotek, Kundę objął za szyję i zawlókł (jak pajak muchę) do izby. — Po chwili wyszedł i prędko znowu przez płot skoczył, a nie obejrzawszy się drogą, biegł, aż wkrótce między chałupkami i opłotkami zgiął. — Kunda usiadła na progu, głowę dłonią podparła i zamyślona siedziała. — O czém myślała?... nie wiem!... Zapewne o tém, co z sobą oboje z Szymkiem mówili. — Nie długo potem wracała Piotrowa z karczmy. Zapytała się Kundy, czy kto w chałupie nie był? Ale Kunda powiedziała, że nie było nikogo. — Tymczasem Szymek wychodząc, kij wyrzynany i ołowiem napuszczany (jak to owczarze noszą) na stole zostawił, i spiesząc się, wziąć go zapomniał. —

Kunda dostrzegła, i zanim matka się w izbie rozpatrzyła przy rozświetlonym małym na kominię ogarku, Kunda zręcznie zakręciwszy się, kij wyniosła i w strzechę od chłewa wsunęła, a powróciwszy, kręciła się około gospodarstwa. Matka usiadła na ławie, i oparłszy głowę na stole, zasnęła; bo zapewne nie jedną szklanek miodu albo piwa skosztowała. — Tymczasem Kunda przygotowała wieczerzą i czeladź w sieni około miski zasadziła.

XXVIII.

**Wyżynek czyli okrężne
we dworze.**

Już wszystkie prawie zebrano ziemniaki, ukończono zimowe zasiewy, i już się pola zieleniły nadzieją przyszłorocznych zbiorów, kiedy państwo z kąpieli jeszcze nie wracało, chociaż się ich codzień spodziewano. — Mieli gdzieś jechać na winne jagody, daleko, aż pod francuzką granicę. — Wreszcie jednego ranka ekonom się kręci, dysponuje w stajni, biega do wozowni. — Wytaczają powóz i bryczkę, ładują furę, i wieść się rozchodzi, iż pan ekonom konie wysyła do państwo, a jak tylko przyjadą, będzie suty wyżynek! — Dziewuchy od dawna miały przygotowane wieńce. Jeden był uwity z kłosów pszenicy w cztery żebra, i ubrany wstążkami i piernikami; drugi zaś był owsiany w sześć żeber, ubrany jabłkami i włoskimi orzechami złoczanymi, oraz płatkami z czerwonego sukna wykrwanymi a na szczecinie się chwiejącymi; trzeci

zaś był bardzo sztuczny, bo z samych laskowych orzechów, które na słomie się trzymały, to jest, iż każdy był słomą na krzyż przepleciony. — W parę dni państwo przyjechali... i we wszystkich oknach błyszczało światło jakby w latarni! Aż miło, bo zaraz weselój, i jakoś więcej znaczenia, kiedy są państwo we dworze. — Chociaż się tam czasem włościanie na szlachcica gniewają, i na dwór mruczą i burzą się w karczmie, to przecież wielka im niewygoda, gdy tego szlachcica we dworze niema! — Coś we wsi brakuje, i wygląda wieś jak wojsko bez wodza, jak chałupa bez dachu i jak człowiek bez głowy. — Chłop polski potrzebuje dworu, tak jak naród potrzebuje stolicy; więc chociaż chłopci nibyto narzekają, utyskują, i zawsze tam coś dworowi znajdują przyganieć: to przecież bez owego szlachcica są jakby sieroty; bo ten szlachcic, chociaż czasem i nie najlepszy, to przecież ma większy rozum i zawsze się przyda, czy do rady, czy do pomocy w potrzebie, czy też już dla samej powagi. — Otóż bądź-co-bądź, ładniejsza jest wieś ze dworem, a jeszcze ładniejsza, gdy w tym dworze szlachcic poczciwy, bogobojny i sprawiedliwy mieszka i umie być ojcem gromady, przyjacielem ludu, i staje się dla niego wzorem cnót i obyczajności.

Gromada się szczerze ucieszyła, gdy pań-

stwo z podróży wrócili. — Na niedzielę był zapowiedziany wyzynek. — W piątek już wszystkie baby wzdłuż całej rzeczki, kijankami prały bieleznię, aby chędogo wystąpić na wyzyнку. Bieganki i krętaniny było dosyć... Jedna u drugiej pożyczła wstążek i paciorków na szyję, spodnie i fartuchów. — W ogródkach pobierano na wieńce wszystkie kwiatki, jako to: nagietki, bożedrzewko, sałwija i barwinek. — Buty wysmarowano spérką, a włosy i warkocze namaszczone masłem. W niedzielę był tłok w kościele, jednak już podczas kazania nie było zwykłej uwagi, i zaraz po mszy świętej wszyscy wylegli przed kościół na pogwarke i naradę, jakim porządkiem przed dwór pójdą. — Dziewczęta już podrygały, i nogi ich świerbiły do tańca, a parobcy podkówkami krzesali ognia. — Muzykanci czekali już w karczmie i stroili basy i skrzypce, a góral, który siekł we dworze przez całe lato, próbował kozy, czyli się z resztą kapeli zgodził. We dworze téż duże robiono przygotowania. — Pani dziedziczka nazwoziła gościeńców, i rozłożyła na stole wstążki, paciorki, medaliki, obrazki, książeczki, a dla pilniejszych chustki na głowę i zapaski; pan dziedzic przygotował pasy, koziki, czapki krakowskie, zapinki i kilka par butów. Pod jasionem stała na ławie duża beczka wódki, i dwie półbeczki tenczyńskiego piwa, a na stole

wino dla starszych, miód i esencyja dla kobiet, oraz chléb, sér, bułki, placki z sérem pokrajane, i szewskie placki dla młodziej gawiedzi.

Nieszpory były o drugiej i skończyły się o trzeciej — mało było ludzi, i to źle, ale może Pan Bóg wybaczy, gdy nie z pogardy albo z nieposłuszeństwa, ale raz w rok dla niewinnej uciechy, trochę się człowiek rozbałamuci.

Zaraz po nieszporach zebrała się bliższa dworu gawieź przed karczmą. Z małej najprzód kupki ludzi, urosła wkrótce ogromna czerniawa, bo i ze wsi okolicznych zeszedli do zabawy ochotnicy. — Sołtys i radni stają wpośród ciżby, i porządkują pochód, ustawiając i prostując szeregi. — Ale u nas, to się taki porządek (jak jest gdzie indziej) zaprowadzić nie da; bo co ich ustawia, to się lud jak stado owiec znowu w jedną kupę zbija.

Tą bezowocną mustrę przerywała muzyka, zagrawszy zwykłą symfonią, w której śpiew właściwy do wyzyнку odwiecznie jest ułożony. W tym śpiewie są pochwały państwa, a skarga na ekonoma i polowego. — Same tylko kobiety zameżne czyli gospodynie śpiewają, i idą zaraz za dziewczkami niosącemi wieńce, te zaś najpiérwsze postępują za muzyką. Za kobietami idą gospodarze milcząco i poważnie, trzymając ręce w kieszeniach, parobcy zaś idą za nimi a do-

piéro dzieci i młoda chołota boso i w koszulkach wyskakuje za wszystkimi, popycha się ze swawoli, przewraca i cieszy. Na kilkanaście kroków przed dworem, niewiasty podniosły głosu, i chociaż niezgodnie i krzykliwe, to przecież donośnie powtarzały zwrotki onych urzędowych pieśni; a muzyka zamilkła, aby się głos tém piękniej sam wydawał, a słowa były zrozumiałe. Stanał orszak przed dworem, dośpiewano do końca; państwo wyszli na ganek, powitali gromadę, a dziewczuchy z wieńcami, które podczas żniw przodkowały w pracy, obróciwszy się niby parę razy w tańcu, zdjęły z głowy wieńce, i złożyły je na stole w pokoju państwa. Państwo dali każdemu podarunek w gotowiznie i zachęcili do wesolej zabawy.

Muzyka usiadła na ławie pod jasionem i ucięła poloneza. Mężczyźni najznakomitsi dostojenstwem, wystąpili do tańca, jakoto: kowal, stolarz, bednarz, szewc, a za nimi kilku poważnych gospodarzy. Obeszli sami jeden za drugim parę razy w koło, a z ustawionych niewiast przybięrali sobie kolejno tancerki. — Gdy już każdy miał swoją, muzyka zmienia raptem nutę i przechodzi w krakowiaka. Gospodarze tańczą, obracając się jakby w walcu albo w polce, ale wkrótce muzyka ucina, i tancerze oraz tancerki znowu w tłum wracają. — Wtenczasto służba dworska

podarki i gościeńce wynosi. Pan ekonom czyta najgodniejszych i najgodniejsze do nagród, i te obdarzone z radością odchodzą, chwając się i pokazując otrzymane dary. — Zazdrość się obudza, tłum dziewcząt i chłopaków garnie się do państwa, za nogi chwyta, o podarki prosi; zasługi swoje przekłada i zaczyna się ów znany pisk: „I mnie téż — i mnie téż.“ — Państwo nie mają już co dać, tłómaczą się, wymawiają, ale głos ich ginie wśród pisku; ekonom i polowy rozpędza; państwo do dworu uciekają, ale to nie nie pomaga; obleżenie coraz większe i natarczywsze, tłoczy się aż do sieni. — Wtém pan ekonom zaczął rozdzielać wódkę! — Na tę wieść zbiegają się wszyscy, a otaczają w zwartych szeregach szafarza tego smacznego kordyału. Pan ekonom chciałby w tém zaprowadzić porządek i rozdawać kolejno, lecz ani sposób! Ten, który wypił na jednym końcu, przechodzi na drugi i znowu pije, kiedy się inni upominają, że jeszcze wcale nie pili. — Poważniejsi gospodarze trzymają się na boku, czekając na szlachetniejszy trunk, a kobiety piją piwo, które im szafarka rozdziela lub téż esencją pączową, która naszym krakowskim włościankom bardzo przypadła do smaku i stała się ich ulubionym trunkiem. — Muzykanci nicém nie gardzą i piją wszystko po kolei, bo wiedzą, że im sił potrzeba, i że nie

lada czeka ich zadanie wycinać od ucha, dopóki sił starczy. — Gdy już tanecznicy i tanecznice uraczyli się jadłem i napitkiem, stanął parobczak do krakowiaka i śpiewać począł, a prześpiewawszy, wziął z koła panią stolarkę i z nią przetańcował, wzywając innych do tańca. — Rzucili się i inni, a Piotrowa wyszukawszy Jędrka, porwała go prawie gwałtem i dalejże z nim w płasy! Ludzie śmiać się poczęli; Jędrak się zawstydział i przetańcowawszy, puścił babę i ukrył się w tłumie. Szczęśliwszym był Szymek do Kundy i Kunda do Szymka, bo jak się we dwoje do tańca dobrali, tak się już ciągle siebie trzymali i jedno drugiego nie opuściło. — Piotrowa upokorzona ale zaciekle, nie traci odwagi i odszukuje Jędrka, a znowu słodkimi słowy do tańca wzywa, mówiąc do niego: „Czegóż mi się wypierasz Jędrusiu, kiedy ja ci rada aż strach! i grunt na ciebie zapiszę i co zostało po nieboszczyku, to będzie twoje.“

— Ej, dajcie mi tam pokój (rzecze Jędrak) próżno się oto z was i ze mnie ludzie śmieją! Takaście już letnia, i powinniście statkować, a wam się jeszcze byle czego zachciéwa. Ja waszego majątku nie potrzebuję, ani się z wami żenić nie chcę. Prędjébym się tam jeszcze z waszą córką ożenił, ale kiedy już do niej bednarczyk chodzi, to niech dokończy, co zaczął.

— Widzicie?! (rzecze obrażona Piotrowa) młodszéj mu się zachciéwa! Chciałby Kundy!! Otóż nie będziesz jéj miał, i ani jéj powachasz!! Ja sobie znajdę chłopca jeszcze tęższego od ciebie, a ty zostaniesz na zawsze nędzarzem tak jak dzisiaj jesteś, i jeszcze mnie będziesz o kawałek chleba prosił, bo ja mam po nieboszczyku pełny garnek pieniędzy, a wszystkoby było twoje, gdybyś mnie był chciał, a teraz to się ani na te pieniądze nie popatrzysz.

Justyna widząc, iż Piotrowa rozmawia z Jędrkiem, zbliżyła się jako swatka, i pyta się: „kiedy ją zaproszą na wesele“?

— Idźcie do djabła z waszém weselem (odpowie znudzony Jędrak), mogłaby mi być babką a czepia mi się jakby jaka pokusa! Boże odpuść!!

— Aleś głupi chłopie! (rzecze Justyna) gardzić takim majątkiem! gdzież ty takiéj baby dostaniesz?...

— Dajcie mi pokój!! bo nie chcę! (rzecze Jędrak).

— Musisz chcieć!! (odpowie Justyna) bo ja twoja ciotka, więc ja ci każę.

— Choćbyście mi nie wiedzieć jak przykazali (rzecze Jędrak), to słuchać o tém nie chcę. Wolę iść w służbę za wolarza, jak się ze starém babskiem wiązać. — Czy was licho jakie opętało, czyście się wódki opili, czy co?....

— Słyszycie?! (rzecze do Justyny Piotrowa) jemu się Kundy zachciewa!!

— Nie zachciewa mi się (odpowie Jędrak) bo wam powiedział, że kto zaczął niech i skończy.

— Widzicie!! (rzecze Justyna) Kundy mu się zachciewa!! A cóżbyś ty miał z Kundy?...

— Ja bym tam już nie miał (odpowie Jędrak), chyba Bednarczyk to prędzejby co miał.

— Nie miał ty gębą o Bednarczyku (rzecze w gniewie Piotrowa), boby tu prędko przyszło z wami do okazji. Jego na oko w chałupie nie widziałam, ani Kunda z nim słowa nie mówiła. Dopiero pierwszy raz jedno się drugiego do tańca chwyciło. —

— Oj, niech cię Bóg broni Jędrku takie nawet słowa z gęby wypuszczać (doda Justyna). Kunda jest dziewczucha jak szkło i w takie interese się nie wdaje, ale dla ciebie ona za młoda, tylko co Piotrowa, to dla ciebie prawie. —

Jędrak już nie odpowiadał, tylko zabrał się i odszedł z wyżynku, bo go baby nudziły i wstydził się ludzkiego pośmiewiska. Piotrowa widząc to, rozplomieniła się gniewem i wreszcie upokorzona, nie chciała także być przedmiotem ludzkiego urągania. — Poszła więc do koła tańczących i wyciągnęła Kundę, mówiąc ze złością: „Dość się natańcowałaś, pójdź do domu”. — Prosiła się córka, prosił i bednarczyk i chwycił

Piotrową za nogi, ale nic nie pomogło; baba się uparła, wzięła córkę za rękę i ciągnęła do domu. — Wstawiała się już i Justyna, ale i ta uporu przemódz nie mogła. Ludzie zobaczywszy to, jeszcze bardziej śmiać się poczęli i różne robili wnioski, które nie wychodziły na korzyść ani córki ani matki.

— Już się wyżynku odniechciało Piotrowej, jak Jędrak odszedł (mówili jedni).

— A może też i syna bednarzowego zazdrości córce (mówili drudzy).

— Już też to takie babsko niemiłe (rzekną inni), że wolałbym całe życie bez baby zostać jak się z nią żenić. —

— Ona cały ten majątek po mężu straci (doda ktoś z boku), bo tylko pije a za Jędrkiem lata!

Kiedy tak surowo a może i sprawiedliwie, ludzie Piotrową sądzili, ona w domu odbywała zawziętą ze swą córką walkę, bo Piotrowa widząc, że córka się więcej od niej podoba, znieść tego upokorzenia nie mogła, i obiecała jęj dokucać, szpiegować i najtwardszą obciążać pracą!

Już była blisko północ, a tancerze tak się rozchulali, dziewczęta tak się rozhasały, iż byłyby się do białego dnia zabawiały. — Lecz świece jedna po drugiej gasły w latarniach, a innych nie osadzano. — Wódka, piwo i inne trunki, do suchej kropli wyszynkowano, a inną już nie

dawali. — Na trawnikach leżeli tu i owdzie pijaki, a niektórzy wracając do domu, przewrócili się na drodze, lub potoczyli się w rów, lub zalegli w poprzek groblę do karczmy wiodącą. — Dzieci zebrawszy się w kupki, zasnęły w klombach jak w gniazdku pisklęta! Państwo też chciało spocząć, bo dość mieli tych basów i skrzypców grających zawsze na jedną nutę. — Ekonom więc potężnym głosem odezwał się: „spać już dzieci! spać! Jużście się dość nabawili!“ Gospodarze i baby nawpół pijane, poszły do dworu dziękować za uciechę; te ostatnie chciały się wdać w przydłuższą gawędę, ale ich pożegnano. — Muzyka więc na czele grała poloneza, a za nią sypnęła się gromada, przeraźliwie pokrzykując i hukając, i zamierzyła wstąpić do karczmy, aby dotać do rana. — Żyd atoli zmiarkował, iż będzie więcej bałamuctwa i zabijatyki jak pijaństwa i zysku, do karczmy ich nie wpuścił, ale im się rozejść kazał. Radzi nie radzi, zabierali się do domu i rozsypywali się po różnych drogach i ścieżkach, pokrzykując i śpiewając, ile kto miał gardła!...

Na drugi dzień ogrodnik rozpoznać się nie mógł z dziedzińcem. — Koła przez tancerzy wydeptane, nie pozostawiły ani jednej trawki, lecz przedstawiły obraz klepiska. — W klombach krzewina i kwiaty połamane i zniszczone. — Poręcze

połamane, bo na nich tłumnie siadano. Słowem ogrodnik za głowę się wziął nie wiedząc, od czegoby zacząć, aby do dawnego porządku przyprowadzić wypieszczony dawniej dziedzińiec! — Czeładź się też dworska popiła, zasnęła, i w poniedziałek nie było żadnej roboty, albo tak licha, iż za nie jój liczyć nie można. — Ekonom się gniewał, ale Pan się cieszył, iż się gromada ubawiła, i że jakieś miłe wspomnienie gościnnego we dworze przyjęcia zachowa. — Uważano, iż Wojciech z Zośką nie byli na wyzynku; lecz się to łatwo pojmuje, gdyż Wojciech, człowiek spokojny, nie lubił zgiełku ani hulatyk, a Zośka nie umiała tańcować, i nigdy tego nie lubiła, bo nigdy w życiu na żadnej muzyce nie bywała. — Matka byłaby jój nie pozwoliła, wreszcie, nie miałaby i w czém na zabawy chodzić, a co najważniejsze, to, że Józek na wojnie!! więc jakżeby ona mogła się weselić, kiedy on tam może krew leje. — Nazajutrz jednak przyszły niektóre sąsiadki i opowiadały o wszystkim, a także i o Piotrowej i o jój zadaniu się. — Dodały wreszcie, że jakoś Szymek bednarczyk bardzo się Kundzie zaleca, i że byłoby dobrze, gdyby za niego matka Kundę wydała, gdyż chociaż nie posiadając (broń Boże) to im się coś zdaje, że Kundzie czas iść za Szymka! — Zośka jój broniła, i oburzała się na to posądzenie, twierząc,

iż ona jest dobra i spokojna 'dziewucha, i że zawsze jest w pracy. Ale że to przysłowie niesie, „iż wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi“ przeto musiała tam jakaś ciekawa sąsiada coś podejrzyc, i dla tego przy swoim posądzeniu obstawała. — Wojciech tém więcej był uradowwanym, iż na wyżynku nie był, że w te plotki go nie wzięszano, a spał sobie spokojnie w domu. — Dawno nie miał listu od syna, i to go bardzo trapiło. — Gdy zaś przecucie, jakie miał przy powrocie z odpustu, sprawdziło się; więc teraz znowu męczył się i dręczył przecuciem, iż Józek chory, i ciągle o tém mówił. — Zośka zaś i Agnieszka, które więcej miały w Bogu nadziei, nie podzielały obawy Wojciecha, chociaż także utęskniały za świeższą od Józka wiadomością. —

XXIX.

Rozprawa z Szymkiem.

Piotrowa zważywszy już o możności posiadania Jędrka, byłaby w ostatnim razie poszła i za Szymka bednarczyka, ale pomiarkowała, iż on znowu więcej się córce jak jej zalęcał, i mocno tém oburzoną była. — Zazdrość jej codziennie się wzmagała; stósunek z Kundą stawał się trudniejszym, i dlatego wspólne pożycie było prawie niepodobnym.

— Idź sobie gdzie w służbę (mówiła Piotrowa do córki), bo ja cię na oczy moje widzieć nie chcę i próżno mi tu w domu zawadzasz. — Ani z ciebie pracy, ani żadnej w domu pomocy. Strzełasz tylko ślępiami za tym Szymkiem, a ja cię za niego nie wydam, ani on cię téż nie chce, gdyż z czegoż się z tobą ma żenić? kiedy ja ci ani zagona z gruntu nie ustąpię, bo jak Tomek (syn) z kryminału wróci, to gospodarstwo będzie na niego.

— Gdzież ja pójdę? (odpowie z płaczem Kunda), kiedy nikt mnie do służby nie przyjmie, gdyż tatusia cała wieś nie cierpiała, a Tomek za kradzież siedzi w Krakowie.

— To idź do drugiej wsi (rzecze matka), zawszsze ludzie do roboty dziewczki potrzebują.

— Kiedy mnie już koniecznie wypędzacie (rzecze Kunda), to i pójdę, gdzie mnie oczy zaniosą, tylko o to mi chodzi, że się Szymek obiecał ze mną żenić.

— Widzicie?! (rzecze Piotrowa) żeniaczki się jęj zachciewa próżniakowi?! Właśnie, będzie się z tobą co tchu żenił!! — Gdyby ojciec z grobu zmartwychwstał, toby cię tak kijem za to pomysłenie przeparzył, iżbyś nie wiedziała, zkądęś rodem!!... Oto, weź łopaty i idź mi zaraz w pole poprzebierać rowki około oziminy, a spuść wodę na sąsiadowe pole, aby mi ozimina nie wygniła. A od drugiej niedzieli wystaraj mi się o służbę, bo ja cię w chałupie cierpieć nie będę.

Kunda wzięła łopatę, i popłakując, leniwo szła w pole, kiedy spotyka na drodze Szymka i opowiada mu o tém, co zaszło w domu, a razem narzeka na niego, iż ją nieszczęśliwą uczynił, i „że się ledwie gdzie nie zapodzieje.“ — Szymek jak może tak się tłómaczy i zaręcza, iż się chce żenić, ale że mu ojciec broni, lecz że ma nadzieję przejednania ojca i doprowadzenia tej

rzeczy do skutku. — Wreszcie naradziwszy się z Kundą, na tém stanęło, iż on pójdzie do Piotrowej i przyzna się do wszystkiego, a będzie jęj prosił, aby córki z domu nie wypędzała, ale mu ją oddała za żonę. — Kunda przewidywała, co ją czeka za powrotem, jednak zdawało się jęj, iż trzeba już raz tę rzecz skończyć i winę wyznać. Poszła więc z płaczem w swoją drogę, a Szymek poszedł do Piotrowej.

Gdy Szymek wszedł do izby, Piotrowa uradowana, mile go powitała, opowiadając, iż właśnie przed chwilą rachowała pieniądze po nieboszczyku mężu, których jęj sporo zostawił, tak, że będzie mogła dzieci spłacić a sama się utrzymywać przy gruncie. — Tylko o to jęj chodzi, że nie może sobie dać rady z tak wielkiem gospodarstwem będąc wdową, a nie mając żadnej pomocy. „Kunda (rzecze ona), jest mi tylko zawadą, bo z tego próżniaka, żadnej nie mam wysługi. A więc, chociaż nie chciałam (rzecze) iść za męża, to widzę iż koniecznie na to przyjdzie.“—

— Słysząc było na wsi (rzecze Szymek), iż wam się Jędrek zaleca, tyłkoby rad, żebyście piérwój córkę za męża wydali.

— Prawda (odpowie Piotrowa), iż Jędrek koniecznie się chciał ze mną żenić, ale ja go nie chcę, bo to łakome chłoposko, któreby zawczasu chciało wszystko zagarnąć; a potém jabym ci

coś Szymku powiedziała, gdybyś mi dał wiarę.

— Cóż? powiedzcie mi gospodyni (rzecze Szymek), przecież ja wam zawsze daję wiarę.

— Oto ci powiem Szymku (rzecze Piotrowa), iż mi się ty sto razy więcej udajesz jak Jędrak; bo jesteś na gębie przyjemniejszy, i słodziuśki, a tamten chłoposko jakby niedźwiedź!

— Ej! cóżby wam też ze mnie przyszło (odrzeknie Szymek), kiedy ja się z wami żenić nie mogę, choćbym chciał z duszy serca.

— Czemuż się żenić nie możesz?.. (zapyta ciekawie Piotrowa) nie stać cię to żenić się ty lemu chłopu?..

— Nie o to chodzi, moiściewy! (odpowie Szymek), tylko że mi się nie godzi.

— Jakże ci się nie godzi? (zapyta jeszcze ciekawiej Piotrowa).

— Oto (odpowie Szymek), gdyż mnie się parzy żenić najprzód z waszą córką.

Piotrowa zrozumiała zagadkę i wpadłszy w największą złość, chciała ożogiem bić Szymka; co mu zaś powiedziała, tego powtarzać nie wypada. — Dosyć, że po wielu krzykach i płaczach rzekła. —

— To ją sobie od dziśdnia weź, i niech mi się na oczy nie pokazuje, bo ona już nie jest moją córką, ani ją za swoją przyznać nie chcę. — Ja ją zabiję na miejscu, gdy tylko przyjdzie

i uśmiercę ją, za ten despet co mi ona sprawiła!... Co tu ludzie powiedzą we wsi, i dopiero mi będą dokuczać! —

— Ludzie dobrze wiedzą (odpowie Szymek) o waszych sprawkach, a i tak wam uchodzi, więc prędziej Kundzie przebaczą jak wam — ale gdybyście Kundę chcieli bić, to wam zapowiadam, iżbym ję bronił, a na wasbym wszystko co wiem ludziom rozpowiedział. —

Że zaś Szymek obznajomionym był z różnemi tajemnicami domu, przeto wiedział wszystkie sprawy Piotrowej, i jedną za drugą ję wylizował, pytając: „czy już dość, lub mam jeszcze więcej gadać?“ — Piotrowa przestraszona, iż Szymek zna te wszystkie sprawy, a razem upokorzona, musiała z Szymkiem zawrzeć ugodę, że mu dobrowolnie da córkę i wesele sprawi; powtóre, że za córką da splecki dwieście reńskich, krowę, korale i morgę gruntu na sześć lat; a na ostatek, że córki bić nie będzie ani ję prześladować; bo gdyby się ważyła, to się cała sprawa wytoczy. — Kiedy na tę ugodę Piotrowa przystała, powróciła właśnie Kunda z pola, i rzucając łopatę, prostowała znużone kości, gdy ję matka rzekła:

— Pójdź tu Kunda na sprawę: Oto mi tu Szymek upadł do nóg proszący, abym cię za niego wydała; alem ja się wagowała przyrzec

mu, bo nie wiem twojej myśli, czy chcesz iść za niego? Więc powiedz! (z cicha) psia wiara!

— Jużci muszę matusiu (odpowie Kunda upadając matce do nóg), kiedy tak wypadło. — Bez tego tobym była matusi zaraz Szymka odstąpiła, bo mi tam nie było tak pilno iść za matę jak wam matusiu!

— Mnie się nie spieszy (odpowie matka), ale tobie więcej.... (suko)! bo już ludzie gadają, a jeszcze więcej o tém gadania będzie.

— Nie będzie tam jeszcze matusiu (odpowie Kunda), byle się Szymek chciał prędziej ożenić.

— Ja tam nie wiem koniecznie kiedy (rzecze Szymek), gdyż dopiero muszę tatusia uprosić, bo oni mi się nie dadzą żadną miarą żenić, i chyba się teraz na dwieście reńskich złakomią. Ale gdyby nie chcieli pozwolić, tobyście musieli dołożyć jeszcze ze sto, albo drugie tyle!

— Na świecie, nigdy (odpowie z gniewem Piotrowa), a cóżby mnie zostało?

— Zostałby wam grunt i całe gospodarstwo rzeknie Szymek), a nambyście tylko garnek oddali, co był pod węglem chałupy, bo to prawdziwisko na wiano Kundy.

— A dowiedziesz mi zbójni garnka? (zapyta w gniewie Piotrowa).

— Dowiodę, bom widział (odpowie Szymek), bo siedziałem za ulem w sadzie, kiedyście go

pod wieczór wydobywali. — A wreszcie wy wiecie dobrze, iż ja całej sprawie rozumiem, i że co chcę, to z wami uczynię, jeżeli mi się sprzeżiwać będziecie.

— O! ja nieszczęśliwa! (rzecze łkając Piotrowa). Ten zdrajca stał mi ustawnie na zdrazie, a jam nie wiedziała. — Jużci kiedy mi chcesz wydrzść pieniądze, wydrzję mi i życie.

— Mnie tam po waszém życiu nic, i życie sobie i sto lat (rzecze Szymek), ale wywianować musicie Kundę jak się patrzy, i dać jej te talary i zastawne korale co były w garnku, a ja tatusia uproszę, aby mi się żenić dozwolił i jutro dam na zapowiedzi z waszą córką. — Wy zaś najlepiej zrobicie, jak pójdziecie za waszego paroka, bo go już znacie i on was, i z gruntem się też zna, to będziecie mieć z niego gospodarza. —

— Cóż mam robić uboga sierota (rzecze Piotrowa), kiedy mnie zdierasz jak ten Wawrzek co ze skóry łupi, i zabierasz mi co do ostatniego grosza!... Oj! czy-też-to na to moj nieboszczyk zbierał, aby się pieniądze takiemu zbójowi dostały?!

— Nie przezywajcie mnie gospodyni! (odręcznie zniecierpliwiony Szymek) bo się na was pomszczę i rozpowiem ludziom. —

— A dyż! stul gębę bestyja! (odpowie Piotrowa) i kiedy ci płacę, to nie szczekaj. —

— To też nie chcę gadać, ale jutro z tatusiem przyjdę i przy sołtysie odliczycie wiano Kundzie — dacie jój korale i przyobiecacie sprawić za trzy tygodnie wesele. —

To powiedziawszy, uchwycił Piotrową pod nogi, Kundę pozdrowił, i włożywszy czapkę na bakier, szedł sobie szumnie jak jaki bogacz do domu. —

Piotrowa w największej rozpaczce, nie wiedziała czego się jąć i co począć? Radaby wybrać Kundę, ale się Szymka bała, więc naokoło nie chodziła a pięści ścisnęła. — Wreszcie odezwała się do niój:

— I czegoż mi tu parchu na drodze stoisz i na mnie spoglądasz? czy jeszcze chcesz co prześpiegować?

— Ja o niczym nie wiem matusiu, (odpowie Kunda) i anim was podzierała, ani się w nic nie wtrącam. —

— O, widzicie ją!! (rzecze matka) Jaki to świątek z różkami, ktoby cię nie znał, toby cię kupił, a z Szymkiem toś się do sadu wyprowadzała, na prześpiegi. —

— Nigdy z Szymkiem w sadzie nie była (odpowie Kunda), jak życie!

— Nie byłaś!... a gdzieście z sobą rozmawiali? (zapyta matka). —

— Ej, to tam raziczek tylko jeden z nim mówiłam, jakieście siedzieli w karczmie matusiu, coście za tym Jędrkiem gonili, to Szymek wlaź do izby. —

— Widzisz ją?! raziczek tylko!... (rzecze pomieszana matka) Żebyś się obraży Boga nie bała, tobym cię tu zabiła na miejscu, za te podzieranie. Jeszcze będę płacić za to i szkodować na moim majątku, aby dziewczkę taką wianować, co nie wartoby, tylko ją obmyć i obwiesić!...

Na drugi dzień przyszedł z rana bednarz z synem, sołtysiem i dwoma gospodarzami — zrobiono z Kundą zrekowiny. — Piotrowa złożyła Sołtysowi wiano Kundy w samych pruskich talarach (za rękę) i trzy sznurki zastawnych korali, a obiecała za trzy tygodnie sprawić wesele. — Chciała się skarżyć i lamentować, ale Szymek spojrział na nią, i zaraz umilkła. — Sołtys jój zaś zapowiedział, że i grunt do niój nie należy, ale do jój syna, który gdy wyjdzie z kryminału, upomnieć się o niego może; więc jój życzył, aby się ustatkowała i uzbierała sobie przez te dziesięć lat jaki grosz na stare lata, bo wyjdzie na uboższą jeszcze kómornicę jak była nieboszczka Regina. — W istocie Piotrowa usłuchała rady, bo po-

szedłszy za mąż za parobka, do karczmy przestała chodzić i wzięła się do pracy, a ślub jój odbył się w tydzień po ślubie córki. Z Kundą a dzisiaj Szymkową pogodziła się, i jeżeli między niemi nie było nigdy gorącój miłości, to przynajmniej nie było już swarów i obrazy Bożej. Szymek był chłop gospodarny, kupił grunt, a że też ojcowskie posiadał rzemiosło, więc w dwójnasób zarabiał i dobrze mu się powodziło.

Lecz zajmując się Piotrową i Kundą, straciliśmy z oczu Zośkę, Wojciecha i Agnieszkę, o których nam głównie chodzi; wróćmy więc do nich z tym większym pośpiechem, iż wojna się we Włoszech toczy, i nie jeden życiem odwagę przypłacił. —

Powiadaliśmy, iż Wojciech smutne miał przeczucia i ciągle o nich mówił. Otóż na domiar frasunku miał i sen taki, „że się dwa jastrzębie w powietrzu biły, a jeden drugiego tak silnie dzióbem ugodził, iż ten spadł na ziemię. Wojciech chciał tego leżącego jastrzębia złapać, ale mu uciekł: dopiero jakoś później widział tego samego jastrzębia, siedzącego przy chałupie na gruszy, ale z ustrzeloną nogą. — Rozmaicie sobie Wojciech sen taki tłómaczył i bał się, czyli ten jastrząb, który upadł, nie jestto właśnie jego syn Józek?! Agnieszka wzruszała ramionami

i dziwiła się, że człowiek taki stateczny jak Wojciech, snów dochodzi!... Zośka nie brała tego tak lekko i obojętnie, bo od czasu snów matki w chorobie, wierzyć w to poczęła, a więc razem z Wojciechem dochodziła znaczenia snu, i prosiła ojca, aby Florczykowi list napisać kazał, i aby się jako można dowiedzieć, co się z Józkiem dzieje? — Lecz jak się pokaże, to było już zbyt późno. —

XXX.

Przeczcucie w części usprawiedliwione.

Ile razy dowiedział się Wojciech, że kto jedzie do Krakowa, tyle razy prosił, aby się pytano na pocztach, czyli do niego niema listu od syna. — Ale co wtorek i piątek wracali ludzie z targu, a nigdy ani listu ani wieści nie przywieźli. Aż wreszcie Łukasz przyjechał za interesem do miasta i wróciwszy, zajechał prosto do Wojciecha, donosząc mu, że już pokój między cesarzami austryjackim i francuzkim stanął, i wojny już nie będzie, a razem oddał mu list od syna pisany, jak powiadano, z Wenecyi. Że zaś nikt pisanego czytać w domu nie umiał, a już było późno w noc, przeto trzeba było czekać do rana i poprosić Florczyka, aby oddał tę przysługę. — Gdy Łukasz odszedł, Wojciech ucieszony zakończeniem wojny, a uszczęśliwiony listem od syna, rozpieczętował go, a razem z Zośką przyglądał się przynajmniej pismu, którego

nie rozumiał i chciałby był odgadnąć każdą literę, ale napróżno! Mówił przeto Zośce:

— Za moich czasów to szkół po wsiach nie było, a więc nie dziwota, iż ja pisanego czytać nie umiem i zaledwie znam numera do dziesięciu, ale co mi dziwno, że dzisiaj, choć jest szkoła we wsi, to rodzice do niéj dzieci nie posyłają, i aż żandarmy muszą je wyganiać do szkoły. Cobym ja dał za to, abym mógł teraz list od Józka przeczytać, a tak to musimy czekać do rana. Musiał zaś Józek ciekawości napisać, bo tego listu jest więcej jak tamtego.

— Dość na tém (rzecze Agniészka), iż na mojm stanęło, i że Józkowi nic się nie stało, kiedy od niego list macie, a pokój już nastął, więc już Józka dziękować Bogu, nie zabijają. — Tylko to gorsze, iż go na ośm lat wzięli do wojska, to go może nie puszczą i będzie się tam chudak marnował we włoskim kraju, a tuby się przydał do gospodarstwa.

— Może go téż po wojnie puszczą na urlop (rzecze Wojciech), to i to dobre, co się z nim choć jaki czas ucieszymy, ale i tak żenić mu się nie dadzą, i musi Zośka długo na niego czekać.

— Mnie tam o to nie chodzi (odpowie Zośka), tylko mi chodziło, aby go nie zabili; a jak wysłuży swoje, to go téż już nie wezmą przez całe życie. Dla was gorzej tatusiu, bo nie macie

w nikim wyręczenia, a choćbyśmy chciały wam pomódz, to chłopskiej robocie nie potrafiemy, ani zarządzićbyśmy nie umiały, tak jak się patrzy.

— Totéżto (doda Agnieszka). Ja już za stara a Zośka za młoda, to dwie takie gospodynie za jedną dobrą nie obstaną.

— Już ja tam z was kontent (odrzeknie Wojciech) i od czasu jak mieszkamy razem, to o pół mniej jest rozchodu, a przecież i bydełko się poprawiło i trzoda lepiej wygląda i czeladź się na jadło nie skarży. — Tylko zarobić w polu to nie ma kto, bo ja już za pługiem przez cały dzień nie uchodzę, a parobek robi byle zeźgał, wreszcie co mi tam za parobek, co mu dopiero czternaście lat.

— Oj! bardzoby się Józek przydał (rzeknie Agnieszka), i może téż Bóg da, że go puszczą, jeśli tam już ta wojna ustała. — Mój Boże! po co to i te wojny na świecie?... Jak się w karczmie chłopi po pijanu pobijają, to prędjéj już na to zezwolę, bo po pijaku to nie można czego innego żądać, ale że się panowie tém zabawiają, to nikt przyczyny nie zgadnie. — To musi być przez taką zazdrość, przez taką zawziętość jeden na drugiego!... Jeden z drugim przyjdzie na złe słowo i powie mu tak albo owak, i jużci ztąd wojna! Jeden nazwołuje swoich ludzi, a drugi swoich, i kazują się im mocować i do-

piéro który którego przeprze, to wygrał, i potém zgoda i rzekną sobie, dajmy sobie pokój i rozejdźmy się każdy do swego domu. — Tak téż i teraz musiało być tam we Włochach, i nie jeden z naszych musiał ich poprać, bo nasze setne chłopy i nie dadzą się lada komu; więc jak się przekonali, że z naszemi chłopami nie można zaczynać, tak się i pogodzili.

— Ale nie o to chodzi Agnieszko! (rzecze Wojciech) bo wy tego babskim rozumem nie dojdziecie. — To nie chodzi o złe słowo, tylko o to kto ma rządzić. — Jeden rządzi, a i drugiemu także się chce rządzić, więc o to wojna. A często chodzi i o ziemię, coby jeden chciał jéj mieć więcjéj a drugi mu nie da. — Więc o to sprzeczka!... Dopiero nasprawdżają harmat, koni, żołnierzy i ustawi ten swoich na jednéj stronie, a tamten swoich na drugiej, i każe im strzelać — Więc jak wypalą do siebie, to połowa z jednéj strony padnie a połowa z drugiej. Aż jak jednéj już zabraknie ładunków, dopiéro rzecze do tamtéj: „*Halt*“ czyli: „dajcie pokój.“ I starsi się zjeżdżają i spisują ugodę, że albo jeden drugiemu ustąpi, albo się bez pół podziela, albo jak tam wypadnie. Więc téż i teraz musieli tak zrobić i wojnę ukończyli chwała Bogu! bo nic dobrego z wojny nie przyjdzie.

O świtaniu nazajutrz posłano po Florczyka,

z poleceniem, aby zaraz przychodził.— Jakoż obudzony ze snu, prędko się zebrał i nadszedł, pytając coby było tak nagłego?... Powiedziano mu że już od wczorajsza leży list od Józka, a nie ma go kto przeczytać. A więc Florczyk zasiadł pod oknem, wpatrywał się i rzekł, że to nie ten sam kapral, co dawniej, musiał pisać, bo ten sady listy z niemiecka, a pisze jakby z węgierska.— Wojciech niecierpliwy, prosił aby czytał jakkolwiek bądź jest napisane, gdyż ciekawy jest wieść o dzieć, czy syn zdrów i czy żyje?— Jakoż Florczyk dukając i jękając się, czytał.

Szacowni Roditeliu!

„Piszem do was z militer-szpital, gdzie sem leżim nemocny. — Bo jak był sem na wojnie z temi tu sakramenckimi hrancuzami, tak mi jedyn nogu prestrelił durch und durch, a drugą mię bagnetom szcichnuł. — To su te sakramenckie soldaty, co się zwu *zwawy* (zuawy), którzy przychodzu z Afrikanckiego Landu. — Ale i ja im parę szuszów posyłał, a też piguleczku dał spożiti, tak, że się sem jeden o ziemi powalił i zamier. — Wasze pisenie Szacowni Roditeliu i tuż od Panna Zofia odebrał, i byl sem uradowany z teho, bo was bardz lubim i milujem.— Teraz mezy naszym najjaśniejszym Cesarzom a Hrancuzom i Italiją stanął mir albo ugoda i u

wojny ne bude, chyba za sto let. Wzdy ja sem jako plejserowany inwalid do domu se nawrótim, a už w doma budu sedyty z wami pospółom. Jeszcze ku wam poslem pisenie, gdy z tutaj wyjadem, aby mnie u Krakowa pry koleju abwartowali, a mi neznane za kiedy wyjdu z tehotu militerszpital, bo postupyty ne mogu, i leżim w plejserirtsztubu. Mlowil do unterarcta pan oberarct, że za dwa tydnia mogu byt transportowany. — A jak tylko do domu se nawrotim, tak chcu zaraz szlubowaty pannie Zofija, bo je lubim i milujem. Paniu Agneszku pozdrowim i wszzech prijatieli bardz. — Tu sem stoi w Wenedigu nasz regiment w lagrze, ale mene dadzu absziteruneg na celi żywot, na tentu sposob, że sem jest inwalid, i na prawu nogu falowny. — Prosim was szacowni roditeliu, abych do mnie tutki piseli, do militerszpital w Wenedich, i panna Zofija czy mie wzdy miluje, jak i ja ju milujem? — Pieniezy trochy niewiela potrzebujem. — Wasz poddeny a milujący syn

Joseph ***
Gemeiner.

Tuten list pisel Fritz Gänsel Coporal.

Po przeczytaniu tego listu bardzo się Wojciech zmartwił, iż Józek ranny i leży w szpitalu, a Zośka rzewnie się rozplakała, ale Florczyk rzekł im:

— Głupiecie, że lamentujecie, kiedy się radować powinniście, że Józek powraca, i że za kiepską ranę, co go postrzelili, będzie już na całe życie wolnym. — Tu Wicek na wojnie nie był, a jak go gruchnął chłop w lesie podkulkiem w rękę, to mu od razu piszczał w łapie złamał i będzie kaléka na całe życie. — Wyszemu zaś Józkowi tylko przeleciała kula przez giczał i za dwa tygodnie ma wracać; o cóż się tu frasować? Gorzejby było, żeby go była, broń Boże, kula w łeb trafiła albo w dudy, boby się był już z tego nie wyléczył. — Choćby nawet był kulawy, toby go i tak może Zośka chciała. Co, Zośko!

— Kto tam wie? (rzecze z uśmiechem Wojciech), może teraz nim pogardzi, bo nie będzie chciała mieć koślawca!

— Nie nada się jój już do tańca (doda Florczyk).

— Nie kpijcie z dziewczuchy (przerwie Agnieszka); bo ona za nim beczy, że biédak leży chory, a wzięłaby go, choćby mu głowę urwało.

— Cóżby jój tam już z niego przyszło (odpowie Florczyk), gdyby nie miał głowy, i jużby ani na nią patrzył, ani do niej gadał. — Bez nogi to tam jeszcze chłop ujdzie.

Tak żartowano z biédnej Zośki, która chociaż płakała, ale w tych łzach żalu przebijają

się i lży radości, że Józek powróci, i że już będzie na zawsze wolnym od wojska. — Wojciech także, chociaż żałował syna i był o jego zdrowie niepokojnym, to jednak pocieszał się rychłym jego powrotem. — Agnieszka była uradowana, ale dziwiła się, dla czego Józek Zośkę nazywa panną Zofiją, a ją panią Agnieszką?... Florczyk jój to wytłómaczył, że to jest polityka, i że kapral, który list pisał, musi być panicz, ale dodał, że nie jest z Polaków, tylko musi być albo od węgierskiej strony, albo od morawskiej, bo trochę pisze z polska a trochę z węgierska. Odczytano list powtórnie. — Ojciec zaraz poprosił Florczyka, aby list do Józka napisał, do którego dołączy dziesięć reńskich. W tym liście miał téż Florczyk napisać, aby doniósł Józek zaraz, kiedy do Krakowa przybędzie, aby po niego Wojciech zajechał z Zośką i przywiózł go do domu. — Wreszcie Zośka kazała dodać, że się bardzo raduje z jego powrotu, ale frasuje się o to, że chory i że leży w szpitalu.

W parę dni potém ksiądz proboszcz przywołał do siebie Wojciecha i Zośkę oświadczając, iż wszystkie trudności do odebrania sumy 1600 reńskich są usunięte, i że każdego dnia do depozytu sądowego o te pieniądze zgłosić się mogą. Wojciech prosił księdza proboszcza, iżby raczył do końca się już niemi opiekować i do Krakowa

po odbiór téj sumy pojechać; jakoż w parę dni ksiądz proboszcz udał się z Wojciechem i Zośką do sądu, i pieniądze odebrali.— Zośka od dawna sobie postanowiła, aby z tych pieniędzy jakąś część na kościół ofiarować; idąc wszakże do trybunału w gmachu św. Piotra, szła Grodzką ulicą i u kupca pana Kaczmarskiego widziała za oknem wystawione monstrancyje. — Bardzo się jęj jedna z nich spodobała, i zapytała się księdza proboszcza, czyliby jęj pozwolił aby ten dar kościołowi zrobiła? Ksiądz proboszcz widząc, iż ten dar będzie na nią za drogi, rzecze:

— Moje dziecko! bardzo ci chwałę, iż wdzięczając się Panu Bogu za obdarzenie cię majątkiem, pragniesz coś na Jego chwałę do kościoła sprawić; ale ten dar jest może za drogi i możesz się na mniejszym ograniczyć. Ornat albo kielich mniej cię kosztować może, a równie intencyja twoja będzie Panu Bogu miłą. — Zarządź się więc i poradź Wojciecha, jako przysłego twego pana ojca. Możeby kiedy któremu z was żal było, żeście tak wielką zrobili ofiarę, a lepiej nie dać, jak potem żałować i niejako Bogu wewnętrznie wymawiać. — Nie szarp się więc moje dziecko nierozważnie na kupno przedmiotu, który może ze sto reńskich kosztować! —

— A cóż to sto reńskich? (rzecze Zosia) Mnie Pan Bóg niegodnej dał tysiąc sześćset, com na

to przez nic nie zasłużyła, a ja mam żałować sto reńskich Panu Bogu na Jego chwałę, za tyle opieki co Pan Bóg nademną wyświadczał?! Tyle ludzi zaginęło na wojnie, a Pan Bóg Józka zachował; tyle sierot téra się po świecie, a mnie Pan Bóg dał Agnieszkę za matkę a Wojciecha za ojca i nic mi nie brakuje, ani życia ani okrycia! — Tyle ludzi się prawuje, a do majątności przyjść nie mogą, a tu kochany dobrodziej nasz wszystko przejednał i o wszystko się wystarał, a za mną się ubogą dziewczuchą wstawił. — Mam ja więc żałować Panu Bogu, kiedy wszystko mam od Niego? Choćby dwa razy tyle monstrancyja miała kosztować, to już przyrzekłam Panu Bogu że ją sprawię, najprzód za duszę méj nieboszczki matki i ciotki, a powtóre za uratowanie Józka od śmierci na wojnie, a w końcu na uproszenie Pana Boga, żebyśmy, gdy się już z Józkiem pobierzemy, pocziwie i bez obrazy Pana Boga żyli.

— Skoro tak chcesz, to pójdziemy do sklepu i kupimy monstrancyją (rzecze ks. proboszcz), a będzie to piękny przykład dla gromady, iż sierota, owa niegdyś uboga córka kómornicy, tę fundacyją czyni. Bogdaj Pan Bóg mile tę twoją pobożną intencyją przyjął!

— Jeżeli proszę jegomości księdza proboszcza więcejby monstrancyja jak sto reńskich kosztowała (rzecze Wojciech), to ja resztę dołożę, bo

i ja miał intencyją coś dla kościoła sprawić, a to od czasu, jak mi się o dwóch jastrzębiach śniło, co się były w powietrzu, a jeden drugiego w łeb dzióbnał i ów jastrząb spadł na ziemię, a ja go chciałem uchwycić, a on frunął, i dopiero potem siadł na mojej gruszy, ale bez nogi.— Więc to się nadaje do Józka, że mu żołnierz nogę przestrzelił, ale że potem wyzdrowiał i do chałupy wrócił, i będzie jeszcze gruszki trząsał, albo też znaczy urodę, albo jakie szczęście. —

— Wolałbym (odpowie ksiądz proboszcz) aby twoja intencyjka nie z nocnej mary i tłumaczenia snów płynęła, ale po prostu z wdzięczności dla Pana Boga, że ci syna ochronił; ale iż czasem Bóg i we snach daje ostrzeżenie, przeto można zwracać na sen uwagę, jeżeli nas ku poprawie lub dobremu uczynkom prowadzi, lecz przywiązywać wiary do niego nie można. — Bóg uczy nas na jawie naszych obowiązków i wskazuje co jest dobre a co złe; winniśmy przeto postępować według przykazań Boskich, a nie według senniej mary. — Jednak jeżeli się chcesz przy czynić, to i owszem, będzie na Zośkę lżej. —

— Nie tatusiu (rzeknie Zośka), Już wy sobie za wasze jastrzębie co innego sprawcie, a ja już chcę całą monstrancję zapłacić. —

Po tych targach zaprowadził ks. proboszcz Wojciecha i Zośkę do sklepu p. Kaczmarskiego,

który za monstrancję w istocie reńskich stowardzieścia żądał, ale gdy ks. proboszcz w krótkości historyję téj fundacyi opowiedział, p. Kaczmarski zbudowany i rozrzewniony, dwadzieścia reńskich opuścił, i ów dar Zośki dla kościoła za równe 100 reńskich odstąpił, prosząc, aby się za niego pomodliła. — Wojciech podniecony przykładem Zośki, wybrał znowu piękny trybularz do kadzenia za 25 reńskich i takowy zakupił. — Tak więc powracał ks. proboszcz z darami dla kościoła, a z wewnętrznym zadowoleniem, że pobożnej Zośce nie tylko majątku przysporzył, ale równocześnie i zasługi przed Bogiem, obok pożytecznego dla gromady zbudowania. — Wojciech do trzosa schował pieniądze Zośki i oboje wesoło wracali do domu.

XXXI.

Kłopot z pieniędzmi.

Bięda, gdy niema pieniędzy, bo one są środkiem zapewnienia sobie niepodległego żywota, ale bięda z pieniędzmi, jeżeli one mają być owym zaklętym skarbem, a człowiek ich stróżem i niewolnikiem. — Dla tego według zasad naszej wiary chrześcijańskiej, dwie są wielkie pokusy na świecie, „*nędza i bogactwo*“. W nędzy, nie wie człowiek, co ma bez pieniędzy robić?... w bogactwie nie wie, jak ma pieniądze użyć? i dla tego szczęśliwi są ci, którym Bóg mierny majątek naznaczył, i którym nigdy głód nie dokucza, ani przesyty nie szkodzi.

Takim szczęśliwym człowiekiem był Wojciech. — Nietylko bowiem zyzny grunt obżywiał go z rodziną i czeladzią, a wygody zastosowane do jego stanu zapewniał, ale jeszcze na przypadek pożaru lub pomoru bydła, albo nieurodzaju, nieco grosza odłożyć pozwoił. — Nie lubił też Wojciech składać starych talarów pruskich,

ani rubli zakopywać w żelaznym garnku, lecz miał w skrzynce cały swój kapitał 300 reńskich w zwykłych papierkach, i z tego właśnie kapitału wyjął część na zakupienie trybularza do kościoła. — Gdy przywiózł 1500 reńskich, które Zośka z sądu odebrała, nie wiedział co z niemi począć? — Rozgłosiło się znowu po wsi, że pieniądze przywieźli z Krakowa,... każdy zazdrościł i niemal wymawiał Opatrzności, że nie jego ale ubogą Zośkę majątkiem obdarzyła;... grzeszne łakomstwo obudziło nie w jednem sercu zbrodnicze pokusy i zamiary. — A więc biedny Wojciech w swém bogactwie, kręcił się po domu z temi pieniędzmi, szukając na nie bezpiecznego schowania. — Włożył je między belkę a powałę, i zdawało mu się, że nikt nie znajdzie. — Przypuścił tylko do tajemnicy Zośkę i Agnieszkę; ale ta ostatnia zrobiła mu uwagę, iż gdyby kto chałupę podpalił, toby i pieniądze poszły z dymem. Uwaga słuszna, przeto wyjął i myślił, aby je w nocy pod gruszką zakopać w skrzyneczce od soli. — Ale znowu Agnieszka zwróciła uwagę, iż papiery w ziemi zamokną i zgniją. A więc włożył je do skrzynki, a na niej się położył, przygotowawszy zaraz obok siekiere do obrony, gdyby go kto w nocy napastował. — Przez całą noc ani oka nie zmrużył, tylko nadśluchiwał, czy się kto do chałupy nie dobywa. Wstawszy

rano, rzecze Wojciech do Zośki, aby te pieniądze odniosła do księdza proboszcza albo do dworu, gdyż on ich pilnować nie będzie, ani ich na swoje sumienie brać nie chce.

— Naród jest w tym czasie łakomy (rzecze Wojciech). Ladakto wypatrzy, gdy wyjdziemy z chałupy i zabierze, a jeszcze przy tém które z nas do nieszczęścia i utraty życia przyjsć może. — Lepiej oddać księdzu proboszczowi albo panu we dworze do przechowania, bo oni mają lepsze zamykanie, i nie prędko się kto na dwór albo na plebaniją odważy.

— Oj, dobrze macie! (doda Agnieszka) boby mnie już teraz przy tych pieniądzech uśmiercili, kiedy wiedzą, żeście je ze sądu odebrali. — Drugi raz jużby mi życia nie darowali, i najlepiej oddać je do księdza proboszcza, a on je schowa do zakrystyi i będzie.

— W dzisiejszym czasie (rzecze Wojciech) totam i kościół nie pewny, bo się trafia, że zbóje i na kościół mało trwają, a kielichy i święte sprzęty kradną. — Aleć przecież pewniejsze będą, jak w mojej chałupie.

Gdy tak uradzili, Zośka zaczęła się wybierać do księdza proboszcza, i pieniądze w papier obwinęte za gorset schowała, kiedy nadchodzi jeden sąsiad i tak się odezwie:

— Przychodzę tu do was z wielką prośbą,

żbym duchem potrzebował kupić parę koni, a trafiają mi się po znajomu dwie kobyły ze źrebięciem i nie drogo, bo tamtemu potrzeba pieniędzy. Ale cóż kiedy pod ten czas nie mam ani grosiczka, gdyż mam po ludziach a nie oddają. — Więc was też proszę, abyście mi chcieli życzać sto reńskich, to wam z prowizyją oddam na gody (na nowy rok).

— Nie mogę mój sąsiadzie (rzecze Wojciech), bo pieniądze są sierocińskie, i ja się ich tykać nie mogę. — Wreszcie wiem, iż się wy tu i owdzie wieszacie, i dużoście już ludziom po wsi winni, a nie lubicie oddawać, więc ja życzać nie mogę. —

— Kiedy nie chcecie życzać (odpowie sąsiad), to mnie przyjdzie z głodu skapać, bo nie miałem czém w polu zarobić i nie dosiałem. Więc teraz chciałem przy kamieniach zarabiać i siagi wozić, a z biędzybym się wydobył. —

— Przy siągach tyle nie zarobicie (rzecze Wojciech), abyście konie zapłacili, ale co zarobicie, to wam się na życie rozejdzie. — Więc z czegoż oddacie?...

— Sprzedałbym może pola na wiosnę (odpowie sąsiad) i zapłaciłbym co do grosiczka, a dzisiaj to mi przyjdzie z dzieciskami z głodu pomierać, bo z czegoż się wezmę, jak szkapami ile tyle nie zarobię?...

Zośka niedoświadczona a świeżo znajdującą się w stanie świadczenia łask, pojąć nie mogła, dlaczego Wojciech sąsiadowi odmawia dogodności, która się jednakowoż bliźniemu należy! Wszakże dopomóż, wesprzć, dogodzić w potrzebie, prawo boskie nakazuje. — A więc się Wojciechowi do nóg skłoniła, mówiąc:

— Jeśli pozwolicie tatusiu, to damy sąsiadowi z tych pieniędzy, które mam przy sobie, bo przecież jak koni nie kupi, to i nie zarobi, a z czegoż będzie żył?...

— Jak sobie chcesz (odpowie Wojciech). Twoje są pieniądze, więc rób sobie z niemi co ci się podoba, ale ja ani odpowiadać nie chcę za twój majątek ani wiedzieć o twoich pieniądzach.

Wojciech powiedział to z tak stanowczym tonem, iż Zośka się przełękła i myślała znowu, iż popełnia zbrodnią, pożyczając pieniądze, któremi Józek niezadługo miał rozporządzać. — Chłop jednak, który o nie prosił, uchwyciwszy Zośkę za nogi, natrętnie się upominał o tę pożyczkę, zaklinając się jęj, że odda, i że jeszcze prowizyję doloży. Zośka nie wiedziała, co to prowizyja, i byłaby rada z jednéj strony wyświadczyć usługę a z drugiej bała się Wojciecha, przeto znalazła taki mądry środek, iż obiecała pożyczyc, jeśli Jegomość, to jest ksiądz proboszcz, jęj każą. — Ten warunek bardzo się owemu sąsiadowi nie

podobał, i byłby wolał korzystać z niedoświadczenia Zośki; dla tego przedstawiał, iż Jegomość nie rozumieją jego interesów, a również iż są na niego zagniewani, iż od trzech lat należącego ospu nie oddał. — Zośka już się wahała i znowu sięgała ręką po pieniądze, kiedy stara Agnieszka wdając się w tę sprawę, rzecz rozstrzygnęła, mówiąc:

— Ja Zośce nie każę pożyczyc, i nie pożyczyc; bo kiedy wy kościołowi przez trzy lata nie oddajecie, co jest rzeczą świętą, jakże wy Zoście oddacie?! Nie znacieo pięciorga przykazań kościelnych?

— Ej, co tam kościołowi! (rzecze ów sąsiad) przecież ksiądz proboszcz nie potrzebuje, bo ani mu żona ani dzieci, a ja prędjéj potrzebuję.

— Wam się o to nie pytać! (odpowie Agnieszka) czy ksiądz potrzebuje albo nie. — Wolno mu darować wam, jeśli mu się podoba, ale wyście oddać powinni, co do kościoła należy. — Niech się Zośka ani waży, tylko niech idzie swoją drogą. — Sąsiad rozgniewany ze złością i z przeklinaniem wyszedł z domu, kiedy po chwili Zośka z Wojciechem poszli oddać księdzu proboszczowi do przechowania pieniądze, któreby była Zośka we dwa dni rozprószyła, gdyby się jęj było wolność rozporządzenia niemi zostawiło.

Wojciech opowiedział księdzu proboszczowi

całą sprawę i prosił, aby sumę w zachowanie przyjął, lub wskazał, co by z temi pieniędzmi zrobić należało? — Ksiądz proboszcz zawsze był tego zdania, aby Zośka od kowalowej córki swój młyn odkupiła, gdyby go nawet w czwórnasób zapłacić miała. — Wojciech dowodził, iż dwa gospodarstwa na nic się nie przydadzą, gdyż lepiej jednego pilnować, jak dwie sroki za jeden ogon trzymać. — To zdanie zdawało się słuszne, ale ksiądz proboszcz dowodził, iż zawsze lepiej mieć ziemię jak pieniądze, i jeżeliby Zośce Pan Bóg dał kiedy więcej dzieci, to będzie dobrze mieć dla każdego po kawałku gruntu. — Ostateczny wyrok w tej sprawie zawieszono do powrotu Józka, a tymczasem ksiądz proboszcz przyjął pieniądze do zachowania i kwit na nie wydał. Mówił jednak ksiądz proboszcz, aby nie rozgadywano, że u niego złożone pieniądze, bo i on się boi złego człowieka. — Wojciech dotrzymał i Zośka byłaby dotrzymała, ale Agnieszka broniąc się przeciwko natrętnikom, wygadała się, że już niema pieniędzy w domu, ale są u księdza proboszcza. — Ta nieostrożność Agnieszki byłaby wiele złego narobiła, gdyby ksiądz proboszcz nie był od niej przezorniejszym: albowiem przyjąwszy te pieniądze, najprzód je włożył do biurka, a w godzinę potem przeniósł na pięterko, gdzie miał książki i za półkę w jednej z książek

je ukrył. — Gdy nazajutrz pojechał do chorego, zastał z wielkiem swém zadziwieniem zamek u biurka zepsuty, tak iż go otworzyć nie mógł. Blaszką naokoło była pocięta, zapewne od wytrycha. — Wreszcie namęczywszy się, otworzył kłapę od biurka i tam wszystko przewracane znalazł i brakowało mu kilkunastu reńskich z jego własnych pieniędzy. — Kogoby o to posądzić?!... nie wiedział!... A może i wiedział tak jak i my się domyślamy, ale że dowodzić w tej chwili jest trudno, przeto lepiej zamilczyć. Widziano zaś kręcących się około plebanii rozmaitych ludzi, zbliżonych powołaniem swém lub usługą do księdza proboszcza.

Tegoż samego dnia i w dniach następnych rozmaici ludzie przychodzili do Wojciecha i Zośki, uprzykrzając się o pożyczenie pieniędzy; ale co najdziwniejsza, przyszła i córka kowala, prosząc o pożyczenie jej na młyn 500 Reńskich, zaręczając, iż za rok odda!.. Wojciech przypominawszy sobie radę księdza proboszcza, nie ważył lekce tego żądania, ale wszedł w przydłuższą z kowalową córką rozmowę, chcąc wy badać stan jej interesów.

— Gdzieżbyście wy zaś potrzebowali od nas chudaków pożyczać pieniędzy, mając młyn z gruntem? (rzecze Wojciech).

— Oj, moiściewy! (odpowie córka kowala)

Dorobi się to co z takim tórákiem jak mój mąż, co już na tym młynie nic nie ma, tylko tyle, co téż wyniesie moje wiano — może te całe tysiąc złotych.

— A gdzież podział? (zapyta Wojciech).

— Przepytłował przez gardło! (odpowie córka kowala). Chciałoby się dobrze jeść i pić, a pracowaćby się nie chciało. — On już kilka razy chciał ów młyn sprzedać, tylko że mu mało dawali, bo on chciał trzy tysiące, a dawał mu leśniczy dwa tysiące.

— Jakże chcecie (rzecze Wojciech), abyśmy wam dwa tysiące życzałi, kiedy, tyle za cały młyn z gruntem dawał wam leśniczy. — Tobym téż wolał młyn kupić jak na niego pożyczac. — Ale ojciec wasz matce Zośki dał tylko tysiąc i coś złotych za całą majątność.

— Kiedy przecież młyn ojciec mój poprawił (rzecze córka kowala), to dzisiaj wart trzy tysiące złotych, czyli siedm set pięćdziesiąt reńskich.

— Nie pożyczę, nie (rzekł stanowczo Wojciech); bo mówi przysłowie: „*Nie pożyczaj, to zły zwyczaj; nie oddają, jeszcze łają.*“ — Kupić jak ojcowiznę Zośki, tobym tam prędjéj może kupił, gdy Józek przyjedzie.

— A wieleżbyście dali? (zapyta córka kowala) abym mojemu umiała powiedzieć?

— Dałbym tyle, ile daje leśniczy, albobym co nadrzucił (odpowie Wojciech).

— Gdybyście dali trzy tysiące (rzeknie kowalowa córka), tobyśmy wam zaraz sprzedali.

— Nie dam tyle (rzecze Wojciech), a o pożyczkę próżno się nie zapędzajcie, bo z tego nic nie będzie.

— Oj, mój Boże! (rzeknie kowalowa córka), to nam chyba w tym tygodniu młyn sprzedażą, bośmy pismo podpisali, i przez sąd będą nas z młyna wyrzucać.

— Ha! to kupię od sądu (rzecze Wojciech), a może i na 2000 złotych nie pójdzie.

Zośka była już tak zniecierpliwiona tym targiem i tak zgorziona sposobami, jakich Wojciech używa, iż chciała się wyrwać, że da 3000 złotych, ale ją Agnieszka wstrzymała, mówiąc: „Ani mi się waż twoich trzech groszy wtykać, Wojciech dobrze robią i mądrze postępują.“

Córka kowala odeszła, a Wojciech Zośce rzecz wytłómaczył, iż z kim innym toby się tak nie targował; ale gdy kowal skrzywdził jéj matkę, przeto jest słusznie, aby jeżeli nie za tę samą cenę, to w dwójnasób przynajmniej a nie drożej młyn zapłacić. — Zośka była pewna, że już córka kowala więcjéj nie powróci, i nie bardzo tego żałowała, bo może nie chciała tą samą miarką mierzyć jaką jéj namierzono, i przykro jéj było

korzystać z biedy dzisiejszych posiadaczy młyna.— Wszakże nazajutrz, nietylko przyszła córka kowala ale i jój mąż, oświadczając, iż gotów jest młyn sprzedać, ale nie taniój jak za 700 reńskich.— Wojciech postąpił 100 reńskich, a Zośka nie mogąc wytrzymać, skłoniła się do nóg Wojciecha i prosiła, żeby jeszcze dodać pięćdziesiąt, to jest na 650. — Agnieszka ciągnęła ją za spódnicę, mówiąc: „Nie wrażaj się w to, czemu nie rozumiesz“ — Ale słowo padło! Wojciech spojrział na Zośkę, uśmiechnął się i rzekł:

— Kiedy gospodyni tak każą, to niech będzie 650 reńskich.

Przybito więc za tę cenę kupno młyna — Wojciech dał ze swoich pieniędzy zadatek.— Pojechano do powiatu spisać kontrakt kupna i sprzedaży i pieniądze wyliczono.— Po południu wracała Zośka z Wojciechem, jako dziedziczka dawnój ojcowizny, a córka kowala z mężem została dla wypłacenia długu, za który młyn miał iść na sprzedaż; później zaś na desperacyją upili się oboje i wracali już nie do swojego domu.— Przez drogę wytrzeźwieli, i gdy im wrota otwierano, a córka kowala przy świetle księżycy spozrzała na młyn sprzedany i usłyszała szumiącą wodę, rzewnie się rozplakała, i całą noc prawie nie śpiąc lamentowała, ciérpkie mężowi czyniąc wymówki.— Rano, gdy się zbrali, widzieli się już

kómorą u Zośki, to jest u owój córki kómornicy Reginy.

Wojciech ich tam nie pędził. — Zostawił im czas do wyszukania sobie posiadliska. — Ugodnie i pocziwie zakupił u nich konie i wózkowany oraz pługi, brony i inne sprzęty.— Zdał się w tém na sąd sąsiadów i nic się nie targował, tylko płacił, tak, że znowu się z tych sprzętów na 250 reńskich uzbierało, i jakoś jeszcze nie o tak wielkiój szkodzie byli sprzedający, a przynajmniej nie skarżyli się, ale zgodnie i pocziwie z Wojciechem interes ukończyli, i wynieśli się pod las, do domu gajowego, który był im winien jakieś pieniądze i odsadywać je pozwolił.

XXXII.

Powrót rannych.

Najbliżej dworca kolei żelaznej w Krakowie, stoi pałac hrabiego Moszyńskiego wpośródku starannie urządzonego ogrodu. — W samym zaś rogu dwóch murów okalających ogród, znajduje się grotta sztucznie zrobiona, a nad nią obszerna wystawa, z której widać mogiłąską rogatkę, dworzec kolei i obok wiodącą do niego drogę. — Gościnność gospodarza, a razem powszechna miłość, której ten zacny obywatel używa, sprawdza do niego licznych przyjaciół; a podczas lata lub pięknej jesieni, codziennie prawie spotkać tam można nie tylko zwykłych miastowych gości, ale i przejeżdżających rodaków z różnych Polski okolic. Starsi siedzą pod gankiem, a używając chłodu i świeżego powietrza, rozprawiają o dawnych dziejach, lub się zapuszczają we wróżbę przyszłości. — Młodszy biegają po ogrodzie, a panienki giną wśród kwiatów ogrodu, i tak ludzkie oko, że ich od róż, tulipanów i kamelii rozpoznać trudno,

tém też bardziej mnie staremu i ślepemu, który w botanice nie jestem biegłym i łatwo pannę wziąć mogę za różę. Jednego wieczora takeśmy sobie siedzieli, rozmawiając i herbatkę popijając, kiedy się między młodém pokoleniem jakiś ruch objawił, i wszyscy po schodkach prędko wybiegli na wystawę. — Co to jest?... (pytamy) ktoś nam powiada, iż rannych przewożą z kolei żelaznej. — Wszelkie poświęcenie zasługuje na współczucie... a ztąd też żołnierz, który w dobrej wierze życie niesie w ofierze, jest zawsze godnym szacunku. — Ranny zaś nabywa prawa do współczucia i stoi pod opieką wszystkich dusz szlachetnych, umiejących ocenić ofiarę krwi i wzniosłość rycerskiego stanu. — Dla tego prawie wszyscy spieszenie pobieглиśmy na wystawę, około której snuło się ze czterdzieści dorózek i wózków odwożących rannych do szpitala wojskowego na zamku, lub do prywatnych domów. — Temu smutnemu transportowi towarzyszył niezmierny tłum ludu. — Jedni szli na przechadzkę, drugich ciekawość zawiodła, ... lecz co ojcow, matki i kochanki, to miłość tam zaprowadziła, i zaraz mogliśmy rozpoznać między tłumem owe twarze, na których się malował niepokój, tęwo-ga, ale razem gorące współczucie, które się łączyło objawiało. — Widzieliśmy, jak oni szukali wpośród rannych znanego i ukochanego oblicza!

Jak się wpatrywali w rysy tych nieszczęśliwych z obwiązaniem głowami, lub też z ręką na temblaku zawieszoną. Każdy szukał swojego, a nie znalazłszy, znowu się w drugą dorózkę wpatrywał. — Czasem krzyk rozpacz, radości, boleści i szczęścia, wyrwał się spośród tłumu! — Matka poznała syna i biegnie za dorózką! — Dościga... staje na stopniach powozu, i wprzód niżeli dziecko w dom swój przyjmie,... ranę opatrzy,... zagoi... ukoi... leje na nią lzy matczyne, i cierpiąc, cieszy się, iż syn powrócił i stanie się jój pociechą. — Tu znowu po wąsach starego ojca płynie struga łez, bo odszukał syna. Rzuca się w jego objęcia i długo przy sercu trzyma, a oderwać się od niego nie może, i mówić do niego nie umie, tylko mówi łzami i uściśnieniem. — Ale najciekawsze z tego, to kochanka! Jakże się na jój twarzy maluje wstyd, miłość, radość i obawa! Poznała go!... serce w górę skoczyło i bije tak gwałtownie, iżby z piersi wyskoczyć chciało, a przecież dziewica biegnąc do niego nie może!... Wstyd jój nogi krępuje, ... ludzie patrzą..... A potem!... któż wie, czy on jeszcze kocha?... czy pozostał wiernym?... czy jaka Włoszka?... Ach Boże! nie dopuszczaj nawet téj myśli, boby to był cios śmiertelny i dotkliwsza rana jak ta, którą zadać może nieprzyjaciół na wojnie!... Patrzy w tę stronę! dostrzegł

ręką się pokłonił, i wychylił się z dorózki, a wzrok w tę stronę zatopił!... patrzy, mile się uśmiecha!.... Więc kocha!! — Oh, czemuż ta dorózka jedzie tak prędko?! już na bok skręca w ulicę!... Gdzież go kochanka zobaczy i kiedy? To teraz jest myśl, która ją zajmuje! Ona przyjsć do niego na zamek nie może, bo nie uchodzi i nie przystoi na skromną panienkę! — A on czy będzie mógł przyjsć? czy mu zdrowie pozwoli?... czy starsi wypuszczą?... Trzeba posłać brata na zwiady!! Zobaczy go, rozmówi się z nim, dowie się wszystkiego, i powie mu, że go siostra zawsze kocha.

Takie robiliśmy spostrzeżenia z wystawy u hrabiego Moszyńskiego i niejednemu z nas lzy się zakręciły, bo my znamy uczucia ojca, matki i kochanki, a także stan wojskowy dla wielu z nas nie był obcym; przeto wszystko nas to zajmowało, gdy nowy nam się widok przedstawił.

Gdy już wszystkie dorózki odjechały, a tłum ludu je ku zamkowi pogonił, kilku pozostałych rannych, piechotą zdążyli do miasta. — Jeden z nich na kiju oparty i kulawy, oglądał się na wszystkie strony, a nie dostrzegłszy tych, których oczami szukał, oparł się o mur ogrodu i spoczywał, bo mu zapewne rana dokuczała. — W tém po chwili jedzie czwartem wózek chłopski, w którym siedzi stary włościanin i młoda ładna

dziewczyna! Woźnica rozpędził konie i zwraca się ku dworcowi, kiedy żołnierz stojący pod murem woła donośnym głosem. „Stój! Stój!“ Głos ten znajomy najprzód się odbił o młode serce Zośki, bo zapewne go pierwój jeszcze usłyszała sercem jak uchem. — Powtarza więc woźnicy: „Stój! Stój!“ a ojcu wskazuje syna i z wozu się wyrzywa. — Ojcu staremu nie tak łatwo było po kole schodzić z wozu, lecz Zośka zeskoczyła i biegnie do Józka, a wita go czule i pod brodę głaszcze. Stary spieszy też witać swego miłego syna, który znowu chciał go za nogi uściskać, lecz się zatoczył i u nóg ojca się przewrócił, bo się jeszcze ranna noga uginać nie mogła. Zośka krzyknęła i razem z ojcem go dźwiga, a strwożona pyta się, czy ma się co nie stało, i czy tak go srogo ranili?...

— Trochę mi tam dolega (rzecze Józek) ale mnie przestanie boleć, gdy zajadę do domu i wśród was wypocznę. — Dziękować Bogu, jużem wolny na cały żywot i już do regimentu nie wrócę, a jeszcze jako ranny mam pensyi na całe życie sześć grajcarów dziennie. — Ale wy tatusiu, zdrowicie dobrze?... A ty moja Zośko, będziesz mnie teraz chciała, kiedym został kalęką i okławiałem?

— Oj mój Józku (rzecze Zośka), choćbym cię miała na plecach nosić, tobym cię chciała z duszy

serca. — Jużesmy się tak o ciebie Józku naturalowali, takeśmy nalamentowali się nad tym listem, coś pisał ze szpitala; dopiéro jak wczoraj przyszło od ciebie pismo, że wracasz, takeśmy się uradowali, i jechaliśmy co tchu, ale nam się w drodze koło złamało, i musieliśmy w Kaszowie pożyczać koła. — Aleś zmizerniał, mój Józku, sterales się na téj wojaczce.

— Ej, nie tak na wojaczce (rzeknie Józek), jak w tym szpitalu, gdzie doktorzy każą dla zdrowia mało jeść dawać, tylko tam taką wazerpupkę; a jabym był ze ćwierć ziemniaków zjadł, tak mi się jeść chciało.

— Oj nieboraczek (przerwie Wojciech), wygłodził się i ranny. — Przecież jak kto ranny, to powinni go lepiej żywić, aby się prędzój zagoiło, i żeby mięso miało z czego nadraść. — Ale nie zabawiajmy się tu napróżno, tylko go wsadzmy na wóz i jedźmy do domu, aby sobie wypoczął i podjadł. — Agnieszka tam gotuje szumną wieszczką na przywitanie Józka.

— Niech Bóg téj babie da stoletné życie i zdrowie (rzecze Józek), że się do was tatusiu sprowadziła i miała o Zośce opiekę.

— Ledwo babę złodzieje nie udusili (rzecze Wojciech) i chałupka się jój spaliła, ale ona na to nic nie trwa i zawsze krzepkie babsko. — I syn Piotrów w kryminale, i Piotr umarł bez

spowiedzi, i odkupiliśmy młyn od kowalowej córki — i.....

— Oj rety! rety! (rzecze Józek) Co się to podziało! Musicie mi to wszystko w drodze rozpowiedzieć, bo to ciekawości się we wsi podziały.

— I ksiądz proboszcz moje pieniądze odebrał, (doda Zośka) a jeszcze od młyna zostało sześćset reńskich, które ci oddam, jak do chałupy wrócimy... i monstrancją do kościoła sprawiłam. — A Szymek ożenił się z Piotrowną.

— A to babsko stare, ta Piotrowa (rzecze Wojciech) chciała iść za Jędrka, ale jój nie chciał, więc poszła za parobka. — A Piotrowa krowa przebodła Sołtysową córkę.

— No, to dopiero ciekawości! (rzecze zdziwiony Józek)

— Ale teraz oprzój się Józek na mnie i na Zośce (rzecze Wojciech), i stań sobie pomaluszku na kole... Dobrze,... a teraz,... chłopak podaj rękę Józkowi i dźwigaj go ledziusko!... No dobrze!... a teraz przewalże się Józek na posłanie i usiądź sobie; a ja siądę przy tobie, a Zośka na przodku, to sobie będziecie na siebie spoglądali. — No dobrze!! teraz nawróć chłopiec *hetta* i wio! do domu.

Po drodze rozmowa na chwilę nie ustawała. Józek wypytywał się ciekawie o wszystkie szczegóły wydarzonych we wsi wypadków, które mu

tęż wiernie Wojciech opowiadał. — Zośka czasem mięszała się do rozmowy, przypominając ojcu to, co zapominał, lecz wołała się patrzeć na Józka jak rozmawiać, a i Józek słuchając patrzył na Zośkę, i aż mu się oczy iskrzyły! — Zośka kilkakrotnie pytała Józka, czy mu dobrze siedzieć?.. Czy go literka od wozu w nogę nie ugniata?... i poprawiała słomę, aby odgrodzić chorą nogę od twardego półkoszka. Cała historyja o domu Piotrowym bardzo Józka dziwiła i zajmowała. Przypisywał to wyraźnej sprawiedliwości Boskiej, ale z drugiej strony szczerze żałował, że się tyle nieszczęść razem na nich zbiegło. Nie rozumiał znowu dobrze, dla czego Wojciech z Zośką młyn kupili; dopiero gdy mu wytłómaczył, iż ksiądz proboszcz tak życzył, i że wielka była bięda i kłopot z pieniędzmi, bo nie wiedzieć było, co z nimi robić, wtenczas przyznał, iż się dobrze stało, i dodał „bo i lepsza zawsze ziemia święta jak pieniądze, które złodziej może zabrać. A wreszcie cóż one wyleżą choć i te pieniądze?“ Zośka przypomniała, iż dla tego Jegomość kazał młyn kupić a nie co innego, aby się znowu majątność ta wróciła do prawdziwego właściciela i aby się zatarł ślad krzywdy ludzkiej. Przyznał to Józek, mówiąc: „Już to nasz Jegomość na wszystko mają rozeznanie, poszukać daleko takiego księdza, i nawet w Italii podo-

bnego nie znalazłem, choć ich tam jest tylu, co (dajmy na to) u nas chłopów, a kapelusze noszą wielkie.“

Wojciech się znowu Józka pytał o wojnę, o której Józek z pewnym upodobaniem rozpowiadał. Chociaż bowiem uszczęśliwionym był że wrócił, i że już więcej nie pójdzie, to jednak nie zdawał się żałować, iż był w wojsku a nawet, że był na wojnie. — Kto wie, czy się i o to bardzo gniwał, iż go raniono?... To pewne, iż w tym wojskowym zakonie, jest strona tak uszlachetniająca, że człowiekowi na godności i zacności przybywa, gdy w życiu swém raz przynajmniej przeszedł przez tę rycerską bramę ofiary i poświęcenia. — Można mieć duży majątek, a mimo tego czuć się upokorzonym i z samego siebie niezadowolonym. — Można mieć rozum i piórkami władać, a przecież wewnątrz czegoś człowiekowi brakuje. — Można posiadać dostojność świecką, a jeszcze miłości dla kraju i szlachetności ducha nie udowodnić. Tymczasem żołnierz, choćby najuboższy, to coś zacnego ma w duszy, coś pogodnego w twarzy, szlachetnego w ruchach. Czuje się pełniejszą na świecie istotą, bo go stać było ofiarować za drugich to, co każdy najwyżej sobie ceni: „zdrowie i życie.“ Blizna więc w wojnie otrzymana, najpiękniejszą jest oznaką, a zazdrości onęj dostojny nawet

maż, okryty zaszczytnymi znakami za cywilną służbę. — On pojmuje, że tylko ofiarował czas i zdolność, a żołnierz wszystko na raz rzucił na ołtarz powszechnego dobra. — Może to niesłuszny ten jakiś przywilej, bo każdy z pracujących odlicza zdawkową monetą tę samą sumę usług, którą żołnierz na jeden raz wypłaca; lecz cóż na to poradzić, kiedy tak jest, a nawet kobiety to same uznają. Zośka też, więcej jeszcze Józka kochała z przestrzeloną nogą i blizną od bagnetu. — Miała większy dla niego szacunek; bo kiedy dawniej byli sobie równi, to dzisiaj Józek nad nią górował powagą zasługi i przebytych cierpień. Już i w gromadzie inne będzie jego stanowisko. — Nie jeden parobek, który byłby dawniej z Józkiem za panbrat, dzisiaj w nim uzna wyższość, i ostrożnie koło niego będzie chodził.

Otóż Józek opowiadał, iż gdy stał w glidzie (w szeregu), tak pan major krzyknął na batalijon, aby się do strzelania rychtować! Więc batalijon wymierzył; a tu jak *zuawy* (zuawy) palną, tak jaki taki bęc o ziemię i juźci się przewraca. — Ci co nie zginęli, wypalili, i czém przedźnij nabijają i drudzy strzelają. Jedni palą paf, a tamci też paf, paf, dopiero się zaczyna rotami bęc, bęc, paf, puf, puf, paf, i tak jakby groch z ćwierci sypał na podłogę, tak szło strzelanie. Dopiero

ja palę raz, drugi, trzeci, a jeden *zważy* Francuz jak mnie *świśnie* kulą w nogę a drugi poprawi, tak mi się tak gorąco zrobiło, jak gdyby mnie kto ogniem obsuł. — Wtém te przejęte Francuzy, coby się to tylko biło (taki naród zaciekły do *tój* bitki), jak *zakomenderują do sarży*, tak też jeden przypadł do mnie i *źgnął* mnie bagnetem, a ja się przewrócił. — I już nie wiem, co się tam później działo, bom omdlał i krew mnie uchodziła, a oni jak front zmienili, tak odmaszerowali aż na górkę, i dopiero przed wieczorem nasi mnie zanieśli do takiego ambulansu, gdzie mnie felczer opatrzył, i rzekł mi: „Gut, nichts werden.“ Co znaczy: „Nie bój się, bo ci nic nie będzie i wyліzesz się.“

— O, mój Boże święty! (rzecze Zosia).

— Niech tam ręka boska broni od *tój* wojny! (rzecze z przerażeniem Wojciech).

— Tak dopiero (ciągnął dalej Józek) przyszedł oberarct na rewizerunek. — Do każdego rannego słowo przemówił i obejrzał, ale go nikt nie rozumiał co gadał, bo albo musiał mówić po niemiecku albo po *italijańsku*. — I za nim szedł drugi co spisywał w *pularesie*. — Gdy przyszedł do mnie, więc coś z drugim pogadał i głową kiwał, a rzecze „*na Wenedig* — co znaczy, aby mnie odstawić do *Wenedyku*. — *Wigo* mi wytłómaczyli kamraci, że już pójdę na inwar

lidyrkę, to jest, że mi więcej nie trzeba jakem dostał. — I zaraz nas też na furwez napakowali, cośmy byli ciężko ranni, i odesłali do *militerspitalu*. Tam było dobrze, gdyby nie o to jądło. Tylko mi się bardzo przykrzyło, bo kiedy być wojakiem, to już najlepiej się bić. — Tu gadali, że się nasz regiment bije, a ja wylégałem się na *łózkę*! To mi tak się cniło za *oną* wojną, że gdyby nie o nogę, co na nią nie mogłem postąpić, byłbym na ranę w piersiach nic nie trwał, tylko szedł za swoimi.

— Widzisz!! (rzecze Zośka) Miałbyś też *sumienie* *zginać* i nas *siérotami* zostawić?...

— Przecież tam nie było napisane, że *zginę* (odpowie Józek), a byłbym temu *odwdzięczył*, co mnie *źgnął* pod *żebro*. — Z *italijańskim* narodem, tobym się zawsze chciał bić, bo to lud miękki, i ile tyle go pogonisz, to ucieka; ale co Francuz to twardy a strasznie wesoły! Jak ci idzie do *sarży*, to sobie podskakuje a krzyczy *awan! awan!* niby żeby awansyrować, co tyle znaczy, jakby powiedzieć „*nic nie pytaj, tylko bij!*!“ Dość jest *Węgie* twardy a *Polak* też, to i tak z *Francuzem* mają się co zabawić, zanim go *zwalczą*.

Tak rozmawiając dojeżdżali do wsi. — Od rogatki skręcili na bok, i przejeżdżali około *pierwszej* *figury* *Matki Boskiej*. — Józek zdjął *czapkę*,

przeżegnał się — zmówił pozdrowienie anielskie, i widocznie był wzruszonym. — Każdy zagon był mu znajomy, każdą wierzbę pamiętał. — Wieża kościelna górująca nad domy, przypominała mu i chwile przeszłe i obudziła nadzieję przyszłych, które go przy ojcu i z żoną czekały. Droga była kamienista, więc woźnica nie pospieszał. — Ale też do poważnych myśli ruch nagły byłby mu przeszkadzał. — Milczano, ale to milczenie było wymowne i rzewne. — Zośka oczy spuściła, Wojciech na syna patrzył, który ciekawie, ale poważnie wzrok na wszech strony wodził. — Wreszcie wjechało już w szereg domostw. — Wielu poznawało Józka, i witali go przyjaźnie, a niektórzy gonili za wozem, aby go uściskać i pomówić słowo. — Dziewuchy wybiegały, mówiąc: „Widzicie! Widzicie! Józek powrócił i jedzie z ojcem i Zośką. — Przecież się go doczekała i na swoim postawi“.

Na środku wsi spotkali Sołtysa, który chciał udać, iż nie widzi, i do chałupy się schronić, — ale Józek kazał stanąć i zawoławszy go, mile powitał, dodając: „Nie mam do was żalu Sołtysie, żeście mnie wydali, bo mi tam źle nie było, i jeszcze do śmierci będę pobierał sześć grajcarów na dzień“.

Sołtys zmieszany, nie wiedział co odpowiedzieć, ale mu się czapką kłaniał, mówiąc: „Ja

tam temu nie winien, chyba ludzie, co na cię instygowali; ale kiedyś wrócił, to krzywdy ze mnie mieć nie będziesz“.

Jadąc około kościoła, znowu kazał stanąć, a zdjawszy czapkę, gorąco się modlił, dziękując Panu Bogu, iż go zachował od nagłej śmierci i do wsi wrócić pozwolił. — Wojciech też modlił się, a Zośka uklękawszy na wozie, ze łzami Bogu dziękowała. — Wreszcie zajechali przed dom własny. — Agnieszka wybiegłszy, płakała z radości i już na wozie szyję Józka obiema rękami otoczywszy, ścisła i całowała. — Burek wylęczony z silnego uderzenia, po kole się aż spinał, aby swego pana powitać! Szczekał i skumlał, aż wreszcie, gdy Józek spuścił rękę, psisko lizało go i z miłości rzekomo gryzło, jakoby chciał zjeść swego pana z uciechy. — Wojciech wcześniej się z wozu wydobył, i razem z chłopakiem i Agnieszką pomógł zsiadać Józkowi. — Zośka na wozie trzymała go pod pachy, aby nie upadł, a potem jak sarneczka zeskoczyła, i wszyscy razem, to jest Wojciech, Józek, Zośka, Agnieszka i chłopak weszli do izby, poprzedzeni przez Burka, który wyskakiwał i kręcił się w koło, a chciałby przemówić, tak miał serce przepelnione radością.

Już wieczerza była zastawiona. Na misce dymił się gorący barszcz, do którego Agnieszka

nie żałowała sperki i schabu.— Potém szła jajecznicą okraszona słoniną, i królik na czerninę rozgotowany.— Cała szczęśliwa rodzina zasiadła około jednej miski i z radością pożywała dar Boży, we własnym już domu.

XXXIII.

Koniec powieści.

Na drugi zaraz dzień z rana, wybrał się Józek do księdza proboszcza, aby mu podziękować za opiekę nad Wojciechem i Zośką, i za starania łożone w wydobyciu z sądu pieniędzy. Chciał się zarazem dowiedzieć, kiedyby mógł być ślub jego z Zośką?... Ksiądz proboszcz znajdował, iż opóźnić go nie można, tém bardziej, iż w jednym domu mieszkają, przeto wszelki nawet pozór zgorzenia usunąć należy, aby ludziom złym nie dawać powodu do obmowy.— Obiecał też ks. proboszcz, iż się wystara w konsystorzu o uwolnienie od jednej zapowiedzi, druga zaś w przypadające w tygodniu święto ogłoszona być może, a więc od téj niedzieli za tydzień ślub mógłby mieć miejsce. Chociaż Józek sobie tego bardzo życzył, to przecież dziwno mu się zdawało, że już za tydzień będzie ożenionym! Posłuszny jednak woli ks. proboszcza, rzekł, iż się na to chętnie zgadza i powie tatusiowi, aby się na to przygotowali.

— A czy chcesz huczne wesele sprawić? (zapyta się ks. proboszcz Józka).

— Ja nie wiem, proszę wielmożnego księdza proboszcza (odpowie Józek), ale może przyjdzie i wesele sprawić, aby nas ludzie nie mieli za skąpych.

— Tobyś wolał, aby was mieli za rozrzutnych? (zapyta ks. proboszcz).

— Ja nie wiem proszę jegomości, ale taki jest zwyczaj we wsi, więc sam się w tém nie chcę rządzić i zapytam się tatusia i Zośki.

— Zośka sobie hucznego wesela nie życzy (doda ks. proboszcz), a o życzeniach twego ojca nie wiem.— Idźże się więc poradzić ojca, a ja w każdym razie w tę niedzielę zapowiedzi wasze ogłoszę.

Potém była mowa o wojsku, o Włochach, i o powodzeniu Józka, a ks. proboszcz uśmieiał się nieraz, gdy mu Józek wojnę opisywał i rozmaite swoje przygody opowiadał.— Wreszcie przypomniał ks. proboszcz Józkowi, ile on ma powodów wdzięczności dla Pana Boga za zachowanie mu życia oraz że wszystkie jego pocziwe życzenia rozwijają się jak z płatka; a w końcu że będzie miał żonę cnotliwą, bogobojną i radną, którą powinien szanować i kochać, bo rzadko takiej drugiej znaleźć w okolicy.— Wytłómaczył téż Józkowi, dla czego doradził młyn odkupić, za co wszystko

Józek najpokorniej dziękował, mówiąc: „iżby rad przecież w swoim życiu czémś się jegomości odwdzięczyć.“

Gdy Józek wrócił do domu, długa toczyła się narada o wesele! Wojciech, Agnieszka i Józek chcieli, aby było huczne, a Zośka prosiła, aby odbyło się bez muzyki i bałamuctwa, z czego próżny wydatek, pijatyka, bijatyka i obraza Boska.— Wojciechowi o to chodziło, iżby téż gromadę uczęstować i polecić nowożeńców i młodych gospodarzy przyjaźni ludzkiej. Zośka zaś mówiła, że ojciec jój wszystkim świadczył, a po jego śmierci ci sami biedną jój matką potérali; a więc nie warto ludzi częstowaniem sobie przynęcać.— „Lepiej (rzeknie ona) jakiego sąsiada wspomódz, jak próżniaków poić“.— Na tém więc stanęło, iż sproszą mularza, Łukasza, Sołtysa, i kilku dobrych sąsiadów i tych ugoszczą, a reszty prosić nie będą, ani téż muzyki nie zwolają. Tymczasem rozeszła się wieść pomiędzy dziewczuchami i parobkami, że Wojciech sute sprawi wesele i że całą gromadę sprosi, a nietylko miejscowych zmówi skrzypków, ale i klarynet sprowadzi z Czernichowa.— Nie jedna już podrygała i podskakiwała, a parobcy pokrzykiwali. Pijakom już ślinka szła do gęby, a gospodynie naradzały się, czyby pierwój nie pojechać do Krakowa, to po chustkę do odziania, to po platek

złotem przerabiany na gorset. — Ale rzecz dziwna!! Ks. proboszcz już zapowiedzi wywołał, a o druchnach nie słyhać i nie chodzą z bukietami, ani téż parobczaki z różczką na koniach nie jeżdżą i dzwonkami do uzdy przyczepionemi nie dzwonią. — Jeszcze większe było zadziwienie, gdy wśród tygodnia drugą wołają zapowiedź, a tu cicho i jak makiem zasiał; tylko słyhać, że ten lub ów zaproszony, a druchna ma być z Czernichowa, družbą zaś ów odważny parobek Łukasza. — Wtenczas dopiero zaczęły się gadania, żale i urazy! Wtenczas sądy, przypuszczenia i ostre wyroki! Jedni mówili, że to z hardości, i że „bogaczka chce wyjść na szlachciankę, a niedawno nie miała co do gęby wrazić“. Drudzy mówili: „iż dobrze wiedział Wojciech i Józek od proboszcza, że Zośce ciotka zapisze majątek i dla tego się o nią zalecał“. Inni znowu przypuszczali, że „żał im pieniędzy, bo chcą jeszcze trzecią rolę kupić“. — Inni o gorsze jeszcze rzeczy posądzali, a wszystkim bardzo było nie na rękę, iż będzie ciche wesele, i że się ani ucieszą, ani upiją, ani wybiją, ani plotek nie narobią i nie będą mieli o czém gadać. — Później dowiedziano się, iż drugą druchną będzie soltysówna; w końcu pewna doszła wiadomość, iż ci tylko będą proszeni, którzy dla nieboszczki Reginy byli dobrzy.

— To nie słusznie (rzecze jeden parobek), bo któż mógł zgadnąć, że ciotka Zośce taki majątek zapisze, a dawniej to się przecież nikt lada-jakiej kómornicy nie mógł kłaniać, która na każdym przednowku lebiodą żyła albo kupowała te ziemniaczki, cośmy z piwnicy dla trzody prze-bierali. — Gdyby to był człowiek przewidział, toby się tam było łatwiej i pokłonić!

— Albo przewidział to kto (rzecze drugi), aby ona od kowalowej córki młyn z gruntem odkupiła?... Ja myślałem, że oni tego nigdy już z garszci nie wypuszczą.

— Nijako tak będzie (doda trzeci), to wesele bez muzyki i bez ludzi! — Warzy to tam nago-tują i napięką placków dosyć, bo mają z czego; a wreszcie po trunek do Krakowa pojedą, ale co uciechy to tam wielkiej nie będzie!

— A Józek teraz po tém wojsku zherniał (rzecze czwarty); czeka, żeby go czapkować, i dopiero się pokłoni.

— Cóż chcecie! (doda jedna gosposia) kiedy na cały żywot ma z kasy zasługę, i choćby gruntu nie miał, toby z tego wyżył. — To téż Zośka tak mu podchlebia, a tak mu dogadza...

— Oczywiście, wyjdzie na panią! (rzecze druga gosposia). Będzie panią młynarką i z nami nie zechce przestawać. — Mój Boże! jak to jednym Pan Bóg szczęście daje, nie wiedzieć za co,

a drugi będzie pracował całe życie, i niczego się nie dorobi. Jak i ja, ... to radabym z całej duszy przyjść do majątku, a nie mogę i nie mogę.

— Oj! moiściewy! (rzecze trzecia). Nie wiadomo tam, jak się jeszcze co obróci?! — Może Wojciech i Zośka wyjdą z majątku, gdy ich spalą, albo jak ich grad wybije! — Ja się tam tém cieszę, że większe majątki mieli jak Zośka, a potracili, to i ona też jeszcze może wyjść na dziady!

— A widzieliście, jaką złocistą monstrancyją kupiła do kościoła? (rzecze drugi parobek), ma być za nią nie wiem wiele set reńskich.

— Jabym jeszcze piękniejszą kupiła (rzecze pierwsza gosposia), gdybym taki majątek miała. To, co ofiarowała, to nic!! To prawie na chudaka a nie na taką bogaczkę! — I to ofiarowała Panu Bogu za Józka!... hoby ona tam była za darmo nie dała.

Po téj gawędzie rozeszli się wszyscy z powieszanemi nosami i z sercem pełném zazdrości, że jedni są proszeni a drudzy nie. Dziewuchy szczególnież odżatować nie mogły i mówiły między sobą: „Iż gdyby się były kiedy choć przypadkiem spodziewały, że Zośka będzie w takim stanie, to byłyby sobie z nią inaczej poczynały.“

Chociaż liczba proszonych była ograniczoną, to przecież nie udało się jój do tak szczupłego grona weselników ograniczyć. — Stara Agnieszka

była zdania, aby tych wszystkich zaprosić na ślub, którzy byli na pogrzebie matki. — Tę radę Wojciech i Józek podzielał, a Zośka bardzo na to mile przystała. — Pokazało się więc, iż liczba rosła, aż mało kogo ze wsi wyłączono. — Wojciech widział, że pilno jest przyczynić zapasów jadła i napitku, więc pojechał rano do Krakowa, a wieczór przywiózł pełną furę koszyków napełnionych mięsem i bułkami, oraz baryłki z winem i miodem tudzież flaszki z likierem.

W niedzielę rano poszli państwo młodzi do spowiedzi, a podczas mszy do komunii świętej z ojcem i starą Agnieszką przystępowali. — Po sumie zaś wyszedł ksiądz proboszcz przybrany w kapę. — Na ołtarzu porozpalano świece. — Ogromny tłum proszonych i nieproszonych wypełniał kościół. — Dziady się kręciły — organista (ów rywal) dzisiaj się już uwijał, a na wesele także był proszonym. — Rozpuścił w organach wszystkie micchy, a gdy ksiądz proboszcz zaintonował *Veni Creator*, ryknął i on śpiewem głośzącym organy. Dopiero Jagusia z Czerlichowa z Sołtysowną zaprowadziły pana młodego do ołtarza, a Zośkę prowadził parobek Łukasza i ów drugi, który krowę Piotrową ugodził. — Wojciech z Agnieszką za nimi postępowali ze schyloną głową i rozrzewnieniem. Ksiądz proboszcz oświecił ich przed ślubem o obowiąz-

kach małżeńskiego stanu i w krótkiej przemowie przedstawił młodą parę za przykład bogobojności i stałości, a potem wiecznym ich ślubem połączył. — Oboje ślubujący, wyraźnie i dobitnie odpowiadali, a otrzymawszy błogosławieństwo, wracali poważnie, ale z wyrazem radości do domu, wpośród tłumu ludu, który ich aż na miejsce odprowadził.

Po ślubie zaczęło się w domu częstowanie. Jadł każdy ile chciał i ile mógł, a pił ile mu sumienie pozwalało. — Wojciech nic nie żałował, tylko stawiał, a do nóg się kłaniał i prosił. — Wkrótce proszeni i nieproszeni zapełnili cały dom i podwórko. — Józek chory na nogę, chodzić nie mógł, ale na ławce przed domem siedział z faszka i każdego częstował. — Zośce starzy gospodarze dogadywali i stare kwoki żartowały, że długo panieństwa bronila, aż jej przyszło na koniec. — Weselość i przyjaźń panowała, ale każdy czuł, iż brakowało muzyki! Parobcy więc uchwycili Wojciecha za nogi i prosili, aby pozwolił na chwilę sprowadzić wsiowych grajków. — Wojciech, który sam się podochocił, i zawsze miał myśl sprawić sute wesele, tajemnie na to pozwolił, upominając, aby o tém panie młodziej nic nie powiadali. — Jakoż wkrótce grajki nadbiegli i obrawszy w sadzie równe do tańca miejsce, jak utną od ucha, tak odrazu we wszy-

tkich duch i ochota wstąpiły. — Tłoczą się hurmem z izby do sadu, z podwórka przez płot przełazą... coraz więcej się ludzi ze wsi zbiega, i już nikogo nie brakuje, a wesele tak huczne, iż sutszego nie widziano! — Zaczęła młodzież hasać i wyskakiwać a pokrzykiwać. Muzyka coraz bardziej docinała i na kwincie wygrywała, aż starego Wojciecha jankur opanował i pojął starą Agnieszkę, a dalejże ją wodzić w kółko krakowiaka. — Babina się zadyszała, uśmieła i uśmiali się ludzie, a mówili, że „Wojciech jeszcze jako tako nogi dzwiga, ale co Agniészka, to jużby nie wydolała!“ Organista z panną młodą obszedł także parę razy, a potem wziął ją Wojciech do tańca i obracał sztajera. — Dość, że jak się roz hulali, roztańcowali, tak i o jadłe zapomnieli; jadła zaś było do syta! — Była pieczeń z kapustą i kielbasą; było mięso na zimno — była wieprzowina wędzona i gotowana. — Był dych cały barani naszpikowany główkami czostku. Były kołacze z sérem i mosiężne placki — były pierniki, bułki krakowskie i kukielki liseckie. Był chléb w kostkę pokrajany i sér krowi oraz sérki owcze. — Było wino, miód, piwo tenczyńskie, likiery dla kobiet i wódka z propinacyi. — Niczego zaś nie skąpiono, bo jakże tu skąpic dla syna jedynaka i dla Zośki jedynaczki?!

Sołtys siedział za stołem, a Wojciech co chwila do niego przychodził i częstował. Sołtys zaś podpiwszy, ciągle mówił: „Już się też Wojciechu na mnie nie gniewajcie i nie miejcie mi za złe.“ — Wojciech zaręczał, iż się nie gniewa i że go szanuje; ale sołtys był niepocieszonym i ciągle się wymawiał, zaręczając, iż „Wojciecha strasznie kocha.“

Organista sobie wina nie żałował, a czasem tylko miodem przegrodził i tak się rozochocił, iż zaczął śpiewać:

„Chciałem ja dziewczuchy dla mojego syna! Hej! dla mojego syna!
Ze ją Józek zcapił, to nie moja wina! Hej! to nie moja wina!

Ale gdy ją zcapił, niech szczęśliwy żyje!

A ja za ich zdrowie szklaneczkę wypiję!“

I wychylił organista aż do dna, a Wojciech i Zośka do nóg mu się skłonili i dziękowali za taką piękną pieśń. — Pobudzony licznemi pochwałami, znowu zatarł czoło, i biorąc się pod boki, tak dalej ciągnie:

„Patrzcie ludzie, patrzcie, jak się to wydarza,

Była kómornica naprzeciw cmentarza,

A teraz jęj córka, że Boga kochała,

Poszła za bogacza i panią została.

Syn kmiecy ją pojął i młyn dokupili,

A ja im winszuję, aby sto lat żyli.“

Całe weselne grono było w podziwieniu rozumu organisty, i każdy przyznał, iż co ma głowę, to ma!! Gdyż co szklanekę wipije, to jeszcze lepiej śpiewa. — Inni chcieli próbować,

ale już tak nie szło, a nawet kowalowi jakoś się urywało; chociaż zaś równie gładko pił jak organista, to pieśni tak gładko nie składał i nie zmyślił.

Wojciech prosił tańczących, aby weszli do izby, a pokrzepili się i pojedli a napili; czego też usłuchano. Skrzyпки raptem ucięli, a zawiesiwszy instrumenta na śliwinie, poszli do izby, i z dychem baranim się rozprawiwszy, dali nie złą cięgę pieprznej kiełbasie, po której pili a pili, to piwo, to wódkę, bo tłómaczyli się, że ich sól i pieprz pali. Podjadłszy i podpiwszy, znowu do sadu powrócili, a zaczęli od téj nieszczęśliwej polki, która nie wiadomo dla czego ma zastępować mazury i krakowiaki.

Już się słońce chyliło ku zachodowi, a ciągle w najlepsze hulano i nikt nie myślił przestać, lecz mniemał, iż uciecha potrwa aż do rana, a na drugi dzień będą poprawiny, a na trzeci pożegnanie, i że bałamuctwo tak się przewlecze i do drugiej niedzieli, choć już bez muzyki, ale z częstowaniem. — Wojciech nie byłby od tego, ale Agnieszka chociaż rada gościom, widziała, iż to chorego Józka męczy, bo często pokładał się na trawniku i za nogę trzymał. — Napił się parę szklanek wina, a rany się zagniły. Rzekła więc Agnieszka do weselników:

— Bawcie się, jędzcie i pijcie, bo o północy

będzie temu wszystkiemu koniec; bo pan młody chory i aż mi się mieni, co go tak noga łupie.

— Ej, moja gospodyni! (rzekną parobczaki) radzibyśmy się chociaż do białego dnia ucieszyć.

— Niktby wam nie żałował uciechy, choćby i dwa i trzy dni (odpowie Agnieszka), gdyby Józek był zdrowy; ale o niego chodzi, i gotów nam jeszcze gorzej zakiepnąć.

Ten powód acz słuszny, bardzo zasmucił weselników i miny im zrzedły, ale za to korzystając z krótkiego czasu, jedli i pili, a do upadłego tańcowali. — Najstarsze gospodynie najwięcej dokazywały, bo hukały i śpiewały, a same łapały parobków do tańca, i tak ich wyobrażały, że ci aż się kryli przed niemi, boby też woleli tańcować z młodemi dziewczuchami. — Wreszcie zbliżała się północ! Wystawiono ławkę na środek izby, posadzono pannę młodą. — Zdjęto z głowy kwiaty, rozpleciono kosa (warkocz), a stara Agnieszka z pomocą pani organiściny i innych dostojnych kobiet, jako to: stolarki i kowalki, zabrała się do obcięcia włosów. — Były w domu nożyce wprawdzie tępe, ale i te oddały tę ostatnią dziewictwu usługę i rzezały po kawałku śliczne sploty czarnego warkocza, podczas, gdy gospodynie śpiewały „o chmielu na tyczce“ to jest ową urzędową pieśń przy czepinach. — Potém zawiązano Zośce na głowie

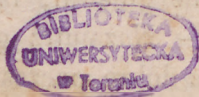
białą chustę haftowaną i oprowadzono w tańcu maluczkiego przez izbę. — Dziewuchy płakały, bo tak nakazuje obyczaj, i żegnały Zośkę, jako już do nich nie należąca, a baby się śmiały, witały ją, przyspiewywały i dogadywały, czego już nie opiszę.

Później na zakończenie, resztę trunku co do kropli wypito. Każdy wziął to bułkę, to piernika, to placka, a muzyka szła przodem i grała, prowadząc weselników do karczmy, aby tam już dotańcowali aż do białego dnia. — Berek musiał na to zezwolić, a cały ten tłum ludu do izby szynkownej napłynął, tak, iż nie było nawet gdzie tańcować, tylko w miejscu drepcono, a śpiewano, pokrzykiwano i zapijano. — U Wojciecha żadna się burda nie zrobiła i pięknie się wszystko odbyło, ale w karczmie nad ranem zaczęli się pijacy kłócić i przyszło podobno do bitki, którą jednak wkrótce sołtys z pomocą Berka rozbroił i załagodził.

Józek był kontent, iż się wszyscy ucieszyli, ale i o to się nie gniewał, iż bałamstwo dłużej nie trwało. — Nazajutrz grajki niewyspane, ale wdzięczne za dobre poczesne i zapłatę, przyszli zagrać państwu młodemu na dzień dobry. — Na tém się skończyło, a jak widzimy, że Bóg doprowadził do skutku i pobłogosławił pocziwym zamiarom dwojga młodych ludzi. — Woj-

ciech i stara Agnieszka cieszyli się zgodnym i szczęśliwym życiem młodego stadła, które też umiało szanować tak ojca jak i poczciwą opiekunkę Agnieszkę, która do śmierci przy nich już pozostała.

Wkrótce Józek na nogę się wygoił; — pracował dzielnie i przyrabiał majątku. — Chałupę po Reginie darowano ubogiej kómornicy, owęj przyjaciółce Agnieszki; a że już Agnieszka nie chciała, aby odbudowano spalony jój domek, przeto wystawiono w tém miejscu figurę, którą dotąd każdy jadący drogą widzi pod skałą, otoczoną i obsadzoną drzewami.



Biblioteka Główna UMK



300050099692

335614

45

81385/1710 60

Biblioteka Główna UMK



300050099692

Wied
Komi